

KRONIKA MIASTA ŁODZI

nr 2/2001

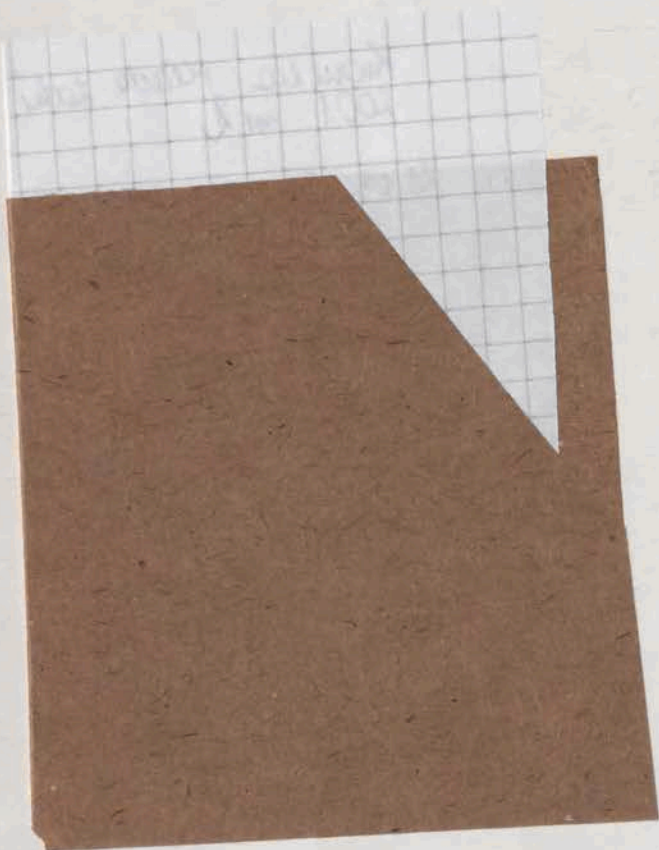




EX LIBRIS
WOJEWODZKIEJ - MIEJSKIEJ
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. MARSZAŁKA
JOZEFA PIĘSUDSKIEGO
W ŁODZI



I-100310/01



PRAC. RBG.

DAD. 2-0V MIASTA Ł.

Kronika Miasta Łodzi

nr 2 rok 2001

Łódź 2001

Rada Programowa

Przewodniczący: Grzegorz Matuszak

Członkowie: Mirosław Borusiewicz, Ryszard Czubaczyński,
Henryk Kluba, Stanisław Liszewski, Paweł Samuś

Zespół Redakcyjny

Bogusław Sikorski (redaktor naczelny),
Edward Müller (sekretarz), Zenon Spuś, Jerzy Wilmański

ISSN 1231-5354
Zarząd Miasta Łodzi
2001

Szanowni Czytelnicy!

Oddając do Waszych rąk kolejny numer „Kroniki miasta Łodzi” liczymy na nawiązanie szerszych kontaktów ze środowiskiem i wspomóżenie nas, zarówno poprzez nadsyłanie do Redakcji materiałów dotyczących problemów naszego miasta jak i zrecenzowanie naszych dotychczasowych wysiłków. Zależy nam bardzo na szczerych wypowiedziach oceniających naszą pracę. Nie mamy bowiem pewności, czy dotychczasowy model i formuła „Kroniki” odpowiada Waszym zainteresowaniom i potrzebom. Szczególnie interesuje nas odpowiedź na pytanie, czy „Kronika” powinna być bliżej pisma społeczno-kulturalnego, czy też pozostać formą dokumentowania dokonań naszego miasta w różnych dziedzinach życia. Mamy też zamiar uzyskać odpowiedź na pytanie, czy należy iść w kierunku kwartalnika, czy też pozostać, jak dotąd, półrocznikiem. W Radzie Programowej i Zespole Redakcyjnym zdania w tej sprawie są podzielone. Jedni optują za utworzeniem na bazie „Kroniki”, jakże w Łodzi potrzebnego, pisma społeczno-kulturalnego, inni przestrzegają przed nieuchronnym w takim przypadku uwikłaniem się w polityczne spory i opcje. Nierozstrzygniętym także zagadnieniem jest problem dotychczasowego bezpłatnego kolportażu periodyku. Wejście z pismem do firm kolportażowych wikła wydawcę, czyli Zarząd Miasta, w prowadzenie działalności gospodarczej; pozostawienie dotychczasowego rozdawnictwa jest, co tu ukrywać, dość kosztownym dla budżetu samorządowego prezentem dla czytelników. Wielu z nich sygnalizuje, że wolałoby widzieć pismo dostępne na rynku wydawniczym za odpłatnością. Te i inne kwestie wymagają pilnego rozstrzygnięcia. Powinna je jednak poprzedzić szersza debata i powinniśmy znać zdanie czytelników w tej sprawie. Zachęcamy więc do nadsyłania pod naszym adresem wszelkich opinii i ocen dotyczących wydawania „Kroniki”. Deklarujemy, że wszystkie zostaną przez nas wnikliwie rozpatrzone i wspólnie

z czytelnikami postaramy się przeorganizować swą pracę, doskonaląc zawartość merytoryczną i szatę edytorską wydawnictwa. Niewątpliwie w ostatnim okresie osiągnięciem naszego skromnego zespołu redakcyjnego było wydanie w okresie dwu lat sześciu numerów „Kroniki”. Wymagało to znacznego nakładu sił i determinacji, ale też możliwe było dzięki nawiązaniu kontaktów z środowiskiem kultury i nauki Łodzi. Dzięki licznym naszym autorom zawartość treściowa pisma jest bogatsza i szersza w zakresie poruszanych problemów. Nie można pominąć znacznej roli jaką spełnia w prowadzeniu pisma Rada Programowa. Członkowie tej Rady, kierowanej przez profesora Grzegorza Matuszaka, nie tylko inspirują ale także tworzą niezbędny w pracy każdej redakcji klimat życzliwości i wsparcia. Liczymy na to, że front wsparcia pisma poszerzy się o innych życzliwych nam ludzi dla dobra całej łódzkiej społeczności. Zapraszamy do dyskusji nad przyszłością „Kroniki”. Dziękujemy za każdy głos w tej sprawie.

REDAKCJA

Lucjusz Włodkowski

Z dziejów Polskiej Partii Socjalistycznej w Polsce

30 listopada 1945 roku odbyło się posiedzenie Centralnego Komitetu Wykonawczego Polskiej Partii Socjalistycznej, na którym Józef Cyrankiewicz mówił o potrzebie szybkiego przeprowadzenia wyborów i o konieczności porozumienia się w tej sprawie z Polskim Stronnictwem Ludowym Stanisława Mikołajczyka.

W dyskusji głos zabrał Henryk Wachowicz, członek Rady Naczelnej i CKW PPS, sekretarz Wojewódzkiego Komitetu PPS w Łodzi. Powiedział, że w Łodzi wybory do rad zakładowych pokazały, iż PPS jest niepopularna wśród robotników. Bał. Dodał nawet, że zdarza się, iż robotnicy są wrogo nastawieni do PPS. Zadał pytanie: – co zatem robić? Jego zdaniem są dwa sposoby na poprawienie sytuacji PPS wśród robotników. Pierwszy – to starania o poprawę materialnego położenia robotników. Nie wszystkich obywateli – co podkreślił – ale właśnie robotników. Po drugie – każdy członek partii powinien stać się jednocześnie członkiem partyjnej milicji. „My musimy – powiedział – opanować ulicę i rządzić na niej. Nie wolno nam się oprzeć na bezpieczeństwie państwowym wyłącznie”.

Co kryło się za tymi słowami? Dlaczego w Łodzi – mieście robotniczym, zwanym „czerwonym” – PPS, która to partia tu niegdyś dominowała na lewicy, straciła swoje znaczenie i ma trudności?

Pewne światło na taką sytuację rzuciła wypowiedź Kazimierza Rusinka, który stwierdził, że niedawne wybory do Komisji Centralnej Związków Zawodowych nie miały charakteru demokratycznego. Z przedstawionych danych wynikało, że Kongres Związków Zawodowych opanowany był przez delegatów Polskiej

Partii Robotniczej, którzy stanowili 80% delegatów. PPR zdobyła 30 mandatów do KCZZ, a PPS – 21, jeden mandat przypadł Zjednoczeniu Zawodowemu Polskiemu, a 6 mandatów bezpartyjnym. I tak w Prezydium KCZZ pięciu członków miała PPR, czterech – PPS, jednego – ZZP i jednego – bezpartyjni. Dane te odsłaniają kulisy rywalizacji między PPR i PPS, ale też wszystkie nie tłumaczą.

W II Rzeczpospolitej

W listopadzie 1918 roku powstał w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej z Ignacym Daszyńskim z galicyjskiej PPSD na czele. Po zwolnieniu Józefa Piłsudskiego z więzienia w Magdeburgu i przejściu przez niego władzy rząd został rozwiązany. Premierem nowego rządu został Jędrzej Moraczewski, oddelegowany niegdyś do PPS przez Józefa Piłsudskiego. Był to jedyny przypadek, kiedy w czasach II RP na czele rządu stali socjaliści.

Organizacje partyjne PPS z trzech zaborów połączyły się i utworzyły jedną partię. Członkowie PPS weszli w skład powstających rad delegatów robotniczych, tworzonych głównie przez Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy oraz PPS-Lewicę. Obie te partie w grudniu 1918 roku utworzyły Komunistyczną Partię Robotniczą Polski. Socjalistów i komunistów różnił stosunek do rad delegatów robotniczych. PPS stała na stanowisku, że rady delegatów robotniczych powinny bronić interesów robotniczych i wspomagać rząd, a komuniści usiłowali przekształcić rady we władzę ludową. W końcu PPS wystąpiła z rad, przyczyniając się tym samym do ich upadku.

W Łodzi rady delegatów robotniczych powstały w listopadzie 1918 roku. Jedną utworzyła PPS i Narodowa Partia Robotnicza, drugą PPS-Lewica i SDKPiL. Obie rady połączyły się 1 grudnia 1918 roku.

Pierwsze wybory do Rady Miejskiej odbyły się w Łodzi w lutym 1919 roku. PPS zdobyła 25 mandatów na 75 możliwych. W drugich wyborach w maju 1923 roku większość zdobyły: Narodowa Partia Robotnicza, Narodowa Demokracja i Chrześcijańska Demokracja. Dopiero w październiku 1927 roku PPS odzyskała swoje wpływy. Zdobyła 23 mandaty, co razem z Niemiecką Socjalistyczną Partią Pracy (7 mandatów), Powszechnym Żydowskim Związkiem Robotniczym Bundem (5) i Poalej Syjonem (3)

pozwoili stworzyć socjalistyczną większość i obsadzić stanowiska w Zarządzie Miejskim. W maju 1934 roku socjaliści w Łodzi ponieśli wielką klęskę. Na 72 mandaty do Rady Miejskiej zdobyli zaledwie 5. Niemieccy socjaliści – 1. Bund i Poalej Syjon razem 3 mandaty. W 1936 roku PPS zdobyła 34 mandaty na 72 możliwe. Prezydentem wybrano działacza PPS – Norberta Barlickiego. Rząd wyboru tego nie zatwierdził. W 1938 roku wybierano 84 radnych. PPS zdobyła 33 mandaty. Ugrupowanie sanacyjne uzyskało 11 mandatów.

W maju 1926 roku PPS poparła zamach Józefa Piłsudskiego. Rankiem 13 maja do Eugeniusza Ajnenkiela – sekretarza Okręgowego Komitetu Robotniczego w Łodzi zatelefonował sekretarz generalny PPS – Kazimierz Pużak. Powiedział: – „Dnia poprzedniego wieczorem Piłsudski podjął akcję zbrojną przeciw rządowi «Chjeno-Piasta». Na ulicach walka. Partia akcję popiera”. Eugeniusz Ajnenkiel otrzymał konkretne polecenia: zwołać egzekutywę, dogadać się z wojskiem, w razie potrzeby pomóc wojsku, kolejarze mają utrudniać ruchy rządowych wojsk, gdyby powstała taka potrzeba – ogłosić strajk generalny, zająć się administracją i policją, przeciwdziałać poczynaniom endecji. Ogłoszono alarm w milicji partyjnej i w policji. Grupy członków „Strzelca”, Związku Peowiaków i Związku Rezerwistów chodziły po restauracjach przy ulicy Piotrkowskiej, krzycząc: „Niech żyje Piłsudski!”, a orkiestrom kazano grać *Pierwszą Brygadę*. Goście w popłochu opuszczali lokale.

Następnego dnia grupy te udały się pod koszary 28. Pułku Strzelców Kaniowskich, gdzie okazywały poparcie dla Józefa Piłsudskiego. Zmieniono władze wojskowe i administracyjne miasta i województwa, obsadzając je ludźmi popierającymi dokonujący się w Warszawie przewrót. Kolejarze zerwali tory na linii Strzałków–Kutno–Łowicz, uniemożliwiając pułkom wojska, wiernego rządowi Wincentego Witosa, dotarcie z odsieczą do Warszawy.

Lewica spodziewała się, że obóz Józefa Piłsudskiego – zwany sanacją – zechce współdziałać dla utworzenia rządu robotniczo-chłopskiego. Było to złudzenie. Inne cele stawiali sobie zwolennicy Józefa Piłsudskiego, inne – ugrupowania lewicowe. Hasło rządu robotniczo-chłopskiego było nie do przyjęcia dla piłsudczyków. PPS musiała zrezygnować z nadziei współpracy z sanacją i przejść do opozycji.

16 maja 1926 roku (była niedziela) obradował Łódzki Komitet Robotniczy PPS. W obradach uczestniczył poseł Antoni Szczerkowski – przewodniczący okręgu Łódź-Podmiejska. Entuzjastyczne

sprawozdanie z poczynań PPS w dniach majowego zamachu złożyli członkowie Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS – dr Edmund Wieliński i Stanisław Rapalski. Ich entuzjazm ostudził poseł Antoni Szczerkowski. Po burzliwej dyskusji przyjęto uchwałę, w której stwierdzono, że PPS poparła przewrót Józefa Piłsudskiego jako „akcję przeciw kapitalistyczno-obszarniczemu klikom, przeciw faszyzmowi reprezentowanemu przez Narodową Demokrację, przeciw «Chjeno-Piastowym» rządowi, lecz dalsze swe przychylnie ustosunkowanie się uzależnia od programu politycznego Piłsudskiego, programu uwzględniającego potrzebę zmian społecznych, powołania rządu opartego o lewicę społeczną, o partie robotnicze i chłopskie”.

Na 30 maja 1926 roku Związek Legionistów, Związek Peowiaków, Związek Podoficerów Rezerwy i Związek Marynarzy zwołały na Wodnym Rynku w Łodzi wiec popierający przewrót majowy. Zwrócono się do PPS o poparcie ich inicjatywy. Członkom PPS polecono domagać się powołania rządu robotniczego, rozwiązania Sejmu RP i śpiewania pieśni rewolucyjnych. Po wiecu uformował się pochód, który przemaszerował ulicą Piotrkowską. Na czele szli inicjatorzy wiecu, śpiewali *Pierwszą Brygadę* i wołali: „Cała władza w ręce Piłsudskiego”. W środku i na końcu pochodu szli robotnicy, którzy śpiewali *Czerwony sztandar*, *Na barykady* i *Gdy naród do boju*. Wznosili okrzyki: „Niech żyje rząd robotniczo-chłopski!”, „Rozwiązać Sejm!”, „Uwolnić więźniów politycznych!”

W marcu 1929 roku, przygotowując się do obchodów trzeciej rocznicy majowego zamachu, CKW PPS wydała okólnik polecający terenowym organizacjom utworzenie zwartych oddziałów milicji partyjnej. W okólniku stwierdzano, że „w okresie wzmagającego się faszyzmu i dojrzewających zamachów na ustrój republikański i prawa robotnicze klasa robotnicza winna wydobyć z siebie wszystkie moralne i fizyczne siły, które muszą stać się zadatkiem naszego ustawicznego pogotowia w zbliżającej się walce o całą przyszłość ludu pracującego w Polsce”. Milicję PPS utworzono na wzór austriackiego Schutzbundu – organizacji powołanej do samoobrony przez tamtejszą socjaldemokrację.

W Łodzi komendantem milicji PPS został Antoni Purlal, zastępcami: Eugeniusz Ajnenkiel, Franciszek Heliński i Józef Endrych. Powstały oddziały w dzielnicach PPS: „Bałuty”, „Czerwona”, „Chojny”, „Górna”, „Koziny”, „Księży Młyn”, „Lewa”, „Prawa”, „Widzew”, „Zielona”. Milicjanci mieli mundury: ciemne spodnie, niebieską koszulę wypuszczaną na spodnie, pas koali-

cyjny, czerwony krawat, granatową maciejówkę i kij bambusowy. Nieliczni – spokojni, godni zaufania – mieli pistolety. W szeregach PPS w Łodzi było wówczas 22 oficerów, 194 podoficerów, 389 szeregowych. Tworzyli trzon milicji PPS. W 1934 roku milicję partyjną przekształcono w Akcję Socjalistyczną, podlegającą bezpośrednio CKW PPS. Kierowali nią między innymi Józef Dziegielewski i Piotr Jagodziński.

W Łodzi było 10 dzielnic PPS. Ich nazwy pochodziły bądź od ulic, przy których mieściły się komitety, bądź od nazw administracyjnych dzielnic miasta. Na przykład: „Czerwona”, „Fabryczna”, „Zielona” pochodziły od ulic, „Bałuty”, „Chojny”, „Koziny”, „Widzew” – od dzielnic. Według danych z 1 lipca 1935 roku w Łodzi było 1189 członków PPS, z tego 594 nie płaciło regularnie składek. Eugeniusz Ajnenkiel w swoich wspomnieniach pisze, że na początku lat trzydziestych w Łodzi było 1524 członków: 405 urzędników, 1056 robotników, 63 bezrobotnych, wśród członków PPS było 331 kobiet. W milicji PPS były 673 osoby. Mimo takiej, a nie innej liczebności łódzka organizacja PPS należała do najsilniejszych w Polsce. Zajmowała trzecie miejsce po warszawskiej i krakowskiej.

Jan Tomecki w książce *Polska Partia Socjalistyczna 1892–1945* zwraca uwagę, że nie można wpływów PPS mierzyć liczbą ludzi płacących składki. Lata trzydzieste – to lata kryzysu i bezrobocia. A bezrobotni nie mieli po prostu z czego płacić składek. Faktem wszakże jest, że liczebność PPS spadała. Jeśli w 1921 roku w całej Polsce było 55 000 członków partii, to 1931 roku – około 30 000, a w 1933 – tylko 12 000 płaciło składki. Nie można jednak zapominać, że PPS posiadała liczne organizacje sobie podporządkowane, które były liczniejsze od samej PPS. Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego w latach 1928–1938 liczyło około 200 terenowych oddziałów. Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego w 1932 roku zrzeszała około 6500 członków w 85 miejscowościach. Na wyższych uczelniach (Warszawy, Krakowa, Lwowa, Wilna) działał Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. W 1927 roku powołano Czerwone Harcerstwo. W 1931 roku działało 61 gromad skupiających od 20 do 50 harcerzy. W połowie lat trzydziestych w klubach Związku Robotniczych Stowarzyszeń Sportowych zrzeszonych było przeszło 20 000 członków. PPS była inspiratorką powstania Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Istniało Stowarzyszenie byłych Więźniów Politycznych, które wydawało „Kronikę Ruchu Rewolucyjnego w Polsce”.

PPS formalnie stała na stanowisku – podobnie jak większość partii socjaldemokratycznych – apolityczności związków zawodowych. Faktycznie istniały powiązania personalne. Przewodniczący Komisji Centralnej Związków Zawodowych (organu wykonawczego Związku Stowarzyszeń Zawodowych) – Jan Kwapiński i sekretarz generalny KCZZ – Zygmunt Żuławski byli członkami Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS. W okręgach członkowie OKZZ wchodzili w skład egzekutyw Okręgowych Komitetów Robotniczych. W 1936 roku Związek Stowarzyszeń Zawodowych liczył około 400 000 członków i był jednym z najważniejszych czynników umacniającym wpływy PPS w społeczeństwie.

Ruch socjalistyczny w czasach II RP był rozbity i zróżnicowany. Przywódca Bundu w Łodzi Henryk Erlich twierdził, iż „mamy w Polsce więcej partii socjalistycznych aniżeli w jakim bądź innym kraju. To niebywałe rozbitcie jest bardzo szkodliwe dla całego ruchu socjalistycznego w Polsce, a szczególnie mocno daje się we znaki partiom socjalistycznym mniejszości narodowych, zwłaszcza że każda z dwóch głównych polskich partii robotniczych – PPS i komuniści – dąży do podporządkowania sobie także pozostałych partii socjalistycznych”. Eugeniusz Ajnenkiel pisze, że w „ruchu robotniczym następował ścisk partyjny” i wymienia 8 partii działających w Łodzi: PPS, PPS-Lewica, PPS – dawna Frakcja Rewolucyjna, Niezależna Socjalistyczna Partia Pracy, Bund, Poalej Syjon-Lewica, Narodowa Partia Robotnicza-Lewica, Chrześcijańska Demokracja. 21 kwietnia 1928 roku odbyła się w Łodzi Konferencja Ogólnopolska NSPP, kierowanej przez Bolesława Drobnera, na której postanowiono połączyć się z PPS. W Łodzi stało się to 25 sierpnia 1928 roku na wiecu w Filharmonii. Do PPS wstąpiło 70 osób, tyle liczyła NSPP w miesiącu. Natomiast 29 lutego 1929 roku do PPS przeszło 120 osób z PPS – dawna Frakcja Rewolucyjna, którą ironicznie nazywano BBS, jako agenturę Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem.

20 czerwca 1930 roku 142 posłów i senatorów z PPS, Stronnictwa Chłopskiego, Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”, PSL „Piast”, Chrześcijańskiej Demokracji i Narodowej Partii Robotniczej utworzyło Tymczasowy Komitet Wykonawczy Centrolewu. Komitet wysunął następujące żądania: 1. „ustąpienia rządów dyktatury Józefa Piłsudskiego; 2. Utworzenia konstytucyjnego rządu opartego na zaufaniu społeczeństwa”. 29 czerwca 1930 roku w Krakowie odbył się Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu. Z łódzkiej organizacji PPS w Kongresie Centrolewu wzięli udział: dr Edmund Wieliński, Stanisław Rapalski, Antoni

Purtal, Eugeniusz Ajnenkiel, Stanisław Wojdan, Józef Wojdan, Leopold Kastaniak, Klementyna Grodzicka, Stanisław Michalski i Stanisław Goliński. Po Kongresie na Rynku Kleparskim odbył się wiec robotników i chłopów. Uczestniczyło w nim 30 tysięcy osób. W przyjętej rezolucji stwierdzono między innymi: „Zgromadzeni w Krakowie chłopci, robotnicy i pracownicy umysłowi przyjmują za swoje uchwały Kongresu Obrony Prawa i Wolności Ludu, ślubują zarazem, że nie spoczną w walce, aż usunięta zostanie dyktatura, aż przywrócone będzie poszanowanie prawa, aż władzę w Polsce obejmie rząd zaufania sejmu i mas ludowych, rząd, który zdoła zaspokoić wspólnym wysiłkiem ludu najpilniejsze społeczne i gospodarcze potrzeby”. Wiadomo było, że po takich stwierdzeniach opozycji nastąpi uderzenie obozu rządzącego. Opozycyjnych posłów, przywódców opozycyjnych partii zamknięto w twierdzy w Brześciu, gdzie Józef Piłsudski uczynił komendantem Wacława Kostka Biernackiego, cieszącego się złą sławą jeszcze z czasów Legionów.

11 września 1930 roku odbyła się w Łodzi biegająca manifestacja. Policja spodziewała się demonstrantów w śródmieściu i tu skoncentrowała swoje siły. Manifestanci natomiast biegali na przedmieściach. Zatrzymywali się na chwilę i wołali: „Precz z dyktaturą! Precz z Piłsudskim! Niech żyje rząd robotniczo-chłopski”. Policja powiadomiona o biegających manifestantach na przedmieściach, opuściła śródmieście, a wtedy demonstranci przebiegli do śródmieścia. Biegali po ulicy Piotrkowskiej od Zielonej do Nawrot i wznosili okrzyki. W budynku Starostwa (Piotrkowska nr 100) wybito szyby. Zjawiła się konna policja i kilka osób aresztowała.

14 września 1930 roku w kinie „Oświatowe” odbył się Wojewódzki Zjazd Centrolewu. „Była to niedziela – wspominał Eugeniusz Ajnenkiel. – Po mieście od samego rana krążyły silne patrole policyjne z nasadzonymi na karabiny bagnietami, hełmy na głowach, a spod nich ponure spojrzenia. Plac Wodnego Rynku pusty jak wymiótł. Legitymowano każdego, a puszczano tylko tych, którzy mieli mandat delegata na zjazd. Odbył się on spokojnie, powzięto rezolucję, wysłano depesze do Daszyńskiego i uwięzionych w Brześciu posłów.

W nocy z 17 na 18 września 1930 roku policja mundurowa i tajna dokonała rewizji w ponad dwustu mieszkaniach naszych towarzyszy w poszukiwaniu broni. Niektórym zabrano. Ale tylko niektórym!”

Centralne pismo PPS – „Robotnik”, drukowane swego czasu w Łodzi przez Józefa Piłsudskiego, wychodziło od 1894 roku. Pismo to adresowane było do członków i sympatyków PPS z obszaru zaboru rosyjskiego; w Galicji wychodził „Naprzód”, a w zaborze pruskim – „Gazeta Robotnicza”. 12 listopada 1918 roku ukazał się w Warszawie pierwszy (291 kolejny) numer legalnie już wychodzącej gazety. Redaktorem naczelnym „Robotnika” został Feliks Perl.

Z „Robotnikiem” związanych było wielu wybitnych działaczy PPS. O Józefie Piłsudskim wspominałem. Inni to: Stanisław Wojciechowski (późniejszy prezydent RP), prof. Marceli Handelsman, Leon Wasilewski (ojciec Wandy Wasilewskiej), Witold Jodko-Narkiewicz, Waclaw Sieroszewski, Gustaw Daniłowski, prof. Marian Kukiel (późniejszy generał i członek rządu emigracyjnego gen. Władysława Sikorskiego), Mieczysław Limanowski (geolog, profesor Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie i Mikołaja Kopernika w Toruniu, współzałożyciel „Reduty”, razem z Juliuszem Osterwą). Drukowali w „Robotniku”: Zygmunt Żuławski, Zygmunt Zaremba, Kazimierz Pużak, Bolesław Limanowski, Norbert Barlicki, Andrzej Strug, Herman Lieberman, Herman Diamand, Ignacy Daszyński, Karol Irzykowski, Jan Nepomucen Miller, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Lucjan Szenwald, Stanisław Dubois, Włodzimierz Słobodnik, Mieczysław Wallis (późniejszy profesor Uniwersytetu Łódzkiego) i wielu innych.

W 1927 roku – po śmierci Feliksa Perla – redakcję „Robotnika” objął Mieczysław Niedziałkowski i pozostawał na tym stanowisku do września 1939 roku. W 1930 roku PPS posiadała 17 pism, w tym 5 dzienników. W Łodzi wychodził „Łodzianin”.

„Łodzianin” z przerwami wychodził nielegalnie od 1900 roku. Od 1907 roku pismo przejęła PPS – Frakcja Rewolucyjna. Pismem w różnych okresach kierowali: Aleksy Rzewski, Tomasz Arciszewski, Witold Trzcński, Tytus Filipowicz, Leon Wasilewski. Od marca 1919 roku „Łodzianin” wychodził legalnie jako pismo Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS. Pierwszym redaktorem pisma w wolnej Polsce był Aleksander Napiórkowski. Gazeta ukazywała się 2 razy w tygodniu, a jej nakład nie przekraczał 4 tysięcy egzemplarzy. Miała czytelników nie tylko w Łodzi, ale też w województwie łódzkim i w części warszawskiego. W 1925 roku z kierowania pismem zrezygnował Edmund Wieliński, jego miejsce zajął Władysław Dolecki, który kierował „Łodzianinem” do 1930 roku. Następnym redaktorem naczelnym został Eugeniusz Ajnenkiel. Były to trudne czasy dla gazety. Tylko w 1931

roku „Łodzianin” był 18 razy konfiskowany. W maju 1926 roku ukazał się pierwszy numer „Sztandaru Pracy”, tygodnika przeznaczonego dla czytelników z Pabianic, Kalisza, Piotrkowa Trybunalskiego, Tomaszowa Mazowieckiego. Komitet redakcyjny stanowili: poseł Antoni Szczerkowski, Edmund Wieliński, poseł Zygmunt Zaremba. Sekretarzem redakcji był Eugeniusz Ajnenkiel. Organizacja Młodzieży TUR od 1928 roku wydawała w Łodzi pismo „Nowe Życie”. W składzie redakcji był Henryk Wachowicz – wybijający się działacz PPS. Ukazujący się w Łodzi „Głos Poranny”, redagowany przez Jana Urbacha (ojca Jerzego Urbana), był bliski poglądami PPS, ale nigdy nie otrzymał statusu pisma partyjnego.

W 1934 roku nastąpiła reorganizacja prasy PPS. Powołano Zespół Czasopism PPS, który formalnie zaczął działać w 1936 roku. Przejął on wszystkie pisma partii. Lokalne dzienniki, jak „Łodzianin” czy krakowski „Naprzód”, katowicka „Gazeta Robotnicza” stały się mutacjami „Robotnika”. Zachowały swoje tytuły, inne otrzymały dodatek: „Robotnik”, na przykład: „Robotnik Białostocki”, „Robotnik Wileński”. W latach 1937–1938 centralne pismo PPS – „Robotnik” miało 7 mutacji. Od 1932 roku Eugeniusz Ajnenkiel był łódzkim korespondentem „Robotnika”.

Zwycięstwo obozu sanacyjnego zmusiło PPS do przejścia do opozycji. Od 1928 roku głównym wrogiem socjalistów stała się sanacja, tak jak poprzednio była Narodowa Demokracja. Powstała zatem kwestia wyboru sojuszników w politycznej walce z sanacją. W maju 1931 roku w Krakowie obradował XXII Kongres PPS. Wtedy ukształtowały się trzy polityczne orientacje. Pierwsza – której wyrazicielami byli między innymi: Norbert Barlicki, Tomasz Arciszewski, Mieczysław Niedziałkowski, Kazimierz Pużak, Zygmunt Żuławski, uważała, że w walce o przywrócenie w Polsce demokracji i parlamentaryzmu należy sprzymierzyć się z ludowcami i stronnictwami centrowymi. Była to idea odbudowy Centrolewu. Inna grupa, reprezentowana przez Zygmunta Zarembę, Adama Ciołkosza, Stanisława Dubois, Jana Kwapińskiego, Jana Stańczyka, Ludwika Cohna, nie widziała potrzeby odbudowy Centrolewu. Jej celem była walka o rząd robotniczo-włościański. Nie widziała potrzeby nawiązywania sojuszy z antysanacyjnymi ugrupowaniami, a jedynie z partiami socjalistycznymi mniejszości narodowych. Była to tendencja umiarkowana. Trzecią grupę stanowili między innymi: Bolesław Drobner i Oskar Lange z Krakowa, Jan Kawalec z Katowic i Ludwik Winterek z Warszawy. Dążyli oni do współpracy z socjalistycznymi partiami mniejszości narodowych i komunistami. Byli przeciwni

współdziałaniu z ludowcami, których uważali za przedstawicieli wiejskiej burżuazji. Jan Tomecki w książce o PPS określa ich jako lewaków.

Warto przypomnieć, że w latach 1931–1933 wychodziło w Polsce pismo „Płomienie”, które wydawała grupa publicystów, skupionych wokół Oskara Lange, Juliana Hochfelda, którzy założyli Spółdzielnię Wydawniczą Młodzieży Socjalistycznej. Nawiązywali oni do idei reprezentowanych przez austriackich teoretyków marksizmu: Maxa Adlera i Otto Bauera. W 1933 roku w Niemczech zwyciężył faszyzm w wydaniu hitlerowskim. W wielu krajach ujawnili się zwolennicy tego kierunku politycznego. W Polsce był to Obóz Narodowo-Radykalny „Falanga” Bolesława Piaseckiego. Przed lewicą stanął problem walki już nie tylko z sanacją, ale i z ruchami profaszystowskimi, wywodzącymi się z obozu Narodowej Demokracji. W lutym 1934 roku odbył się w Warszawie XXIII Kongres PPS, na którym Mieczysław Niedziałkowski dokonał analizy sytuacji politycznej w Europie. Podzielił on kraje europejskie na trzy grupy: demokratyczne, faszystowskie i ewoluujące ku faszyzmowi. Do tej ostatniej grupy zaliczył Polskę. Powstał zatem problem, w sojuszu z kim PPS ma walczyć z faszyzmem? Centralnym problemem stało się pytanie, czy sojusznikami w tej walce mają być komuniści? Nie trzeba przecież zapominać, że wedle wytycznych Kominternu partie socjalistyczne były uznawane za... socjalfaszystowskie. Dopiero VII Kongres Kominternu, który odbył się w Moskwie na przełomie lipca i sierpnia 1935 roku, odrzucił tezę o „socjalfaszyzmie”, otwierając tym samym możliwość wspólnego frontu z komunistami. W tym czasie w Warszawie odbyło się kilka spotkań socjalistów z komunistami, którzy zawarli „pakt o nieagresji”.

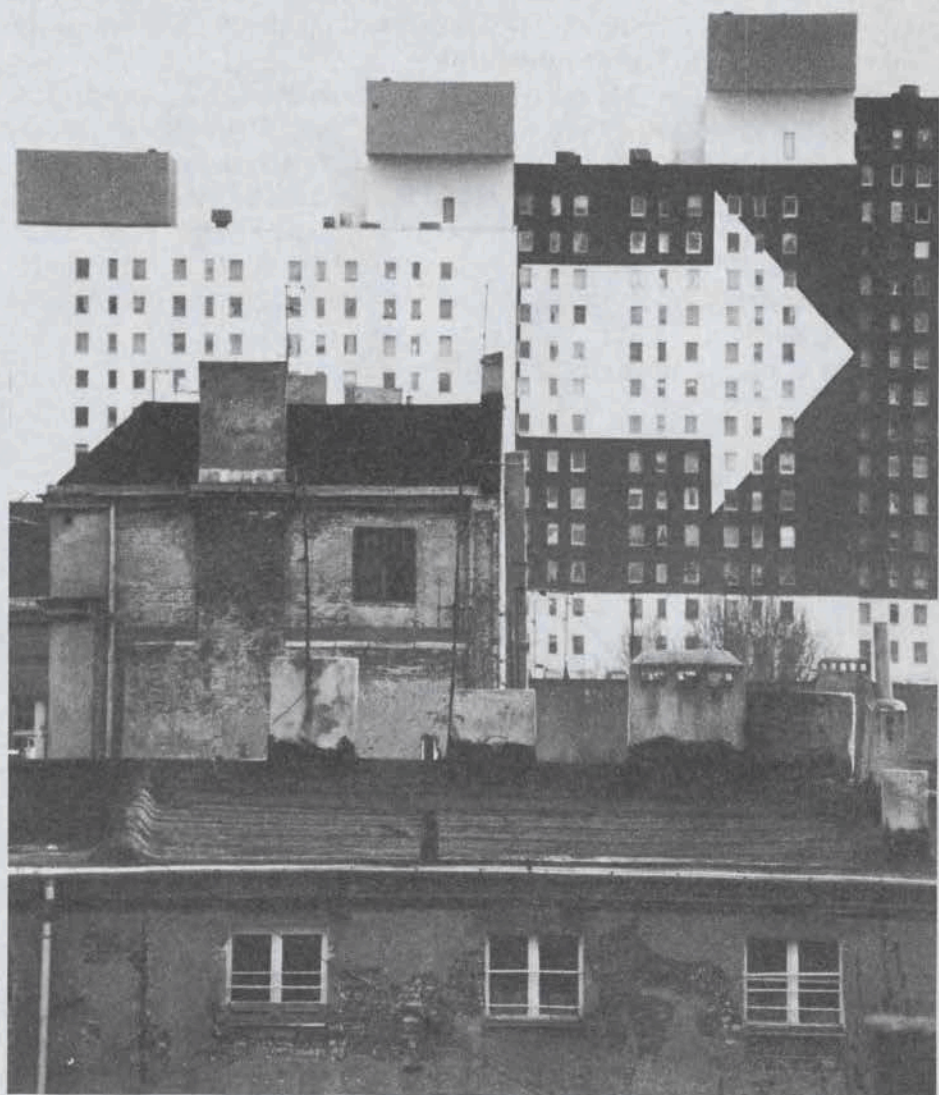
Jeszcze w 1928 roku na Kongresie PPS w Krakowie usunięto z partii lidera PPS w Łodzi – Edmunda Wielińskiego, który wyraźnie przesunął się ku sanacji i już nie mieścił się w łódzkiej organizacji PPS. Natomiast Edmund Chodzyński silnie związał się z grupą Adama Próchnika i Bolesława Drobnera. Zdecydowanie za współpracą z komunistami w walce z faszyzmem opowiadał się, coraz bardziej wybijający się działacz socjalistyczny w Łodzi, Henryk Wachowicz. Toteż jego zwolennicy, gdy zdobyli w Łodzi przewagę, nie zostali zatwierdzeni przez Centralny Komitet Wykonawczy PPS. A we wrześniu 1936 roku z PPS wykluczono Bolesława Drobnera.

Trudno było się obronić przed działaniami jednolito-frontowymi. W marcu 1937 roku zaczął ukazywać się „ludowo-

frontowy” „Dziennik Popularny”, który redagowali Norbert Barlicki (naczelny) i Stanisław Dubois (zastępca). Taki zespół, kierujący redakcją, nie podobał się Tomaszowi Arciszewskiemu, Kazimierzowi Pużakowi i Janowi Kwapińskiemu, którzy domagali się jego odejścia z redakcji. W konsekwencji doszło do zerwania „paktu o nieagresji” z komunistami.

W lutym 1937 roku odbył się XXIV Kongres PPS, na którym uznano, że głównym przeciwnikiem PPS są: Stronnictwo Narodowe i Obóz Narodowo-Radykalny, sanację natomiast uznano za „system rządu” w stanie rozkładu, bez należytego poparcia społecznego. Zwolennicy współpracy z komunistami w ramach jednolitego frontu przeciw faszyzmowi: Norbert Barlicki, Stanisław Dubois, Henryk Wachowicz, Wanda Wasilewska i inni – znaleźli się w mniejszości.

(PPS w czasie wojny i po wojnie w następnym odcinku)



Architektura Łodzi (fot. K. Kaszuba)

Tadeusz Bogalecki

Zaplecze Armii „Łódź” w pierwszym tygodniu kampanii wrześniowej 1939 roku

15 marca 1939 r. niemieckie kolumny zmechanizowane zajęły Pragę i Czechosłowacja zniknęła z mapy Europy. W tej sytuacji Sztab Główny Wojska Polskiego przystąpił do natychmiastowego opracowania poprawek do założeń operacyjnych planu wojny z Niemcami. Poprawki te uwzględniły powstałą sytuację i wynikające z niej zagrożenie od południa.

Władze wojskowe II RP, rozważając warianty uderzeń przeciwnika na całym froncie, słusznie przewidziały wówczas koncentrację głównego zgrupowania nieprzyjaciela w rejonie Dolnego Śląska i jego kierunek natarcia przez Piotrków i Łódź na Warszawę.

1. Zadania, stan organizacyjny i walki armii „Łódź”

Pierwszym krokiem przygotowań obronnych w terenie było rozpoczęte 23 marca 1939 r. przekształcenie sztabów inspektorów armii Głównego Inspektoratu Szkolenia w sztaby przyszłych armii. Gen. dyw. Juliusz Rómmel został wówczas wyznaczony na dowódcę Armii „Łódź”, która miała rozwinąć się na przewidywanym głównym kierunku uderzenia niemieckiego.

Armia „Łódź” otrzymała zadanie bezwzględного utrzymania rejonów Łodzi i Piotrkowa, wynikające z konieczności osłony Warszawy i koncentrującego się na zapleczu armii głównego odwodu Naczelnego Wodza. Sztab Główny Wojska Polskiego liczył, że jej uporczywa obrona umożliwi wykonanie przeciwuderzenia z rejonu Sieradza na Kalisz i Koło.

W pierwszym tygodniu wojny w skład sił głównych Armii „Łódź” wchodziły cztery dywizje piechoty (2 DPLeG, 10DP, 28 DP i 30 DP) oraz dwie brygady kawalerii (Wołyńska i Kresowa).

Wspierały je dwa pociągi pancerne spełniające rolę ruchomych baterii artylerii i ciężkich karabinów maszynowych (ckm) oraz 2 Batalion Czołgów Lekkich posiadający 47 czołgów typu 7TP uzbrojonych w armatę kalibru 37 mm i jeden karabin maszynowy. Powyższe wozy bojowe, przypadkowo dołączone do Armii „Łódź”, zdecydowanie górowały nad niemieckimi tankietkami Panzer I, a w pewnym stopniu nawet nad Panzer II, stanowiącymi zasadniczą masę czołgów hitlerowskich w 1939 r.

Ponadto w każdej dywizji piechoty była kompania tankietek typu TK3 lub TKS uzbrojonych w jeden karabin maszynowy kalibru 7,9 mm. Nadawały się one, zarówno ze względu na słabe opancerzenie, jak i uzbrojenie, tylko do zadań rozpoznawczych.

Armii „Łódź” przydzielono również III/6 Dywizjon Myśliwski, 32 Eskadrę Rozpoznawczą, 63 i 66 eskadry obserwacyjne, 10 Pluton Łącznikowy i pododdziały służb lotniskowych. Do głównych zadań lotnictwa armijnego należało: rozpoznanie oraz zwalczanie lotnictwa nieprzyjaciela na ziemi i w powietrzu, osłona własnych wojsk na ziemi i samolotów w powietrzu podczas wypraw bombowych na cele pola walki, a także wsparcie walczących oddziałów piechoty i kawalerii.

Działania Armii „Łódź” wspierała również Brygada Bombowa, a zwłaszcza jej X Dywizjon, który od 3 września działał z lotniska Kuciny-Dzierżanów, leżącego 24 km na północny zachód od Łodzi. Dysponował on 18 bombowcami typu PZL-37 Łoś i czterema samolotami pomocniczymi (Fokker F-VII i RWD-8).

Armia „Łódź” posiadała także kilka pododdziałów obrony przeciwlotniczej (OPL). Każda jej dywizja piechoty miała jedną baterię składającą się z czterech działek przeciwlotniczych (plot) systemu Bofors o kalibrze 40 mm. Był to sprzęt na wskroś nowoczesny i skuteczny (do wysokości 1500 m). Natomiast sztab armii osłaniała jedynie kompania karabinów maszynowych przystosowanych do niszczenia celów powietrznych.

Już 1 i 2 września główne siły Armii „Łódź” rozpoczęły walkę z niemiecką 8 Armią i częścią sił północnego zgrupowania 10 Armii będącymi silniejszym i szybszym od nich przeciwnikiem. Polskie oddziały walczyły do upadłego, zadając wojskom niemieckim ciężkie straty. Szczególnie wyróżniła się wówczas Wołyńska Brygada Kawalerii, która pod Kłobuckiem powstrzymała natarcie 4 Dywizji Pancerniej. Późnym wieczorem 2 września

oddziały polskie zaczęły wycofywać się, zgodnie z osobistym rozkazem Naczelnego Wodza, na główną pozycję nad Wartą i Widawką. 5 września Niemcy definitywnie przełamali północny odcinek frontu Armii „Łódź”, broniony przez 10 DP, zmuszając wszystkie oddziały armii do odwrotu. Wróg zaczął szybko zbliżać się do miasta Łodzi.

2. Znaczenie wojskowe miasta Łodzi

W sierpniu 1939 r. Łódź była drugim pod względem wielkości miastem II Rzeczypospolitej. Zamieszkiwało ją wówczas ponad 680 tys. osób, w tym około 230 tys. Żydów i ponad 60 tys. Niemców. Miasto będące głównym ośrodkiem przemysłu włókienniczego w Polsce, położone w terenie nie mającym przeszkód wodnych i fortyfikacji wojskowych, nie nadawało się do długotrwałej obrony.

W okresie międzywojennym Łódź była siedzibą Dowództwa Okręgu Korpusu nr IV (DOK IV), wojskowego organu administracyjno-terytorialnego, którego znaczna część kadry miała w czasie wojny działać w kwatermistrzostwie Armii „Łódź”. Ostatnim dowódcą okręgu był gen. bryg. Wiktor Thommée, który w latach 1938–1939 był odpowiedzialny za przygotowanie tego obszaru do wojny, również w zakresie OPL i OPGaz. Od 1 września 1939 r. dowodził on Grupą Operacyjną „Piotrków” utworzoną przez gen. dyw. J. Rómmla, składającą się z 30 DP i Wołyńskiej BK.

Przed wojną miasto Łódź było dużym garnizonem wojskowym. Na jego terenie stacjonowały głównie oddziały liniowe, przede wszystkim 28 Pułk Strzelców Kaniowskich, zwany popularnie pułkiem „Dzieci Łódzkich” (lub pułkiem „Dzieci Łodzi”), 10 Kaniowski Pułk Artylerii Lekkiej, dywizjon 4 Pułku Artylerii Ciężkiej i 3 batalion 31 Pułku Strzelców Kaniowskich, które w lipcu i sierpniu wyjechały z Łodzi.

W mieście pozostał sztab Armii „Łódź”, który rezydował w dawnym pałacu Heinzla na terenie parku Julianowskiego. Ppłk P. Weiss, oficer sztabu 10 DP oceniał położenie tego najważniejszego stanowiska dowodzenia w mieście następująco: „Wybranie tej luksusowej siedziby położonej około pół kilometra za miastem na głównej szosie na Zgierz, usytuowanej na górze, gdzie wśród zielonego parku wyraźnie odznaczały się białe marmury pałacu, wydawało się nam już wtedy ignorancją spraw wojny nie do darowania [...] ta przestępcza lekkomyślność czynników miarodajnych

sztabu armii „Łódź” wydała się mi po prostu zbrodnią w stosunku do elementarnych prawideł obrony przeciwlotniczej”¹.

W pierwszym tygodniu wojny miasto Łódź było przede wszystkim zapleczem „Armii Łódź”. Fakt ten determinował jego duże znaczenie wojskowe w pierwszych dniach kampanii wrześniowej. W mieście znajdowała się składnica materiałów pędnych oraz magazyny żywnościowe i mundurowe – tworzące wspólnie z Główną składnicą Uzbrojenia i Amunicji w Regnach koło Łodzi oraz magazynami wojskowymi w Gałkówku podstawowy ośrodek zaopatrzenia dla Armii „Łódź” i Armii „Poznań”.

Miasto było jednocześnie dużym węzłem komunikacyjnym, przede wszystkim kolejowym, przez który przejeżdżały transporty wojskowe dla armii walczących na kierunku zachodnim i południowym, a także wspierające je pociągi pancerne. Szczególną rolę odgrywał w tym zakresie tranzytowy dworzec PKP Łódź Kaliska. Nieco mniejsze znaczenie miał dworzec Łódź Widzew, łączący peryferie miasta ze stacją Koruszki.

W rejonie Łodzi znajdowały się również dwa lotniska. Znaczenie wojskowe miało jedynie lądowisko polowe Widzew-Żdźary. Z lotniska Lublinek, będącego na liście najważniejszych łódzkich celów lotnictwa niemieckiego, ewakuowano wszystkie samoloty.

3. Bierna obrona przeciwlotnicza Łodzi

System samoobrony przeciwlotniczej w Łodzi zaczęto tworzyć już w marcu 1939 r. W jego ramy włączono przede wszystkim kierownictwa instytucji i urzędów wojskowych, wojewódzkich i samorządowych oraz zakładów przemysłowych i różnego rodzaju organizacji społecznych.

Szczególną aktywność w tym zakresie wykazywali wówczas oficerowie DOK IV wyznaczeni do realizacji tego zadania, ściśle współpracujący z działaczami miejskich ogniw Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej oraz komendantkami łódzkich oddziałów Organizacji Przystosobienia Wojskowego Kobiet, Pogotowia Harcerek i żeńskich pododdziałów Związku Strzeleckiego. Działaczki wymienionych stowarzyszeń społecznych skoncentrowały się wówczas na przygotowaniu członkiń do pomocniczej służby wojskowej, a zwłaszcza na doskonaleniu działania służb: obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej, samarytańskiej, łączności, gospodarczej i opieki nad ewakuowanymi.

¹ Centralne Archiwum Wojskowe, II/3/13, s. 88.

WMBP
m.
J. P.

10671-A

Od lipca 1939 r. aktywnie działały w Łodzi oficjalne organy OPL, przede wszystkim Komisja Rozproszenia, której przedstawiciele organizowali w lokalach kin i teatrów szkolenia dla właścicieli nieruchomości zobowiązanych do zabezpieczenia swoich budynków i lokatorów przed skutkami nalotów i ostrzału artyleryjskiego. Mieli oni również zachęcać mieszkańców do wyjazdu na tereny wiejskie, mniej narażone na bombardowania.

W ostatnim przedwojennym tygodniu aktywnie działała Komenda Budowy Rowów (przeciwlotniczych). Prasa łódzka intensywnie propagowała wówczas sposoby zwiększania wytrzymałości stropów piwnic i przystosowania tych pomieszczeń do spełniania roli schronów oraz zasady postępowania ludności po ogłoszeniu alarmu przeciwlotniczego i podczas przebywania w budowlach i prowizorycznych pomieszczeniach ochronnych.

Jednocześnie mieszkańcy Łodzi, którzy zdecydowali się na pozostanie w mieście zagrożonym bombardowaniami, zaczęli gromadzić zapasy żywności. 27 sierpnia 1939 r. władze miejskie utworzyły milicję obywatelską jako narzędzie do walki z lichwą. W ostatnim dniu pokoju starosta łódzki wydał zakaz sprzedaży i podawania napojów alkoholowych.

Od 1 września w Łodzi obowiązywał stan wojenny zarządzony przez Prezydenta RP. Oznaczało to zawieszenie swobód konstytucyjnych, a więc wolności obywatelskiej, rękojmi nietykalności mieszkania, wolności słowa, tajemnicy korespondencji i wolności zrzeseń.

Od początku wojny niemieckie wyprawy bombowe codziennie kilkakrotnie przelatywały nad Łodzią, trasą zachód - wschód, głównie kierując się na Warszawę. Pierwszego dnia zaatakowały one składnicę amunicji w pobliskim GałkóWKu, niszcząc kilka jej drugorzędnych obiektów.

Lotnictwo niemieckie już wówczas całkowicie panowało w pasie działań Armii „Łódź” i na jej zapleczu. Fakt ten potwierdził m.in. płk S. Arciszewski, który 2 września, wykonując zadanie postawione przez gen. dyw. Rómmla, był świadkiem bombardowań trzech miast: Łodzi, Tomaszowa Mazowieckiego i Piotrkowa Trybunalskiego. Tego dnia lotnictwo niemieckie uszkodziło część obiektów dworca PKP Łódź Kaliska i zburzyło kilka domów przy pobliskiej ulicy Bandurskiego. Zginęło wówczas kilka osób, a kilkanaście zostało rannych.

W następnych dniach lotnicy niemieccy, ośmieleni słabością łódzkiej czynnej OPL, ostrzeliwali z niewielkiej wysokości ulice i domy w centrum miasta, m.in. obecny Łódzki Dom Kultury.

4 września dziewięć Messerschmittów Me-109 zaatakowało lotnisko polowe Widzew-Żdźary. Zniszczyły one wówczas 6 polskich myśliwców, a cztery poważnie uszkodziły. Podczas walki zginął jeden pilot dywizjonu i kilku żołnierzy z obsługi naziemnej.

Tego samego dnia lotnictwo niemieckie zbombardowało stację Łódź Widzew. Zniszczyło ono kilka obiektów kolejowych i OPL oraz zabiło kilkanaście osób. Na posterunku Pogotowia Harcerskiego polegli wówczas: Irena Błoch, Stanisława Iskra, Regina Kolasa i Jan Kamiński. W pięćdziesiątą czwartą rocznicę ich śmierci odsłonięto tablicę pamiątkową na budynku dworca, którą ufundowała Komenda Łódzkiej Chorągwi ZHP.

5 września lotnicy niemieccy zniszczyli część obiektów lotniska na Lublinku oraz składnic wojskowych w Regnach i Gałkówku.

Podczas bombardowań Łodzi – w dniach od 2 do 5 września – prawdopodobnie zginęło około 350 osób cywilnych. Dokładne statystyki ofiar nalotów nie zachowały się. Niemcy stracili wówczas 2 samoloty – jeden nad Julianowem a drugi nad Widzewem (zestrzelony przez OPL lotniska polowego).

6 września bombowce nurkujące zaatakowały dobrze widoczną julianowską siedzibę dowództwa i sztabu Armii „Łódź”. Płk S. Arciszewski, który został ranny w czasie tego nalotu, następująco przedstawił swoje refleksje związane z tym tragicznym wydarzeniem: „...sztab rezydował wytwornie, jak podczas pierwszej wojny światowej, w reprezentacyjnym pałacu, znanym wszystkim łódzkim Niemcom i konfidentom. Rezydował już od miesięcy, a że ta wyraźna prowokacja odniosła skutek tak późno, należy może przypisywać chęci Niemców zachowania sobie tego celu do chwili, kiedy dezorganizacja sztabu wyda najlepsze owoce. Omal że im się to nie udało. Gdyby bomby niemieckie spadły po południu dnia 5.9. na pełen sztab, przed wydaniem rozkazu odwrotu, na pewno z rozciągniętych kordonem wojsk nie wyszłaby nawet ta reszta, która się później broniła w Warszawie i Modlinie. Niemcy się pomylili o pół dnia, a poza tym źle celowali. Z 12 ciężkich bomb, które zrzucili tuż przed godziną 6.00 na pałac Julianów, nie trafiła ani jedna. Byli zabici (m.in. ppłk dypl. Chrzastkowski), byli lekko ranni (m.in. generał i ja), ale poza pałacem, w drodze między nim a rowami przeciwlotniczymi wykopanymi w parku Julianowskim. Na ogół sztab ocalał i tylko w tempie nieco przyspieszonym ruszył na nowe m.p. Ale zupełnie planowo”².

² „Bellona” 1946, z. 1, s. 10.

W wyniku bombardowania zginęło kilku oficerów i żołnierzy. Niemcy zniszczyli także centralę telekomunikacyjną i siedem samochodów ciężarowych, w tym jeden przewożący mapy sztabowe.

Na miejscu uszkodzonego wówczas i później rozebranego dawnego pałacu Heinzla znajduje się obecnie tablica z napisem: „Pamięci żołnierzy sztabu Armii »Łódź« poległych w tym miejscu 9 września 1939 roku. Łodzianie”. Jej fundatorzy – Zarząd ZBOWiD Dzielnicy Bałuty – popełnili niestety błąd w datowaniu tego tragicznego wydarzenia.

Ostatni oficerowie zbombardowanego sztabu Armii „Łódź” wyjechali z miasta 6 września o godzinie 10. W parku Julianowskim pozostawiono posterunek składający się z kilku żandarmerów, który miał kierować przybywających oficerów łącznikowych do Mszczonowa, gdzie przygotowywano nowe stanowisko dowodzenia armii. W niewyjaśnionych okolicznościach żandarmi opuścili Łódź po kilkunastu godzinach służby. Fakt ten potwierdził m.in. gen. bryg. W. Thommée, który następnego dnia przebywał w Łodzi. W tej sytuacji zaczął on na własną rękę skupiać rozproszone oddziały Armii „Łódź”.

4. Lotnicza obrona Łodzi

Podstawą lotnictwa Armii „Łódź” był III/6 Dywizjon Myśliwski składający się z dwóch eskadr: 161 – wyposażonej w 10 PZL P-11C i 2 PZL P-11A oraz 162 eskadry – mającej 10 PZL P-7A. Najszybsze z polskich samolotów osiągały prędkość 375 km/h, posiadały 2 karabiny maszynowe i radiostację pokładową. Były one jednak wolniejsze i słabiej uzbrojone od większości bombowców Luftwaffe. Najliczniejsze wówczas niemieckie myśliwce Messerschmitt 109E1 osiągały prędkość 570km/h i były uzbrojone w 4 karabiny maszynowe.

W tej sytuacji szanse na zwycięstwo miał atak z przewagi wysokości, przeprowadzony na wybranym odcinku tras niemieckich wypraw bombowych. Taką formę walki powietrznej nazywano potocznie zasadzką. Z kolei tzw. wymiatanie polegało na patrolowaniu odcinka frontu lub zaplecza co najmniej dwoma kluczami myśliwców w celu uzyskania czasowej przewagi lotniczej nad wybranym terenem.

Działalność dywizjonu w pierwszych dniach wojny oparta była na sieci dozoru w Łodzi. Informacje dostarczane przez

jej posterunki dowódca dywizjonu, mjr pil. Stanisław Morawski, przekazywał pilotom posiadającym radiostacje pokładowe.

Od 1 września samoloty obu eskadr wykonywały akcje wymiatania w rejonie frontu i zaplecza Armii „Łódź” oraz atakowały z zasadzek niemieckie wyprawy bombowe. Już 2 września ppor. Dzwonek i ppor. Kramarski zestrzelili bombowiec He-126, a klucz ppor. Koca zniszczył nad Łodzią bombowiec JU-86. Tego samego dnia lotnicy 162 eskadry zestrzelili dwa myśliwce Me-110 i jeden bombowiec He-111. Kpr. pil. Malinowski zniszczył wówczas niemiecki samolot, który atakował ppor. Dzwonka ratującego się na spadochronie.



Ppor. pil. Edward Kramarski

3 września dywizjon zestrzelił kolejne 3 niemieckie samoloty, tracąc jeden pomyłkowo zniszczony przez własne oddziały w rejonie Łodzi.

Duża koncentracja niemieckiego lotnictwa myśliwskiego na głównym kierunku natarcia ich wojsk zadecydowała o dominacji Luftwaffe w rejonach działań Armii „Łódź” i na jej zapleczu, a co za tym idzie o ciężkich stratach poniesionych w okresie bitwy granicznej przez eskadry myśliwskie, rozpoznawcze i obserwacyjne przydzielone do tej armii. Straciły one w tym czasie 52% samolotów, podczas gdy średnia strat całego lotnictwa polskiego wynosiła 27%.

W najcięższej sytuacji był III/6 Dywizjon Myśliwski, który 4 września po ataku Luftwaffe na jego lotnisko posiadał jedynie 8 sprawnych samolotów bojowych, tj. 36% stanu etatowego, co praktycznie wyłączyło jego eskadry z walki.

5 września mjr Morawski otrzymał rozkaz przesunięcia dywizjonu na lotnisko Drwalew koło Grójca do dyspozycji dowódcy Brygady Pościgowej. Następnego dnia obie eskadry odleciały na nowe lądowisko.

Podczas walk w rejonie Armii „Łódź” III/6 Dywizjon zestrzelił ogółem 9 samolotów, w tym 2 myśliwce, przy stracie 14 własnych

maszyn. Poległo wówczas 3 pilotów: por. T. Jeziorowski, ppor. E. Kramarski i ppor. P. Ruszel.



Ppor. pil. Piotr Ruszel

6 września 1939 r. w lotniczej obronie Łodzi uczestniczyło 18 myśliwców (wszystkie samoloty zdolne do walki) Brygady Pościgowej należącej do lotnictwa dyspozycyjnego Naczelnego Wodza. Prawdopodobnie jej tzw. akcja zaczepna w rejonie Łodzi miała również odwrócić uwagę Luftwaffe od zbombardowanego przez Niemców tego dnia sztabu Armii „Łódź” przemieszczającego się z Łodzi na nowe stanowisko dowodzenia w Mszczonowie oraz od III/6 Dywizjonu Myśliwskiego przegrupowującego się ze zniszczonego lotniska na Widzewie do Drwalewa koło Grójca.

Dowódca akcji zaczepnej, kpt. Adam Kowalczyk następująco przedstawił ją w swoim sprawozdaniu uzupełniającym: „Okolo godz. 16.40 zaatakowaliśmy na południowy wsch. od Koła wyprawę bombową lecącą w 2 falach na wysokości 1800 – 2500 m w kierunku na Łódź. Pierwszy atak przez zaskoczenie, następnie po rozbiciu szyków nieprzyjaciela – pościg. Straciliśmy 6 samolotów w ciągu 7–10 minut, a cztery uszkodziliśmy. Jednak walkę trzeba było przerwać z powodu wyczerpania się amunicji i benzyny”³.

Na własne lotniska powróciło tylko 10 polskich samolotów (1 myśliwiec zaginął a 7 wylądowało w przygodnym terenie z powodu odniesionych uszkodzeń lub wyczerpania benzyny).

Obronę Armii „Łódź” wspierał przez jeden dzień również X Dywizjon Bombowy Brygady Bombowej należącej do lotnictwa dyspozycyjnego Naczelnego Wodza. Dywizjon posiadał 18 samolotów „Łoś” rozwijających prędkość maksymalną do 412 km/h, uzbrojonych w trzy karabiny maszynowe i bomby o ogólnym ciężarze około 3000 kg.

³ Polski Instytut i Muzeum w Londynie, t. LOT/IV/2.

3 września X Dywizjon Bombowy wylądował na lotnisku polowym Kuciny-Dzierżanów, oddalonym jedynie kilkanaście kilometrów od linii frontu.

Następnego dnia samoloty 11 (211) eskadry wykryły i skutecznie zbombardowały kolumny wozów bojowych i samochodów niemieckiego korpusu pancernego na szosie Wieluń-Radom. Mniej szczęścia miała 12 (212) eskadra, która napotkała zmasowany ogień broni przeciwlotniczej i została zaatakowana przez niemieckie myśliwce. Ogółem podczas rozpoznania i wypraw bombowych stracono 7 „Łosi”.

Tego samego dnia Luftwaffe kilkakrotnie zbombardowała lotnisko Kuciny niszcząc zbiorniki paliwa oraz składy bomb i amunicji.

4 września był więc czarnym dniem obu dywizjonów – myśliwskiego i bombowego wspierających działania obronne Armii „Łódź”. Poniesione straty wyłączyły ich eskadry z walki.

Następnego dnia X Dywizjon Bombowy przenieśli się na swoje poprzednie lotnisko koło Dębłina. Niemieckie myśliwce zestrzeliły wówczas odlatujący z Kucin samolot pomocniczy Fokker F-VII(b)3m, ewakuujący dowódcę 12 eskadry oraz zniszczyły „Łosia”, który nieco wcześniej rozbił się podczas lądowania w Kucinach.

O bohaterstwie polskich lotników poległych w rejonie Łodzi przypomina kwatera na cmentarzu wojskowym pw. św. Jerzego (przy ul. Wojska Polskiego i Strykowskiej), często błędnie nazywana mogiłą załogi „Łosia”, oraz tablica pamiątkowa na Widzewie.

W kwaterze cmentarnej spoczywają szczątki czterech lotników:

por. pil. Tadeusza Jeziorowskiego, ppor. pil. Edwarda Kramarskiego, ppor. pil. Piotra Ruzsela i kpt. obserwatora Jana Balińskiego.

Tadeusz Jeziorowski urodził się 15 listopada 1908 r. Był kawalerem Krzyża Walecznych (za obronę Płocka w 1920 r.). W III/6 Dywizjonie Myśliwskim pełnił obowiązki oficera taktyczno-operacyjnego. Poległ 4 września 1939 r. podczas ataku niemieckich samolotów na lotnisko Widzew-Żdżary.



Por. pil. Tadeusz Jeziorowski

Edward Kramarski urodził się 15 listopada 1915 r. Był prymusem Szkoły Podchorążych Lotnictwa. 31 sierpnia 1939 r. mianowano go podporucznikiem. Poległ 2 września 1939 r. w walce z niemiecką wyprawą bombową kierującą się na Łódź, podczas której zestrzelił wspólnie z ppor. Janem Dzwonkiem bombowiec Hs-126. Pośmiertnie odznaczono go Krzyżem Walecznych.

Piotr Ruszel urodził się 12 sierpnia 1918 r. Był pilotem 161 Eskadry Myśliwskiej. Poległ 2 września 1939 r. w walce powietrznej nad dworcem PKP Łódź Kaliska.

Jan Baliński urodził się 6 sierpnia 1909 r. Był absolwentem Oficerskiej Szkoły Piechoty. Ukończył również kurs obserwatorów lotnictwa w Dęblinie. Od 3 września dowodził 12 (212) Eskadrą Bombową. 5 września został ciężko ranny podczas przymusowego lądowania samolotu transportowego Fokker, uszkodzonego przez niemieckie myśliwce. Zmarł wieczorem w łódzkim szpitalu wojskowym. Pośmiertnie odznaczono go Krzyżem Srebrnym Virtuti Militari.

Patronat nad kwaterą poległych lotników sprawują uczniowie pobliskiego XXXV Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Stefana Batorego.

W trzydziestą rocznicę śmierci bohaterskich pilotów odsłonięto na frontonie budynku ówczesnego Zespołu Szkół Rolniczych w Żdżarach tablicę poświęconą „Lotnikom Lwowskiego Dywizjonu Myśliwskiego, którzy zginęli nad Widzewem w walkach powietrznych w obronie Łodzi podczas kampanii wrześniowej w 1939 roku” ufundowaną przez ich Kolegów – towarzyszy broni.

5. Sytuacja w Łodzi po przełamaniu przez Niemców głównej pozycji obrony Armii „Łódź”

4 września 1939 r. Niemcy, korzystając z zamieszania wśród znacznej części oddziałów 10 DP obsadzających pod ogniem artylerii główną pozycję obrony Armii „Łódź” nad Wartą, częścią sił sforsowali rzekę i wyszli wprost na dwa plutony pułku „Dzieci Łódzkich” (łódzkiego 28 psk), broniące podejść do wioski Glinno. Oddziały hitlerowskie poniosły dotkliwe straty od dobrze wstrzelanych ckm. Mimo to udało się im obejść polskie stanowiska od wschodu, gdzie nie było otworów strzelniczych i wybić ich załogi.

Kilku żołnierzy broniących się w ostatnim bunkrze, najbliżej Glinna, zostało spalonych miotaczami ognia.

Niemcy szybko rozszerzali uchwycone przyczółki. 5 września w godzinach popołudniowych definitywnie przełamali główną pozycję obrony na północnym skrzydle Armii „Łódź”.

Wiadomości o powyższych sukcesach niemieckich szybko dotarły do Łodzi powodując krańcowo różne reakcje miejscowych władz i ludności – od konsolidacyjnych po panikarskie i ewakuacyjne.

Już 4 września Jan Kwapiński, prezydent Łodzi, zaproponował płk. Dziuszyńskiemu, komendantowi wojskowemu Łodzi, rozpoczęcie przygotowań do obrony miasta poprzez rozbudowanie wokół niego pozycji obronnych i utworzenie ochotniczych batalionów. Władze wojskowe odrzuciły ten wniosek licząc, że Armia „Łódź” mimo wszystko powstrzyma Niemców.

Nastroje zwątpienia w siłę polskiej armii umacniały też coraz liczniejsze rzesze uciekinierów z okolic Kalisza, Sieradza i Piotrkowa Trybunalskiego przechodzące przez miasto.

5 września w godzinach wieczornych, po dotarciu do Łodzi wiadomości o ostatecznym przełamaniu przez Niemców głównej pozycji obrony Armii „Łódź” oraz o ewakuacji rządu na wschód, miasto zaczęły opuszczać władze wojskowe, wojewódzkie i samorządowe. Kontakt z nimi miał utrzymywać mjr dypl. Kazimierz Kowalski ps. „Wyrwa”, wyznaczony przez wojewodę łódzkiego Henryka Józewskiego i DOK IV na stanowisko tajnego pełnomocnika państwowego dla organizowania samopomocy i samoobrony ludności.

Następnego dnia, po zamknięciu sklepów i zabezpieczeniu banków, wyjechały załogi komisariatów policji i straży pożarnej. Gorączka ewakuacyjna ogarnęła także część mieszkańców, głównie młodzież pragnącą dotrzeć do rejonów formowania się nowych oddziałów na wschodzie. Z miasta wyjechało wówczas także wielu Żydów przerażonych pogłoskami o dyskryminacyjnych działaniach najeźdźców.

W tej sytuacji 6 września ukonstytuował się Komitet Obywatelski Miasta Łodzi na czele z sufraganiem łódzkim, księdzem biskupem Kazimierzem Tomczakiem. W swojej pierwszej odezwie powiadomił on mieszkańców o wyjeździe władz państwowych i miejskich oraz zaapelował o zachowanie spokoju i dyscypliny.

Następnego dnia przemaszerowały przez Łódź ostatnie oddziały 2 DP Leg i 28 DP, nad którą dowództwo przejął gen W. Thommée.

Od tego momentu władze w mieście sprawował Komitet Obywatelski. Podporządkowana mu milicja obywatelska utrzymywała porządek i zapewniała bezpieczeństwo mieszkańcom. Aktywne były również drużyny Organizacji Przysposobienia Wojskowego Kobiet, które po wyjeździe personelu składnicy wojskowej rozdawały ocalałe zapasy żywności.

8 września 1939 r. Komitet Obywatelski ogłosił Łódź miastem otwartym i poddał je dowódcy niemieckiej 17 DP gen. Hubertowi. Następnego dnia wojska hitlerowskie (jeden pułk piechoty z artylerią) wkroczyły do Łodzi ulicą 11 Listopada (obecnie Legionów) witane entuzjastycznie przez miejscowych Niemców.

10 września do miasta zaczęły docierać wiadomości o ofensywie Armii „Poznań” i wyzwoleniu Łęczycy, które rozbudziły nadzieje na odbicie Łodzi. W dowództwie Armii „Warszawa”, kierowanym od 8 września przez gen. dyw. J. Rómmla i zdominowanym przez oficerów sztabu Armii „Łódź”, krążyły wówczas pogłoski o rzekomym wyzwoleniu naszego miasta. Zostały one jednak szybko zdementowane.

Po załamaniu się polskiej ofensywy nad Bzurą władze hitlerowskie w Łodzi ujawniły swoje prawdziwe oblicze. Zaczęły się policyjne łapanki do robót publicznych i otwarte dyskryminowanie Żydów. Funkcjonariusze przybyłej do miasta forpocztę hitlerowskiej policji bezpieczeństwa zaczęli organizować i przeprowadzać pierwsze akcje represyjne.

Rozpoczął się najtragiczniejszy okres w dziejach miasta Łodzi.



Architektura Łodzi (fot. K. Kaszuba)

Jerzy Gałęba

III LO im. T. Kościuszki

W natłoku codzienności mało kto pamięta, że obecna siedziba III Liceum Ogólnokształcącego przy ul. Sienkiewicza 46 obchodzi w br. 110-lecie swojego istnienia i figuruje na liście obiektów zabytkowych miasta.

Z dokumentów wynika, że budynek szkolny, zaprojektowany przez znanego łódzkiego architekta – **Hilarego Majewskiego**, wzniesiony został w latach 1886 – 1891 jako Rządowe Gimnazjum im. Romanowych.

Gmach – usytuowany w kształcie litery U (front z dwoma skrzydłami), ma symetryczny układ i stanowi udaną mieszankę architektury dojrzałego renesansu włoskiego i francuskiego. Jest też przykładem jednego z nielicznych obiektów szkolnych Łodzi z końca XIX wieku, który niezmiennie służy polskiej oświacie.

Uczyła się w nim młodzież polska, niemiecka, rosyjska i żydowska – już wtedy realizując bliskie nam dziś idee współczesnej Europy.

Metryka szkoły

♦ **We wrześniu 1916 r.** Wydział Szkolny w Łodzi powołał Męską 4-klasową Szkołę Miejską, której kierownikiem został **Leon Starkiewicz**.

♦ **W 1919 r.** Rada Miejska podjęła uchwałę o przekształceniu szkoły w 8-klasowe Męskie Gimnazjum przyrodniczo-matematyczne.

♦ **W 1921 r.** szkoła otrzymała imię **Józefa Piłsudskiego**.

♦ **W 1933 r.** zgodnie z decyzją Min. WRiOP klasy trzecie zostały przekształcone w klasy pierwsze 4-letniego gimnazjum.

♣ **W 1937 r.** absolwenci gimnazjum rozpoczęli naukę w 2-letnim liceum.

♣ **W grudniu 1939 r.** nastąpiła przerwa w dotychczasowej działalności i okupant hitlerowski urządził tu Berufsschule für Mädchen.

♣ **W lutym 1945 r.** gimnazjum i liceum wznowiły pracę, otrzymując w rok później nazwę I Miejskiego Gimnazjum i Liceum im. **Tadeusza Kościuszki**.

♣ **Od 1949 r.**, po nacjonalizacji, nadano szkole nazwę XXI Państwowego Gimnazjum i Liceum im. T. Kościuszki, zamienioną od września tego roku na III Ogólnokształcącą Szkołę Stopnia Podstawowego i Licealnego TPD.

♣ **w 1962 r.** ustalona została ostatnia zmiana nazwy, spowodowana kolejną reorganizacją szkolnictwa – **III Liceum Ogólnokształcące im. T. Kościuszki**.

Współcześnie szkoła ta (od 1957 r. stowarzyszona w UNESCO) kontynuuje tradycje otwartości.

– *Staramy się kształtować osobowość młodzieży polskiej w duchu wzajemnego zrozumienia i porozumienia ponad podziałami etnicznymi i politycznymi. Współpracujemy z **Ganztagsgymnasium Barsinghausen** (porozumienie o stałej współpracy podpisano 1 maja 1988 r.) oraz utrzymujemy przyjazne kontakty z **Kuratorium für das Lodzer Deutsche Gymnasium** – mówi prof. **Marek Kaczorowski** – ostatni na liście dyrektorów tej placówki, którą otwiera nazwisko **Leona Starkiewicza**, pełniącego swoją funkcję w latach 1916-1939. Pierwszym po II wojnie światowej dyrektorem tej szkoły był do 1959 roku **Mieczysław Woźniakowski**, następnie do 1971 roku – **Bolesław Dębski**, później do 1979 roku – **Bolesław Kuroczkin** i do 1991 roku – **Rafał Olbrychowski**. Zarówno Miejskie Gimnazjum Męskie, jak i III LO wyróżniały się wysokim poziomem nauczania i w rankingach zaliczane były niezmiennie do grupy najlepszych szkół w Łodzi.*

W latach 1945 – 1999 wśród uczniów szkoły było: → przeszło stu finalistów olimpiad przedmiotowych i innych szkolnych konkursów ogólnopolskich → dwie złote medalistki międzynarodowej olimpiady jęz. rosyjskiego w Moskwie (w roku 1972 – Bogumiła Wolska i w 1984 r. – Halina Ziętkiewicz) → gwiazdy polskiego sportu – zwycięzcy w mistrzostwach Europy i świata.

Na odświeżanej co roku – liczącej już w sumie kilka tysięcy osób – liście absolwentów jest m.in. nazwisko odkrywcy polskiej siarki – **Stanisława Pawłowskiego**, marszałka sił zbrojnych Ludowego WP – **Mariana Spychalskiego**, politologa – **Władysława**

Bieńkowskiego, wiceministra przemysłu w pierwszym powojennym rządzie PRL – **Henryka Golańskiego**.

Są ludzie pióra – literaci i poeci: **Marian Piechał**, **Grzegorz Timofiejew**, **Zenon Kononowicz**. Jest także **Piotr Skrzynecki** – dobry duch krakowskiej Piwnicy Pod Baranami, **Jan Machulski** – aktor i reżyser, znany aktor – **Jacek Chmielewski** oraz nauczyciel akademicki – **Lucjan Siewierski**. Są kolejni rektorzy Politechniki Łódzkiej: aktualny – **Józef Meyer**, oraz jego poprzednik – **Jan Krysiński**, z bratem-bliźniakiem (polonistą) **Włodzimierzem**. Są także prorektorzy Akademii Medycznej – **Dariusz Brykalski** oraz **Jerzy Mikucki**, hydrobiolog i zoolog – **Krzysztof Jażdżewski**.

Na liście absolwentów są także nazwiska znanych dziennikarzy: **Marka Grońskiego** („Polityka”) i nieżyjącego już **Jerzego Katarasińskiego** („Dziennik Łódzki”, „Odgłosy”). Jest **Andrzej Jocz** – rzeźbiarz. W gronie absolwentów są także parlamentarzyści: **Andrzej Kern**, **Marek Markiewicz** i **Stefan Niesiołowski** oraz znani sportowcy: **Katarzyna Nowak** – tenisistka i **Grzegorz Filipowski** – uprawiający łyżwiarstwo figurowe.

Jest również wyróżniony w maju br. (na miesiąc przed śmiercią) tytułem Honorowego Obywatela Miasta Łodzi – **Jan Kozielewski**, legendarny kurier podziemia (**ps. Jan Karski**), który w 1942 roku przedostał się na Zachód z pierwszą wiadomością o hitlerowskiej zagładzie Żydów. Po wojnie – jak wiadomo – pozostał w USA. Wykładał m.in. historię dyplomacji na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Dwukrotnie odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Był kawalerem Orderu Orła Białego, Honorowym Obywatelom Izraela, otrzymał dyplom: Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata. W Muzeum Historii Miasta Łodzi jest jego gabinet – otwarty w październiku 1999 roku – z cennymi, osobistymi pamiątkami.

– To była wspaniała szkoła – wspominał po latach – Posiadała odcień radykalny, jak cała Łódź, zwana nie bez powodu „czerwoną Łodzią”.

*Idolem wśród znanych postaci był **Julian Tuwim** – także absolwent naszej szkoły. Bez wspomnienia go nie mogła się odbyć żadna akademii. W mojej klasie trzymałem z grupą uczniów żydowskich. Pomagałem im w polskim, literaturze, gramatyce oraz historii. Oni natomiast wyjaśniali mi matematykę, fizykę, chemię. Wiedzieli, dlaczego nie wlewać wody do kwasu, a ja – dlaczego Polska XIV-wieczna skłaniała się ku Litwie, a nie Niemcom – mówił w wywiadzie dla łódzkiej „Gazety Wyborczej” na dwa miesiące*

przed śmiercią. – Kiedy w 1927 roku, jako dumny sodalis mariański, wstępowałem do IV klasy Gimnazjum im. Marszałka Piłsudskiego, Łódź była innym miastem. W zgodzie żyły tu społeczności: polska, żydowska, niemiecka, rosyjska. Miasto przepętniała atmosfera liberalna [...]

Ab ovo

W Księdze Pamiątkowej Guberni Piotrkowskiej z 1887 roku napisano:

29 października 1886 r. w Łodzi, w obecności warszawskiego generała-gubernatora **Górko**, piotrkowskiego gubernatora **Zinowjewa**, kuratora warszawskiego okręgu szkolnego – **Apuch-tina**, delegatów miasta i licznej publiczności odbyło się radosne wydarzenie. Utworzono pierwsze 4 klasy Gimnazjum Męskiego VIII-klasowego i VII-klasowe Żeńskie.

Szkoła była bardzo potrzebna, gdyż istniejące – nie wystarczały dla 1,5 tys. ludności – głównie rodzin fabrykantów. Ich dzieci mogłyby dokładniej poznać swoje rzemiosło, a zarazem miałyby większe szanse na lepszy byt. Starania ze strony ludności do władz miasta Łodzi rozpoczęte zostały już w 1880 r.

Zebranie w tej sprawie odbyło się 29 września 1880 roku w Magistracie. Uczestniczyli w nim fabrykanci, rajcowie, znaczący obywatele miasta, którzy postanowili: zbierać co roku po 25 tys. rubli od wszystkich obywateli i przeznaczyć je na budowę Gimnazjum Męskiego VIII-klasowego i Gimnazjum żeńskiego VII-klasowego, jak również przekształcić istniejącą Szkołę Rzemieślniczą w Szkołę Przemysłowo-Handlową. Wszystko to było przedstawione przez Prezydenta m. Łodzi na początku 1881 r. do rozpatrzenia piotrkowskiemu gubernatorowi i ministrowi spraw wewnętrznych. Zmarły w Łodzi w 1881 roku fabrykant Karol Scheibler, ze swej strony chcąc ułatwić mieszkańcom starania u władz miasta, o otwarciu wymienionych wyżej placówek oświatowych, zapisał 60 tysięcy rubli na budowę gimnazjum. Niezależnie od tego przeznaczył jeszcze 10 tysięcy rubli dla szkoły, na stypendia dla 5 uczniów.

Na początku 1881 r. prawie jednocześnie tak ze strony gubernatora piotrkowskiego, jak i kuratora okręgu warszawskiego czyniono starania w podległych ministerstwach, aby utworzyć w Łodzi gimnazjum i zatwierdzić zbiórkę 25 tysięcy rubli na rok na utrzymanie tych placówek. Przy dalszym rozpracowywaniu tego

problemu wyjaśniło się, że nie wszyscy mieszkańcy Łodzi zgadzają się na obowiązkową zbiórkę pieniężną (316 podpisów) ustanowioną przez Magistrat i służącą głównie osobom zamożnym. Nie powinno to pociągnąć za sobą zwiększenia podatków wśród biednych i dlatego zaproponowano poważanym obywatelom miasta rozłożyć zbiórkę pieniężną między nimi. Poniesione nakłady do czasu zebrania pieniędzy obciążałyby hipoteki nieruchomości tych obywateli. Z powodu niemożności osiągnięcia zgody ze strony wyżej wymienionych osób wstrzymano budowę Gimnazjum i dopiero w 1885 roku uzyskano środki niezbędne na budowę w mieście Gimnazjum i Szkoły Handlowej.

[...] wynajęto pomieszczenia na te placówki na okres 3 lat.

[...] 1 czerwca 1886 r. w Łodzi powstały pierwsze 4 klasy G.M. i Ż.

To wydarzenie było dobrodziejstwem dla Łodzi, dla samego miasta, dla ludzi i okolic. Mieszkańcy obecnie mają możliwość, nie ponosząc dużych kosztów (na jazdę do innych miast, gdzie istnieją gimnazja), dać swoim dzieciom średnie wykształcenie zarówno klasyczne, jak i rzemieślnicze, w zależności od zdolności dziecka.

(tłumaczenie z rosyjskiego)

Po wyzwoleniu było sporo trudności. Codzienne kłopoty tamtego okresu wspomina ówczesny dyrektor – **Mieczysław Woźniakowski** w swoim pamiętniku *Było tak i siak* (Wydawnictwo Łódzkie 1982 r.)

– Pierwsze posiedzenie Rady Pedagogicznej odbyło się 9 lutego 1945 r.

W protokole tego zebrania zostały zapisane moje słowa: „Władze szkolne powierzyły mi, jako tymczasowemu dyrektorowi, zorganizowanie Gimnazjum Miejskiego w Łodzi. Pracy tej, jako wychowanek tego Gimnazjum, podejmuję się z ochotą i zaznaczam, że zawsze będę miał w ciągu mej pracy za duchowych kierowników p. prof. Zygmunta Lorentza i p. dyr. Leona Starkiewicza – moich wychowawców”.

♦ Leon Starkiewicz - ur. 24 maja 1881 r. w Będzinie, studiował na wydziale przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego. Usunięty z uczelni za udział w strajku szkolnym 1905 r. - w trzy lata później złożył egzamin w trybie eksternistycznym w Odessie, uzyskując tytuł kandydata nauk przyrodniczych. Do Łodzi przyjechał w 1910 roku i rozpoczął pracę w szkole średniej. W ciągu 20 lat kierowania Gimnazjum okazał się nie tylko wybitnym pedagogiem, ale także położył wielkie zasługi jako działacz społeczny i oświatowy. Stworzył szkołę, która praktycznymi osiągnięciami torowała drogę nowym formom wychowania społecznego i która zdobyła powszechne uznanie mieszkańców Łodzi. Wyszklony w grudniu 1939 r. udał się do Buska. Pracował w tajnym nauczaniu. Po wyzwoleniu - odrzucił propozycję powrotu na dawne stanowisko dyrektora. Zmarł w 1953 roku. Z inicjatywy wychowanków III LO przed budynkiem szkoły postawiono w 1966 roku jego pomnik dłuta Mariana Wnuka. W auli szkolnej wisi jego portret pędzla jednego z jego uczniów - Feliksa Paszkowskiego.

♦ Zygmunt Lorentz - ur. 13 września 1894 r. w Orzeszkowie (pow. łęczycki) ukończył wydział historyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. W Miejskim Gimnazjum Męskim im. J. Piłsudskiego pracował do wybuchu II wojny światowej. Był założycielem Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, pionierskim badaczem regionalizmu łódzkiego, autorem wielu publikacji - m.in. *Narodziny Łodzi nowoczesnej* (1926 r.), *Łódź i okręg łódzki jako przedmiot badań historycznych* (1939 r.). W 1934 r. zainicjował akcję odrestaurowania kolegiaty w Tumie. W 1941 r. włączył się do akcji tajnego nauczania i jednocześnie pracował w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. W 1943 r. delegatura rządu desygnowała go na kuratora oświaty i kultury okręgu łódzkiego. Aresztowany przez gestapo 16 września 1943 r. zmarł w wyniku tortur po piątym przesłuchaniu.

Jego imieniem nazwano II Studium Nauczycielskie i Technikum Przemysłu Spożywczego a także jedną z ulic na os. Koziny.

- Dotychczas zgłosiło się grono profesorów w osobach kol. kol.: Kralkowskiego, Wysokińskiej, Kamenca, Szczepaniakowej, Łobody, Pędzimeża - wspomina tamte czasy **dyr. Woźniakowski** - Brakuje jeszcze: polonisty, germanisty, łacinnika, chemika. Stwierdzono duży brak szyb w oknach i pracowniach, prawie zupełny brak kluczy oraz pęknięte rury wodociągowe.

I dalej: *Bardzo mile została przyjęta oferta kol. Kralkowskiego, który przyrzekł doręczyć podręczniki szkolne i trochę papieru kancelaryjnego. Ze względu na 25 rocznicę (odzyskania) dostępu*

do Bałtyku, która wypada 10 lutego 1945 r. uchwalono połączyć to święto z uroczystym otwarciem Gimnazjum.

Egzamin do I gimnazjalnej będzie składany tylko z jęz. polskiego i matematyki, do innych klas – ze wszystkich przedmiotów. Egzamin z jęz. polskiego i matematyki do I gimnazjalnej będzie piśmienny i ustny. Uczeń, który złoży egzamin z oceną dobrą, zostanie z ustnego zwolniony.

Termin egzaminów do I gimnazjalnej ustalono na 13 lutego 1945, na godz. 9 rano. Jako temat egzaminu piśmiennego z jęz. polskiego uchwalono: streszczenie krótkiej czytanki, odczytanej przez prof. prowadzącego egzamin. Tematy egzaminu piśmiennego z matematyki powierzono do opracowania kol. Kralkowskiemu. Ustny egzamin dla uczniów do klasy I gimnazjalnej odbędzie się systemem lekcyjnym, począwszy od czwartku o godz. 9 rano.

Komentując te postanowienia dyr. Woźniakowski podkreślił, że szkoła stać się może instytucją wychowującą w jednolitej atmosferze tylko wtedy, kiedy ogół nauczycieli będzie łączył jednolity pogląd na sens i istotę wychowawczego działania szkoły.

– Ów jednolity pogląd w żadnym wypadku nie może wiązać się z zatraceniem indywidualnych cech osobowości każdego nauczyciela. I dlatego pragnąc, by rada pedagogiczna składała się z ludzi rozumiejących się wzajemnie, bliskich sobie i życzliwych, starałem się, by w jej skład weszli przede wszystkim przedwojenni nauczyciele Gimnazjum Miejskiego, byli wychowankowie Gimnazjum oraz warszawiacy – ale możliwie nauczyciele jednej szkoły (prawie wyłącznie Gimnazjum Reja – szkoły również o pięknych tradycjach). Tych właśnie pierwszych siedmiu nauczycieli – to dawni nauczyciele, byli wychowankowie i jedna żona byłego wychowanka – a więc pani „była wychowankowa”, bardzo dobra nauczycielka historii. Działanie na rzecz scementowania grona nauczycielskiego, zespolenia ich wokół zadań szkoły – to jeden z najtrudniejszych, ale i najważniejszych obowiązków dyrektora szkoły.

Z początku to działanie udawało mi się. Później – bywało różnie. Zresztą dyrektor z czasem stracił jakikolwiek wpływ na angażowanie personelu.

Druga sprawa – to nachylenie się serdeczne ku uczniowi. Na razie była to sprawa stołówki. Jasne, że najpierw dla nauczycieli, gdyż ślaniały się moje belfry z głodu – ale bardzo szybko również i dla uczniów.

Jednak już tego pierwszego dnia byłem świadom, że szkoła musi dawać uczniowi jak najszersze i zróżnicowane możliwości

wyboru. Tak jak to było w „mojej” szkole przed wojną: od Sodalicji do różnych dyscyplin sportowych, od zajęć technicznych do filozofii, od spółdzielczości do samodzielnego spreparowania szkieletu konia, od obcowania (również twórczego) z różnymi dziedzinami sztuki po naukę tańca i stenografii.

Kalokagatia – ten starogrecki ideał wychowania jakże pięknie tu był realizowany! Szkoła – budzicielka zainteresowań i uzdolnień drzemiących w każdym uczniu, szkoła ukazująca swoim wychowankom piękno i powaby życia, kształcąca poczucie piękna i wrażliwość na potęgę umysłu, na piękno przyrody i sztuki, przekonanie o konieczności zespołowego działania, organizowania i współuczestnictwa w „walce z szatanem”, z krzywdą społeczną, wszelkim wyzyskiem i uciskiem.

Jak się taką szkołę tworzy? Jak ją tworzył on – mój poprzednik, Leon Starkiewicz, którego pomnik stanął po latach przed gmachem szkolnym – ufundowany przez wychowanków? – pyta dyr. Woźniakowski i odpowiada:

W ciągu 20 lat kierowania Gimnazjum dyr. Leon Starkiewicz okazał się nie tylko wybitnym pedagogiem, ale także położył wielkie zasługi jako działacz społeczny i oświatowy. Stworzył szkołę, która praktycznymi osiągnięciami torowała drogę nowym formom wychowania społecznego.

Władze szkolne, doceniając działalność **Leona Starkiewicza** powierzyły mu pod koniec września 1916 roku kierownictwo szkoły. Łódź odziedziczyła wówczas – w spadku po rządach carskich – najcięższą ze wszystkich społecznych plag – analfabetyzm: 55% mężczyzn oraz ponad 60% kobiet nie umiało czytać ani pisać.

Stosowna uchwała Wydziału Szkolnego brzmiała: *Biorąc pod uwagę dotkliwy brak szkół średnich w Łodzi, zbyt wygórowane wpisowe w istniejących szkołach, stąd niedostępność ich dla dzieci ze sfer niezamożnych, powzięto myśl uruchomienia szkoły czteroklasowej. Kierownikiem szkoły został mianowany prof. Leon Starkiewicz.*

Uchwała ta dała początek nowej szkole średniej, która obecnie nosi nazwę III LO im. Tadeusza Kościuszki.

Od 2 października 1916 roku rozpoczęło w niej naukę 165 chłopców z rodzin robotniczych w 3 oddziałach z 11 nauczycielami. W latach 1919-1938 ilość oddziałów wahała się w grani-

cach 9-10, a do szkoły uczęszczało rocznie 300-350 uczniów. Liczba nauczycieli wzrosła do 24.

Początkowo siedziba szkoły mieściła się przy zbiegu ul. Dzielnej i Skwerowej, następnie – w części budynku przy Nowotargowej 16. Nie było pracowni, biblioteki ani urządzeń kanalizacyjnych. Dyrektor Starkiewicz od pierwszych chwil troszczył się w sposób wyjątkowy o losy powierzonej mu młodzieży. W piśmie skierowanym do władz szkolnych pisał: *Do szkoły, którą kieruje, uczęszczają wyłącznie uczniowie szkół elementarnych, a więc pochodzący ze sfer najbiedniejszych. Uprzejmie proszę Szanownych Panów o łaskawe rozważenie sprawy obniżenia opłat szkolnych, choćby tylko na okres wojny.*

Załatwił nie tylko sprawę opłat, ale wielu uczniów otrzymało stypendia, bezpłatne obiady, ubrania, zeszyty, książki. W pierwszych latach niepodległości Gimnazjum Miejskie przeżywało trudne chwile. Władze odmówiły szkole pełnych praw 8-klasowego Gimnazjum. Wówczas Leon Starkiewicz, pragnąc zmanifestować swój negatywny stosunek do uchwały podjętej przez miasto – zrezygnował 5 kwietnia 1919 roku ze stanowiska dyrektora szkoły.

Sprawa nabrała nieprzyjemnego rozgłosu. Rada Miejska, obawiając się reakcji ze strony społeczeństwa, podjęła uchwałę, na mocy której 4-klasowa Szkoła Miejska przekształcona została w 8-klasowe gimnazjum.

Gdzie się podziały tamte...

W Łodzi w tym czasie – wspomina Stanisław Sasin – istniały dwa gimnazja męskie: „Uczelnia” kierowana przez dyr. Czeraszewicza, działacza endeckiego, oraz drugie – Zgromadzenia Kupców, skupiające głównie młodzież łódzkiej plutokracji. Część nauczycieli z „Uczelni” popadła w konflikt z kierownictwem na tle różnic politycznych. Grupa ta, z Leonem Starkiewiczem na czele, postanowiła stworzyć nową szkołę. Nie mając żadnego poparcia – a był to okres okupacji niemieckiej – wynajęła lokal przy zbiegu Dzielnej i Skwerowej organizując w nim pierwszą i drugą klasę cztero-klasowego Progimnazjum. Klasa II, rekrutująca młodzież starszą, stała się następnie zaczątkiem Seminarium Nauczycielskiego im. Ewarysta Estkowskiego przy ul. Czerwonej. Klasa I (do której chodziłem) stała się podstawą przyszłego rozwoju szkoły. Przeniosła się na ul. Nowotargową i trwała tam do czerwca 1920 roku.

Od chwili stworzenia Progimnazjum – jego organizatorzy żyli nadzieją przekształcenia tej placówki w pełne 8-klasowe gimnazjum. Marzyła o tym także młodzież, żyjąca w przekonaniu, że darem odzyskanej niepodległości będzie możliwość dalszego kształcenia się. Tymczasem decyzją władz w roku 1919 upaństwowiona została „Uczelnia” i z niej to stworzono pierwsze w Łodzi Gimnazjum Państwowe. Wówczas nasza – IV klasa w ostrej formie zademonstrowała swoje żądanie przekształcenia szkoły w pełne gimnazjum, otwierające szansę studiów. Było nas w klasie czternastu. Na lekcji polskiego prowadzonej przez p. Gastmanową daliśmy wyraz swemu oburzeniu i ton naszego wystąpienia był tak ostry, że p. Gastmanowa wybiegła z płaczem. Po chwili wszedł do klasy nauczyciel historii – wówczas jeszcze student – Edward Strzelecki (po wyzwoleniu w 1946 r. prezydent m. st. Warszawy). Wytrzymał spokojnie nasze wystąpienie i zapowiedział, że za chwilę przyjdzie do nas dr Kopciński. Rzeczywiście. Kopciński zjawił się w klasie i szybko dostosił się do panującej atmosfery. Rozładował nastrój oświadczeniem, że uważa nasze żądania za słuszne, że podziela je również Rada Pedagogiczna i że on sam zobowiązuje się zgłosić na Radzie Miejskiej wnioski o powołanie do życia Miejskiego Gimnazjum o pełnych uprawnieniach. Ówczesna Rada Miejska powstała w wyniku zwycięstwa wyborczego lewicy. Nasze wystąpienie odpowiadało programowi większości i stanowiło znakomite uzupełnienie programu powszechnego nauczania na terenie Łodzi, realizowanego z ramienia PPS przez dr Kopcińskiego.

W tydzień po opisanej demonstracji cała nasza klasa zjawiła się na posiedzeniu Rady Miejskiej (rozmieściliśmy się na galerii), a dr Kopciński wystąpił z wnioskiem o powołanie do życia gimnazjum. Wniosek został przyjęty oklaskami. W ten sposób w roku 1919 powstało Gimnazjum Miejskie.

W ramach ogólnych analiz nad pozycją poszczególnych warstw społecznych w powojennej Polsce – prowadzonych przez Zakład Badań Socjologicznych PAN – podjęto także temat dotyczący dawnej inteligencji. – mówi **Andrzej Borucki**. Wybraną zbiorowością stali się absolwenci Gimnazjum Miejskiego w Łodzi, którzy uzyskali świadectwa dojrzałości w latach 1923 – 1939. Spośród 554 przedwojennych absolwentów tego Gimnazjum udało się nawiązać kontakt ze 194. Zarówno z przeprowadzonych rozmów, jak też i na podstawie materiałów archiwalnych stwierdzono, że w Miejskim Gimnazjum Męskim istniał rozbudowany system organizacji uczniowskich. Na przestrzeni XX-lecia międzywojennego działało Koło Naukowe z kilkunastoma sekcjami, Spółdzielnia Uczniowska, Samorząd Uczniowski, Związek Harcerstwa Polskiego, Koło

Sportowe oraz Sodalicja. Trzeba też wymienić chór oraz orkiestry szkolne. Ich powiązanie z sekcją muzyczną było bardzo silne. W sprawozdaniach dyrektora poświęcono tym organizacjom i organizowanym przez nie imprezom oraz udziałowi młodzieży sporo miejsca. Zasięgiem swoim obejmowały one wszystkich niemal uczniów, jeśli spośród ogółu ankietowanych jedynie tylko 9 osób stwierdziło, że w pracach organizacji szkolnych nie brało udziału. Wszyscy oni chodzili do gimnazjum w późniejszym okresie jego istnienia – po 1930 roku. Zarówno tak liczny udział młodzieży w pracach organizacji szkolnych, jak też ilość miejsca poświęcona im w sprawozdaniach rocznych szkoły pozwalają sądzić, że był to jeden z ważniejszych – a może nawet podstawowy element procesu wychowawczego. Z uzyskanych od absolwentów informacji na temat prac tych organizacji jasno wynika, że wielu z nich nie poprzestawało na pracy w jednym kółku zainteresowań. Najlicniejsza grupa badanych – 59 osób, obok działania w określonej sekcji Koła Naukowego pracowała także w Spółdzielni Uczniowskiej. Szkoła stwarzała więc nie tylko szansę zdobycia wiedzy i dyplomu, lecz także dawała możliwość wszechstronnego wyżycia się oraz nabycia umiejętności towarzyskiego współżycia – tak istotnego dla wejścia do kręgów inteligenckich. Ta strona działalności Gimnazjum wykraczała poza ścisłe wymagania programowe i można sądzić, że miała również duże znaczenie dla siły i trwałości wpływu, jaki Gimnazjum wywarło na swych wychowanków.

→ Najstarszą drużyną ZHP w III LO jest **6 Łódzka Wodna Drużyna Harcerska**, której działalność została zawieszona. **W 1978 r. powstała w „Trójce” 8 ŁWDH.** Harcerzy łączy szczerza zażyłość, poparta zabawami podczas biwaków. Wszelako ich działalność nie ogranicza się tylko do zabaw, lecz często przyświecają jej wyższe cele – np. zbiórki na rzecz pomocy dla ofiar klęsk żywiołowych czy praca społeczna na rzecz miasta.

→ **„Con Fuoco”** – to nazwa gorącego, południowoamerykańskiego rytmu. Grupa wokalna o tej nazwie powstała w 1981 r. z inicjatywy grona dziewcząt śpiewających w 120-osobowym chórze mieszanym III LO. W ciągu kolejnych lat chór wielokrotnie występował na rzecz środowiska szkolnego w konkursach, przeglądach i festiwalach krajowych i zagranicznych, zdobywając niejednokrotnie główne nagrody. Każdego roku ten żeński chór szkolny – aż do momentu swej likwidacji w 1992 r. – rozszerzał zarówno swój skład osobowy, repertuar, jak i zakres działalności artystycznej. W jego składzie pozostawały również absolwentki szkoły – studentki łódzkich uczelni oraz pracownice wielu instytucji i zakładów pracy.

Dyrektorskim okiem...

– Zapomniałem jego nazwiska – wspomina dyr. Woźniakowski – Nie pamiętam, do której klasy został przyjęty. Do dziesiątej? Może do dziewiątej. W roku 1948? Może 1949. A może nawet i w 1950? Był kaleką. Los obdarzył go potwornym, obustronnym garbem. Głowa zdawała się być osadzona pomiędzy tymi garbami. Ręce miał długie, chude. Smutny zawsze. Zawsze sam – z dala od tych moich narowistych „cugantów”. Nie miał rodziców. Przyszedł do nas z domu dziecka. Według powierzchownych ocen nauczycieli, ocen na pewno zbyt pochopnych i dlatego niezbyt trafnych – nie błyszczał... Nie błyszczał inteligencją ani wiedzą, niczym. Nie – żeby się lenił, nie – żeby się nie interesował. Myślę, że dla niego to wszystko stało się już nieważne. Jego życie było spopielałą tragedią. Chorował. Miał gruźlicę kręgosłupa. Zabrano go do szpitala czy sanatorium, skąd już nie wrócił. Ani ja, ani żaden z „chłopców”, z tych, z którymi chciałem odświeżyć swoje wspomnienia – nie przypomnieliśmy sobie jego imienia ani nazwiska. Nikt nic nie wie o jego losach. Był. Przeszedł między nami smutny, zamknięty w sobie. Jednak oprócz wspomnienia coś po nim pozostało. Mam jego wiersz. W jakich okolicznościach ten wiersz znalazł się u mnie – nie wiem. Może złożył go redaktorom „Pracy szkolnej” i wiersz został odrzucony? Myślę, że warto go tu zacytować:

Matkom żydowskim i polskim poległym w Warszawie

DO MATKI

Kiedy myślę o Warszawie – Osten
widzę ruiny i zgliszcza –
Nad urwanym u ramion mostem
krew stu dwudziestu rozstrzelanych
za wolność.
Widzę w prostych śmierciach
zwaloną Kolumnę Zygmunta
Jak ciało mojej Matki
zawieszane na kolczastych drutach.

II.

Oczy twoje, jeśli pamiętam
miały głębię koszmarnej nocy –
coś z wylotu lufy pistoletu.
W ustach ty byłaś zamknięta,
jak drzwi prowadzące do lochu –
Głos twój był głosem tajnej radiostacji,
milioną głosem:

Ty choćbyś chciała mówić wiele – milczeniem
była twa skarga.

Matko! Jak wywołać cię widmem z Warszawy
z tej, którą'm pożegnał tamtą wiosną
ze łzami.

Matko! Jak wywołać cię z Warszawy
dzisiaj, gdzie domy
jak drzewa pod słońce rosną,
jak Mickiewiczowskich dzieł tomy,
ręką ludzką.

Ilekróć! ilekróć na ten kwiat –
kamień patrzę,
gdy gałąź nad miastem dłonią zwisa
coraz bliżej,
lecz dalej i dalej
droga, która nie wiadomo dokąd skręca –
odchodzisz tam, skąd nie przyszłaś,
a skąd prowadzi ścieżka daleko – gdzie Wisła...

Czoło twoje, jeśli przypominam,
w zastanie dymu, w akordzie salw –
było jak wygasłe popielisko,
jak niedokwitły, zdeptany kwiat
popiołem nad ziemią ojczystą.

Nagi bruk, po którym boso
mierzyłem mile
długością twych ramion –
nagi bruk jak twe ciało, które niosłem w śmierć.
Obdarte z nocy i dnia wieczornym przestrzałem.

Dłonie twoje, pamiętam je dobrze,
błyszczały gwiazdzistym światłem:
serce –
to gorące,
prawdziwe, matczyne
– było już ostatnie.

*Biło zmęczone odgłosem kanonady –
akacja ostatnia wiedła w alei,
gwiazdy pokładały się cieniem w srebrzystej Wiśle.
Za późno, za późno – szkieletem płonęło miasto –
już stałem przy tobie jak u zwałonej barykady.
Na torze życia pociąg śmierci z wojennej oktawy
zatrzymał twój cień,
gdy położono cię – cegłę obok żydowskiej
jak jedną z miliona
pod fundamenty przyszłej W a r s z a w y .*

Po drugiej stronie maszynopisu tego wiersza był napisany jego ręką drugi wiersz, ale tak nieczytelny, że w żaden sposób nie mogłem tego odczytać. U dołu z prawej strony kartki: Łądek Zdrój. Sudety N(?) 5 Marca 50 r. wieczorem.

Rozmowa z tatą

**(Wywiad z Edwardem Witkiem
przeprowadziła Katarzyna Witek – kl. II b)**

Patrzę z podziwem na klasę mojego Taty – ostatnią męską klasę, rocznik maturalny 1958. Absolwenci tej klasy też byli uczniami „Trójki”. W murach tej właśnie szkoły odbyli wiele lekcji – ale takiej jak ta, na której spotkali się w 30 lat po maturze z panem prof. Supernakiem, wychowawcą klasy uczącym rosyjskiego, nie zdarzyła się żadnemu uczniowi naszego liceum. O tej właśnie lekcji chciałabym porozmawiać z moim Tatą.

Jak wpadliście na pomysł zorganizowania takiej lekcji?

– Nasz wychowawca – pan prof. Supernak uczestniczył początkowo w naszych spotkaniach. Później kontakty te rozluźniły się. Chcieliśmy z nim znowu się spotkać i dlatego musieliśmy wymyślić coś oryginalnego. Czuliśmy, że nie odmówi nam wzięcia udziału we wspólnej lekcji. I nie pomyliliśmy się.

Jakie było nastawienie Pana Profesora?

– Profesor podszedł do lekcji bardzo serio. Spotkaliśmy się z kolegami na dziedzińcu przed szkołą o godz. 8 rano. Lekcja miała się rozpocząć o 9.00. Profesor – jak nam później opowiadał – był bardzo niespokojny, czy uda mu się zachować powagę sytuacji,

czy na nasz widok „starych koni” w ławkach nie parsknie śmiechem. I byłoby po lekcji. O godz. 8.15 wysłał żonę, by zobaczyła, jaka atmosfera panuje wśród przyszłych jego uczniów. Od tego uzależniał sposób rozpoczęcia lekcji i jej prowadzenie. Żeby nadać powagi, jeszcze na schodach „objechał” Jurka Głabińskiego za spóźnienie – jak za dawnych, dobrych czasów. Na lekcji zezwolił na filmowanie kamerą video tylko w czasie sprawdzania listy. Nie pozwolił na rozśmieszanie zebranych, kiedy jako gospodarz klasy z opaską „XI a” na ramieniu – pokazując mu podpisane przez niego zamówienie sprzed 30 lat na karty ocen – powiedział ze smutkiem: „Przepraszam Panie Profesorze, ale kart ocen nie będzie, ponieważ nie zdążyłem ich załatwić. Były trudności obiektywne, zabrakło czasu.”

Profesor przyjął to niesłychanie poważnie, z ubolewaniem. W ten sposób wygrał pierwsze starcie.

A jak było później? Czy lekcja nadal przebiegała według zwyczajnego trybu, czy też Pan Profesor pozwolił na odstępstwo od tej zasady?

– Żadne odstępstwa. Profesor rozdał przygotowany dla nas – ale nie znany nam tekst czytanki „Kapitanskaja dočka” wg Turgeniewa i powiedział „Rabotać budiem po takom principiu”. I dalej nastąpiły „reguły gry”. Profesor przeczytał czytanke, później każdy z nas czytał jej fragment, a jeszcze później każdy odpowiadał na pytania. I były oceny. Żadnych ustępstw.

Moi rówieśnicy po rocznej przerwie w nauce języka rosyjskiego twierdzą, że nie pamiętają. Wasza przerwa trwała 30 lat. Jak wypadliście?

– Tak, jakbyśmy ostatnią lekcję rosyjskiego mieli poprzedniego dnia. Wszyscy byliśmy zaskoczeni. Jeden z nas, przez 30 lat mieszkający we Francji, nigdy nie powiedział nawet słowa po rosyjsku. I wcale nie był gorszy od tych, którzy używali rosyjskiego np. na wczasach w Bułgarii. Ogólna ocena między 3+ a 4 w skali ocen od 2 do 5.

Czyli nauka nie poszła w las. Siedząc w ławkach na pewno obserwowaliście jeden drugiego i zastanawialiście się, kto i w jaki sposób się zmienił...

– Tak. Obserwowaliśmy siebie. Ale przede wszystkim Profesora. Tak jak dawniej wywoływał nas do odpowiedzi, wywijając w powietrzu „młyńca” ręką z długopisem i opuszczając długopis na listę. Długopis zawsze wskazywał, kto następny do odpowiedzi. Ciekawe, że długopis zawsze trafiał na tego, którego Profesor chciał spytać.

Co czuleś, gdy nauczyciel losował następnego do odpowiedzi”? Czy odzywała się w tobie natura ucznia?

– Chyba tak. Wybiegałem myślami do następnej partii tekstu, by nie dać się zastraszyć pytaniem, na które nie znalazłbym odpowiedzi z tej racji, że po jednokrotnym czytaniu tekstu mogłem go zwyczajnie nie pamiętać.

Dziękuję Ci, Tatusiu, za rozmowę. Życzę Twoim kolegom wielu tak wspaniałych spotkań, a mojej klasie tylu wspomnień i wspólnych przeżyć, ile mieliście wy i aby nasze szkolne przyjaźnie trwały tak, jak trwają wasze...

Od 1952 r. liceum zostało szkołą ćwiczeń PWSP a następnie Uniwersytetu Łódzkiego. → w 1966 r. III LO im. T. Kościuszki otrzymało Honorową Odznakę m. Łodzi, → w 1974 roku – Medal 550-lecia Łodzi, → w 1975 r. – Medal Komisji Edukacji Narodowej, → w 1980 – Medal za zasługi UNESCO.

Szkoła zawsze będzie funkcją swojej epoki – stwarzającej dla niej społeczne ramy działania i wyznaczającej jej rolę. W tym sensie dzieje Gimnazjum Miejskiego należą już do przeszłości. Ale przecież w mechanizmie kształtowania ludzkich osobowości, w reakcjach człowieka na zjawiska otaczającego świata, w procesach adaptacji młodej, kształtującej się dopiero psychiki do współżycia i współdziałania w szerokich ramach społecznego systemu istnieją prawidłowości trwalsze od historycznych epok – mogące dostarczyć wysoce użytecznych przesłanek również dla współczesnej praktyki pedagogicznej.

Edward Szuster

Wspomnienia o belfrach. „Dyr” i „Tata”

„Skoło, skoło, gdy cię wspominam, oczy mam pełne łez”. Tak pisał dawno temu mój dużo starszy kolega szkolny. (Dużo starszy – to znaczy ze znacznie starszego rocznika.) Tworząc swój wiersz miał około trzydziestki; ja pisząc te słowa jestem o pół wieku starszy, a w tych latach nie jest się skorym do rozczuleń. Za wiele się widziało i przeżyło. A zresztą moja szkoła to jednak nie była ta, do której uczęszczał – tak to się wówczas mówiło – Julian Tuwim. Jego szkołą było carskie gimnazjum państwowe, moją Miejskie Gimnazjum Męskie imienia Józefa Piłsudskiego. Wspólne dla nich obu były niektóre elementy materialne: gmach i jego układ wewnętrzny oraz wielkie, olśniewające bielą gipsu, posągi Ateny i Apollina przy wejściu do auli na drugim piętrze. (O ile wiem zachowały się do dziś.) Wspólne też były ramy monumentalnego portretu ustawionego na środku podestu w auli. Tylko ramy, ponieważ za czasów Tuwima obejmowały one portret Jego Cesarskiej Wysokości Mikołaja II przedstawionego w naturalnej wielkości od stóp do głowy, a za moich czasów – równie wielką postać marszałka Piłsudskiego, patrona szkoły, w szarej legionowej kurtce na tle czerwonych kotar. Podobno owe kotary służyły także Mikołajowi II, a zamiana portretowanych postaci dokonać się miała za sprawą profesora Ryszarda Radwańskiego, artysty malarza, który stary portret wykorzystał dla potrzeb nowych czasów. Tak czy inaczej wielki wizerunek Marszałka odzianego w „szary strzelca strój” spoglądał na nasze gimnastyczne ćwiczenia, jakie w auli prowadził profesor Łoboda. Patronował także odbywanym tu szkolnym uroczystościom oraz maturzystom trudzącym się nad ostatnimi zadaniami szkolnymi. Kiedy wkrótce po wojnie w tejże auli odbywał się bal byłych wychowan-

ków, monumentalnego portretu Marszałka już nie było. Domyślałem się, że władzom Litzmannstadtu był on równie wrogi jak i zniszczony przez nie pomnik Kościuszki. Zbiegiem okoliczności właśnie Kościuszko został kolejnym patronem szkoły.

Po raz pierwszy znalazłem się w murach szkoły jako uczeń VI klasy, piętnastoletni chłopak, po kilku latach uczęszczania do Gimnazjum Zgromadzenia Kupców miasta Łodzi. Dla takiego zadatku na człowieka zmiana otoczenia nie jest rzeczą łatwą; nie tylko że nic nie wiedziałem o otaczających mnie rówieśnikach, ale nawet wyglądali oni inaczej niż dotychczasowi koledzy. „U Kupców” uczniów obowiązywał czarny mundur ze stojącym, na haftki zapinanym kołnierzem i zielonymi wypustkami – przez te mundury nazywano nas tramwajarzami, bo i oni nosili się na czarno-zielono – „u Piłsudskiego” żadnych mundurów nie było, każdy uczeń odziany był tak jak go rodzice chcieli lub mogli ubrać. O przynależności do szkoły mówiła jedynie wzorowana na legionowej szara maciejówka. „Czyż jest piękniejsza czapka niżli nasza szara” – śpiewało się przy szczególnych okazjach. Musiało minąć nieco czasu, zanim uznałem tę czapkę za swoją.

2.

Przypadek sprawił, że jedyną znaną mi w nowym otoczeniu osobą był dyrektor Leon Starkiewicz. Ten siwawy starszy pan, o mocno sfaldowanym czole i oczach przesłoniętych szklami binokli, bywał czasem w naszym domu na „męskich wieczorach”, podczas których panowie grywali w preferansa, a później – gdy odmieniła się karciana moda – w brydża. Taka „znajomość” nie mogła mi, oczywiście, ułatwić oswojenia się z nowym środowiskiem; dyrektora spotykałem jedynie przypadkiem na przerwach a on reagował na mój ukłon tak, jak na ukłon każdego innego ze swych uczniów i przemierzał szkolny korytarz szybkim krokiem z miną człowieka zaaferowanego. Przeświadczenie że ma na głowie wiele spraw oraz uznanie dla jego spokoju sprawiały, że był szanowany. Mówiło się o nim „Dyr”; ten całkiem nieoryginalny pseudonim świadczył, iż dyrektor nie miał jakichś rzucających się w oczy nawyków.

Po roku przypadkowych spotkań korytarzowych zacząłem widywać dyrektora Starkiewicza regularnie na lekcjach geologii, jakie prowadził. Lubiliśmy te lekcje, szczególnie wówczas gdy odbywały się w pracowni chemicznej i były wzbogacane demonstracjami czy ćwiczeniami. Raz i drugi dyrektor wyjmował z ga-

blot próbki różnych skał czy minerałów i mówiąc o nich podawał je nam do obejrzenia i przekazania dalej sąsiadom. Kamienie te wędrowały więc wzdłuż laboratoryjnych stołów i winny były po podróży wrócić do dyrektora. Na pierwszej tego rodzaju lekcji wróciła tylko ich część, gdy kilkanaście próbek jakiś dowcipniś wpakował do teczki nieorientowanego sąsiada. Ten połapał się w sytuacji dopiero po dzwonku kończącym lekcję, gdy podniósł nieoczekiwanie ciężką teczkę. Ów świetny kawał przyjęliśmy rechotem śmiechu, a dyrektor pokiwał głową, zdjął swe okulary i popatrzył na nas wymownie. „Co rok to samo – stwierdził. – Moglibyście wymyślić coś nowego”. Oddaliśmy mu w milczeniu eksponaty i wyszliśmy z pracowni; na następnych lekcjach przekazywane nam do obejrzenia próbki wracały na dyrektorski stół w komplecie. Potem przyszła kolej na interesujące doświadczenia z boraksową perłą, którą wytwarzało się w płomieniu świecy kierowanym prądem powietrza z ustnej dmuchawki. Bez powodzenia próbowaliśmy podczas tych zajęć wzbogacić swą garderobę o efektowną szpilkę do krawata, a i tym poczynaniom dyrektor przyglądał się z pobłażliwą cierpliwością. W ostatniej, maturalnej klasie uczył nas biologii, lecz te zajęcia były mniej interesujące gdyż ograniczały się do wykładu. Po paru latach znajomości uważałem dyrektora za pobłażliwego starszego pana, ale nie sądziłem, by cieszył się on szczególnym autorytetem w pokoju nauczycielskim.

Na kilka tygodni przed maturą nasz katecheta zorganizował wycieczkę czy raczej pielgrzymkę do Częstochowy. Okres dewocji miałem już od kilku lat za sobą, drażnił mnie przymus uczestnictwa w niedzielnych nabożeństwach pod rygorem obniżenia stopnia z religii na świadectwie maturalnym, ale wybrałem się na tę pielgrzymkę. Dla towarzystwa Cygan dał się powiesić, a ja byłem już mocno zżyty z kolegami. Podczas dość długiej jazdy ksiądz katecheta zainicjował swobodną, jak mówił, rozmowę o różnych sprawach szkolnych. Dał nam podczas niej do zrozumienia, że nie może swej duszpasterskiej pracy w szkole rozwinąć tak jakby pragnął, bo spotyka się z oporem dyrektora, który oczekuje od niego jedynie nauczania religii zgodnie z programem. O ile pamiętam to żaden z nas nie podjął tego tematu swobodnej rozmowy, mnie natomiast wynurzenia księdza kazały zrewidować opinię o dyktorze. Z satysfakcją stwierdziłem, że ten pobłażliwy starszy pan nie jest w pokoju nauczycielskim figurantem, lecz potrafi skutecznie bronić spraw, jakie uważa za słuszne. A wkrótce po powrocie z pielgrzymki ksiądz dowiedział się skądś

o towarzyskich więzach łączących dyrektora z moim ojcem i odbył ze mną dość długą rozmowę przy posągu Ateny. Dla obu z nas była ona kłopotliwa.

Po maturze mój kontakt z dyrektorem urwał się, gdyż zamieszkałem w Warszawie, gdzie studiowałem. Spotkałem „Dyra” po dwóch latach podczas wakacji, które spędzał on w tej samej wsi co i nasza rodzina. Widywałem go często podśmiewując się w duchu ze sztywnego kołnierzyka, z którym nie rozstawał się nawet w największe sierpniowe upały. W takim właśnie kołnierzyku i w krawacie chadzał z wędką nad Pilicę i przesiadywał tam w cieniu topoli. Wybitnych sukcesów wędkarskich nie odnosił, ale chyba większą satysfakcję sprawiało mu przesiadywanie nad rzeką niż wędkarskie łupy. Raz i drugi byłem z braku lepszych partnerów dopuszczony do brydżowego stolika i odniosłem wrażenie, że dyrektor grywał przede wszystkim „dla towarzystwa” a przebieg gry niezbyt go pasjonował. W chwilach namysłu miał zwyczaj muskać czubek głowy środkowym palcem prawej dłoni. Ten gest przypominał mi „Dyra”.

Ostatnie moje kontakty z dyrektorem Starkiewiczem przypadły na jesień 1939 roku. Po powrocie do Łodzi z wojennej „rajzy” odnawiałem me łódzkie znajomości, więc zaszedłem także do szkoły. Była pusta i cicha a w sekretariacie siedział „Dyr”, który powitał mnie życzliwie i pokazał kartkę, na której spisał nazwiska swych wychowanków, o których wojennych losach coś wiedział. Jak się okazało, nie tylko mnie ciągnęło w tych dniach do starej szkoły i tą drogą zdobył dyrektor nazwiska kilku tych, którzy już nigdy nie mieli się mu pokazać. Podumaliśmy w milczeniu nad tą krótką jeszcze listą, która miała się mocno wydłużyć. Po tej wizycie widywaliśmy się częściej, ponieważ przez jakiś czas przesiadywałem co dnia w kancelarii notując dla dyrektora to, co przynosili wychowankowie szkoły ciekawi jej dalszych losów. Kilkakrotnie byłem także w sąsiadującym z kancelarią dyrektorskim mieszkaniu, gdzie wraz moim ojcem i zięciem dyrektora grywaliśmy w brydża w całkiem innym nastroju niż podczas wspólnych przedwojennych wakacji. I to były ostatnie moje spotkania z „Dyrem”.

Już po wojnie dowiedziałem się, że po zamknięciu szkoły przez władze okupacyjne wysiedlony z Łodzi dyrektor znalazł oparcie w kierowanym przez swego brata sanatorium w Busku i tam zmarł. Wraz z wieloma wychowankami szkoły uczestniczyłem w odsłonięciu Jego popiersia stojącego dziś przed oknami dyrektorskiego mieszkania. Rad jestem, że choćby w ten sposób

upamiętniliśmy postać tego człowieka i Jego dzieło – naszą szkołę.

3.

W dwadzieścia chyba lat po odsłonięciu popiersia dyrektora Starkiewicza znalazłem się raz jeszcze w auli naszej szkoły na jakimś zebraniu. Obejrzałem sobie wówczas pełne wspomnień miejsca i zauważyłem na ścianach auli nieznane mi portrety mych nauczycieli malowane tą samą ręką pewno któregoś z młodszych nieco kolegów. Z sentymentem rozpoznawałem widywane przed laty twarze, lecz w pewnym momencie przystanąłem zdumiony: na portrecie dyrektora Starkiewicza widniała kartka informująca, iż podobizna przedstawia profesora Zygmunta Lorentza. Kiedy stwierdziłem, że wizerunek profesora został z kolei opisany jako dyrektorski, pomyślałem, że w szkole ciągle jeszcze żyje duch, który kazał nam ładować geologiczne ekspozyty do teczek nieświadomych rzeczy kolegów. Potem jednak przyszła refleksja, iż zamiana tych kartek to nie był uczniowski kawał a zwyczajna pomyłka. Przecież obaj portretowani nie żyli już od czterdziestu prawie lat, więc w szkole mogło nie być nikogo, kto by ich znał.

4.

Profesora Zygmunta Lorentza zobaczyłem po raz pierwszy na pierwszej lekcji historii w nowej szkole. Moi koledzy mówili o nim „Tata”, ale nie potrafili mi wytłumaczyć, skąd wzięło się to przezwisko; nasz rocznik otrzymał je po prostu „w spadku” po starszych uczniach.

Być może zdecydował tu fakt, iż profesor był opiekunem uczniowskich organizacji, takich jak Koło Naukowe czy Spółdzielnia Uczniowska wcale aktywnie działających w naszej szkole. Na pewno nie był dobrotliwym preceptorem: potrafił dotkliwie ukłuć kąśliwą uwagą, czym nie zyskiwał sobie sympatii ofiary. Mnie, na szczęście, nie trafiło się nic takiego, a że zajęcia z interesującej mnie zawsze historii profesor prowadził żywo i nieszablonowo, chętnie brałem w nich udział.

Spodobała mi się także gotowość „Taty” do pokazywania nam rzeczy wartych obejrzenia poza murami szkoły. Już w pierwszym roku mego pobytu „u Piłsudskiego” zabrał nas do Tumu pod Łęczycą, gdzie oglądaliśmy niedawno odrestaurowaną kolegiatę.

Patrzyliśmy na te romańskie mury oczyma profanów i podżartowaliśmy nieco z widocznego ożywienia „Taty”. Później dopiero dowiedziałem się, że profesor, aktywny uczestnik prac łódzkiego środowiska historycznego, był mocno zaangażowany w działania, które doprowadziły do zabezpieczenia Tumu.

Katecheta zawiózł nas do Częstochowy, a „Tata” zorganizował nam wycieczkę do Zakopanego i krótki wypad w Tatry. Dla większości moich kolegów, synów średnio sytuowanych rodzin, taka wyprawa była szczególnie gratką i wspominaliśmy ją długo. Z uznaniem też stwierdziliśmy, iż profesor był nie tylko inicjatorem imprezy, ale także jej przewodnikiem i okazał się całkiem kompetentnym taternikiem. Czuliśmy, że towarzyszy nam nie „z obowiązku” jako wychowawca klasy, ale że wycieczka i jemu jest miła. Dobrze nam z nim było i w schronisku, i w drodze na Halę Gąsienicową; ze zdumieniem słuchaliśmy nieoczekiwanych w ustach nauczyciela historii rad, jak na przykład ta, że jeśli ktoś marznie w nocy, to niech się okryje z głową i ogrzewa własnym oddechem. Po dziesięciu niespełna latach, kiedy znalazłem się w lesie, mogłem stwierdzić, że była to dobra rada.

Jeszcze jedna, szczególna podróż z profesorem Lorentzem utkwiała mi w pamięci – wyjazd do Warszawy na pogrzeb patrona szkoły. Los sprawił że Marszałek zmarł w maju, wówczas gdy uczniowie najwyższej, ósmej klasy zdawali egzamin maturalny i nie mogli reprezentować szkoły podczas uroczystości żałobnych. Poczet sztandarowy został więc sformowany z sześciu siedmioklasistów i ja znalazłem się w tym gronie, a „ciało pedagogiczne” reprezentował profesor Lorentz. Zapamiętałem z tego krótkiego wyjazdu do Warszawy kłopoty ze sztandarem, którego długie drzewce zawadzało o reklamy sklepowe gdy szliśmy na Pole Mokotowskie, oraz mrowie ludzi i sztandarów stojących na tym Polu po obu stronach szerokiego pasa majowej trawy, którym sunął orszak pogrzebowy. Zostało mi także w pamięci poczucie uczestnictwa – wraz z „Tatą” i kolegami – w czymś ważnym. Nie byłem bezkrytycznym wielbicielem Zmarłego, ale wiedziałem że rzeźbił swym umysłem i wolą losy państwa, które było przecież moim państwem.

Chyba właśnie wspomnienie tej wspólnoty sprawiło, iż w pierwszych powrześniowych miesiącach zdecydowałem się zasięgnąć rady „Taty” w dość istotnej sprawie. Rozważaliśmy wówczas w szczupłej grupce kolegów, czy trzeba, czy też nie należy próbować podróży przez Tatry na Węgry i do formowanego przez Sikorskiego wojska. Profesor przyjął mnie tak, jakby na naszych kontak-

tach nie było trzyletniej luki, wysłuchał uważnie i po chwili namysłu stwierdził, iż historia poucza, że emigracja nigdy nie decydowała o tym, co się w kraju działo. Ergo... Nie wiem, czy ta uwaga przekonała mnie, czy tylko utwierdziła w nieuświadomianym postanowieniu; jak by nie było, zrezygnowałem z wędrówki przez Tatry. Paru kolegów poszło i żaden z nich nie wrócił już do kraju; jedni poległi w walkach, inni – choć przeżyli – zostali na emigracji.

Po wysiedleniu z Łodzi nie miałem pojęcia, co się z profesorem dzieje; przypuszczałem, że albo też został wysiedlony, albo przewidując taki bieg rzeczy sam wyjechał do Generalnej Guberni. Ze zdumieniem i radością ujrzałem go na przełomie lat 1942/1943 w Piotrkowie, gdzie odwiedzał swych znajomych, którzy po wysiedleniu „urządzili się” w tym mieście. Miał ochotę spotkać się także z moim ojcem, z którym współpracował w Komitecie Obywatelskim działającym w Łodzi podczas krótkiego wrześniowego „bezkrolewia”. Pojechaliśmy więc razem kolejką do Przygłowa, a stamtąd powędrowali do wsi, w której gospodarował z konieczności mój ojciec. Profesor był w dobrej formie, przemaszerował krokiem wytrawnego piechura parę kilometrów, a po paru godzinach pobytu w naszym nadpilocznym domu wróciliśmy tą samą drogą do Piotrkowa. Rad byłem towarzyszyć „Tacie” w tej wycieczce, bo nie spodziewałem się, że zechce ją odbyć, by spotkać się z człowiekiem, z którym łączyło go niewiele. Nie sądziłem, że będzie to nasze ostatnie spotkanie z profesorem; po paru miesiącach wybrał się nielegalnie do Łodzi, by nawiązać jakieś konspiracyjne kontakty. W czasie pełnienia tej misji został aresztowany przez gestapo i udręczony śledztwem zmarł.

5.

Nieczęsto zdarza mi się przechodzić koło mojej szkoły. Ilekroć jednak znajdę się tam, to przystaję przed jasnym, czworokątnym cokołem zwieńczonym rzeźbiarskim portretem dyrektora Starkiewicza. Nie mam wówczas łez w oczach, lecz pełen jestem wdzięczności i szacunku dla ludzi, którzy w gmachu stojącym za pomnikiem usiłowali uformować mnie i mych rówieśników na obraz i podobieństwo ludzkie.



Stara architektura Łodzi (foto: T. Karpiński)

Jerzy Wilmański

Reymonta droga do Nobla

Jak Reymont dostał Nobla

Rok 2000 ogłoszono Rokiem Reymontowskim, mija bowiem w grudniu 75. rocznica śmierci pisarza. W roku 1999 natomiast minęła 75. rocznica otrzymania przez Władysława Reymonta Nagrody Nobla.

W latach dwudziestych do tej nagrody pretendowało dwóch największych wówczas polskich pisarzy: Władysław Reymont i Stefan Żeromski. O kulisach przyznania Nagrody Nobla pisano różnie. Jan Lorentowicz wietrzył spisek rządów Witosy i Grabskiego, którzy utracili kandydaturę Żeromskiego, bo uważali go za przedstawiciela opozycji, natomiast Reymonta za swojaka. Fakt, że pisarz pod koniec życia wstąpił do PSL Piast, a jego ostatnie przed śmiercią wystąpienie publiczne miało miejsce właśnie w Witosowych Wierchosławicach na święcie ludowym – miałyby te supozycje potwierdzać.

Ale chyba Lorentowicz przesadza. Bardziej wiarygodna wydaje się reakcja Alfreda Wysockiego, ówczesnego posła polskiego (ambasadora) w Sztokholmie. Wysocki znał Reymonta z czasów młodości, jeszcze z Krakowa. W swoich wspomnieniach wydanych już po wojnie opisuje barwnie pierwsze spotkanie z pisarzem w krakowskiej kawiarni Schmidta:

„Pewnego poobiedzia zjawił się tam prowadzony przez pielęgniarza pod rękę jakiś młody, bladawy, lecz doskonale ubrany pan. Z miną lorda zamówił kawę mrożoną uchodzącą w naszych oczach za szczyt rozrzutności i pudełko „Egipskich”. Dowiedzieliśmy się, że jest to pacjent lecznicy doktora Gwiazdkowskiego i nazywa się Reymont. Zналиśmy już jego *Pielgrzymkę do Jasnej*

Góry i Komediantkę, więc gdy przybył znów nazajutrz, powitaliśmy go hałaśliwie i serdecznie”.

Władysław Reymont mógł wówczas pozwolić sobie na rozrzutność.

W 1900 roku doznał obrażeń w czasie katastrofy kolejowej pod Warszawą i wytoczył dyrekcji Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej proces o odszkodowanie. Reymont domagał się dożywotniej renty, ale – szczęśliwie dla pisarza – dyrekcja wolała mu wypłacić 40 tysięcy rubli, sumę na owe czasy olbrzymią. Gdyby Reymont otrzymał rentę, zostałaby mu ona cofnięta po Nagrodzie Nobla.

Kiedy Wysocki poznał Reymonta, ten leczył się zapamiętale – oczywiście na koszt kolei – nie pił i nie palił, ale za to stawiał gęsto kolejki w kawiarni Schmidta i opowiadał o swoim życiu.

„Było ono jak z bajki – wzrusza się Wysocki – zaczęło się od pasania boso krowy. Potem przyszła szkoła i praca zarobkowa. Był kolejno czeladnikiem krawieckim, pomocnikiem geometry, aktorem, urzędnikiem kolejowym, mnichem i znów kolejarzem, ciągle piszącym liczne wiersze po kryjomu, przy świeczce kupionej za cenę kolacji. Wszystkie te przeobrażenia Reymonta widzieliśmy przed sobą, bo opowiadał o nich z bajeczną ruchliwością maski, rąk i oczu, i odgrywał te role, z których każda miała swój wyraz i swój odmienny charakter”.

Z tamtej pierwszej krakowskiej znajomości Wysocki zapamiętał fascynację Reymonta Francją. Ciekawy był to objaw. Reymont rzeczywiście uwielbiał Francję, najlepiej mu się tam pisało, kochał francuską kulturę, kochał Paryż – a nie mógł się nigdy nauczyć języka francuskiego.

Na razie jednak wybierał się do Warszawy, gdzie – jak twierdził – panowały zgoła odmienne, lepsze stosunki w świecie dziennikarsko-literackim. Uważał pewno Warszawę za pierwszy etap swojej podróży do Francji. „Naborykał się tyle z biedą, z tyłu pieców chleb jadał nieraz gorzki, że mimo młodości miał rozwagę, spryt i umiejętność chodzenia koło interesów jak stary i doświadczony człowiek” – stwierdza Wysocki.

Parę lat później

Alfred Wysocki jako recenzent teatralny i korespondent „Gazety Lwowskiej” przyjeżdża do Paryża. Swoje pierwsze kroki kieruje oczywiście do modnej wówczas kawiarni „Rotonde” na rogu Bulwaru St. Michel i Panteonu.

„Było już dobrze po północy, więc na sali siedziało kilkanaście osób. Robi się przez chwilę ciszej i oto słyszę odgłosy polskiej mowy. Rozglądam się wokół i po drugiej stronie widzę Reymonta, Antoniego Potockiego, dr Felicję Nossig i Jana Augusta Kisielewskiego. Reymont trochę przytył, wyglądał jak zawsze dostojnie, przedstawił mnie swojej żonie, przystojnej pulchnej blondynie i zaprosił zaraz na śniadanie”.

Następnego dnia Wysocki złożył Reymontom wizytę, ale przyszedł nieco za wcześnie – pisarz do godziny trzynastej pracowicie pisał i nikogo nie przyjmował. Dopiero z wybiciem zegara Reymont pojawił się w salonie i zaczął rozprawiać:

– Widzicie, jak ja tu orzę. Od dziewiątej do pierwszej, a czasem całe poobiedzie. Piszę trzecią część *Chłopów*. Szkic mam już gotowy... I pokazał zeszyt ceratowy gęsto zapisany i poznaczony niebieskim ołówkiem.

– Próżniak jestem – mówił Reymont – więc sobie wydzielałam na każdy dzień robotę i póty nie wychodzę, póki jej nie skończę. A po obiedzie idę do kawiarni i śmiech to mówić, ale na tych paryskich bulwarach widzę przed sobą moją kochaną wioskę i słyszę, jak Antek rozmawia z Hanką lub Jagusią, widzę, jak jada do lasu, orzą czy sieją, patrzą na bursztynowe pnie sosen, na wnętrze lasu zasypiającego w ciszy, na złote rżysko czy zieleń zagajników, wśród których toczą bystre wody potoki...

– Boję się, wiecie – mówił – o tych moich *Chłopów* kochanych, bo jak mi ich krytycy obrzydzą, to cisnę, psiakrew, wszystko i osiadę na wsi, nie biorąc już nigdy pióra do ręki...

Współcześni pisarzowi byli zgodni, że istotnie nie miał on natury artysty-cygana, miał natomiast wiele upodobań urodzonego hreczkosieja, którego nawet z wyglądu trochę przypominał. Był do przesady systematyczny, punktualny, dotrzymujący swoich zobowiązań. Kiedy powiedział, że będzie w „Rotundzie” o wpół do trzeciej – gdzie chodził na czarną kawę – to można było przysięgać, że się go tam o tej porze zastanie.

Do pisania też miał stosunek pragmatyczny. Wysocki wspomina, że namawiał go kiedyś do napisania... powieści kryminalnej, bo to się dobrze sprzeda. Siedząc w kawiarni naprzeciwko Banku Lyońskiego Reymont zaczął Wysockiemu ze szczegółami opowiadać historię przygotowań i napadu. Opowiadał tak sugestywnie i tak głośno, że właściciel kawiarni chciał dzwonić po policję, przekonany, że ktoś planuje prawdziwy napad na bank.

A potem, od czasów paryskich minęło wiele lat. Alfred Wysocki, jeden z pierwszych dyplomatów II Rzeczypospolitej,

objeżdżał całą Europę organizując poselstwa i konsulaty. Aż wreszcie w roku 1924 mianowano go posłem w Sztokholmie.

Jak twierdzi po latach, w sprawie Nagrody Nobla nie otrzymał z Warszawy żadnych instrukcji, co jest chyba zgodne z prawdą, bo wtedy rząd polski miał z pewnością ważniejsze sprawy na głowie. Dopiero na jakimś bankiecie Wysocki dowiedział się, że zbliża się posiedzenie Komitetu Nagrody Nobla i że przewodniczący Komitetu arcybiskup Uppsali Natan Söderblom jest przeciwny kandydaturze Stefana Żeromskiego, którego proponował poprzednik Wysockiego w Sztokholmie, sekretarz legacji polskiej Konrad Czarnocki.

Żeromskiemu zaszkodziło wydanie w tym czasie po niemiecku *Wiatru od morza* – krytykowanego bardzo ostro jako dokument antyniemieckiej propagandy.

Obok arcybiskupa Uppsali bardzo opiniotwórczy był też w Komitecie głos prof. Fryderyka Bööka, który zawsze zajmował stanowisko proniemieckie, krytykował Polskę za rzekomy ucisk mniejszości niemieckiej – i u niego Żeromski też nie mógł mieć żadnych szans.

Ale Böök zainteresował się Reymontem, którego pierwsze dwa tomy *Chłopów* ukazały się w przekładzie niemieckim. Napisał nawet bardzo pochlebną recenzję. W tej sytuacji Alfred Wysocki postanowił doprowadzić do oficjalnego zgłoszenia kandydatury Władysława Reymonta. Ale czasu było mało.

Wspomina Wysocki: „Zdecydowaliśmy w końcu, aby wykorzystać Statut Fundacji Nobla i wznowić kandydaturę Reymonta poprzez jednego z profesorów szwedzkich, nie zwracając się o to z braku czasu do Krakowskiej Akademii Umiejętności. Miałem też porozumieć się w tej sprawie z prof. Schückerem w sekretariacie Szwedzkiej Akademii.

Böök zwrócił mi także uwagę na żądanie Komisji, aby przynajmniej jedno z dzieł kandydata było przetłumaczone na język szwedzki, a Bonnier (znany wydawca sztokholmski) wydał tylko pierwszy tom *Chłopów* i skarżył się, że zupełnie nie idzie.

Przekład był gotowy, lecz Bonnier nie okazywał ochoty szybkiego wydania dalszych tomów dzieł Reymonta. Zgodził się dopiero, gdy Böök dał mu do zrozumienia, że Reymont jest bardzo poważnym kandydatem do Nagrody Nobla. W ten sposób dnia 24 kwietnia 1924 roku, to znaczy na sześć miesięcy przed przyznaniem nagrody, odżyła postawiona jeszcze w roku 1918 kandydatura Reymonta. Należało ją tylko odpowiednio zare-

klamować i powiedzieć, gdzie należy, że kandydatem oficjalnym Polski jest nie Żeromski, tylko Reymont”.

Promocja Reymonta nie była jednak zbyt aktywna, zwłaszcza że – jak pisze Wysocki – „tajemnicze źródła w kraju” rozpoczęły akcję... przeciwko Reymontowi. Polskie piekielko było i jest wiecznotrwale.

Chyba jednak największą promocją polskiego pisarza był entuzjastyczny artykuł, cieszącego się wielkim autorytetem, prof. Fryderyka Bööka. O Reymontcie napisał on, że jest „pierwszym spomiędzy nowoczesnych pisarzy europejskich”, że *Chłopi* to wielkie dzieło, którego lektura nasuwa myśl o Homerze. Dalej pisze Böök, że Polska miała dotąd literaturę opisującą życie szlachty, a Reymont uzupełnia historię obyczajową Polski epicką opowieścią o chłopach. Böök podziwiał również subtelną delikatność, z jaką autor szkicuje obraz życia codziennego wsi, jej stosunek do kościoła i humor tryskający z poszczególnych epizodów opowieści.

Tymczasem ukazało się w druku szwedzkie tłumaczenie drugiego i trzeciego tomu *Chłopów*, zdobywając sobie bardzo pochlebne oceny. Trzeba w tym miejscu przypomnieć nazwisko tłumaczki Ellen Werter (pseudonim Ellen Weer), skądinąd autorki wielu publikacji o literaturze polskiej. Bez jej pracy tego Nobla by nie było.

Władysław Reymont poinformowany przez Wysockiego o przebiegu batalii nawet się za bardzo cieszyć nie może. Jest już bardzo chory, jak wiadomo, umrze w rok po Nagrodzie Nobla.

Na miesiąc przed wyborem laureata nikt jeszcze nie zna ewentualnego zwycięzcy. Mówi się, że angielski powieściopisarz i poeta Thomas Hardy (1840-1928) cieszy się poparciem prof. Schücka. Krótco przed posiedzeniem prof. Schücka zapada na ciężką gripę, co dla Reymonta jest okolicznością pomyślną.

Wspomina Alfred Wysocki: „Wreszcie nadszedł dzień 13 listopada, który mnie zastał z powrotem w Sztokholmie, gdzie dowiedziałem się przez telefon sekretariatu komitetu Nobla o naszym zwycięstwie. Wysłałem natychmiast telegram do Reymonta, zapytując, czy nie mógłby przyjechać na uroczystość wręczenia przez króla nagrody. W nocy zbudziła mnie jego odpowiedź: »Dziękuję z całego serca. List wysyłam. Przyjazd niemożliwy z powodu złego stanu zdrowia«”.

Parę dni później nadszedł zapowiadany list, w którym Władysław Reymont pisze: „Okropne! Nagroda Nobla, pieniądze, sława wszechświatowa i człowiek, który bez zmęczenia wielkiego nie

potrafi się rozebrać. To istna ironia życia, urągliwa i prawdziwie szatańska!”

Mimo tych żalów – to właśnie Nagroda Nobla pozwoliła pisarzowi przeżyć ostatni rok w dobrobycie, na kuracji we Włoszech, raz jeszcze zawadzić o ukochany Paryż – no i w końcu pieniądze z nagrody pozwoliły wyciągnąć z długów reymontowski majątek w Kołaczkowie. Ale już los nie dał mu zbyt wiele czasu na to, aby się sukcesem cieszyć. Władysław Reymont zmarł 5 grudnia 1925 roku, w dwanaście miesięcy i dwa tygodnie po otrzymaniu Nagrody Nobla.

Autor korzystał z następujących publikacji:

Alfred Wysocki, *Sprzed pół wieku* 1958

Jan Lorentowicz, *Spojrzenie wstecz* 1935

Jerzy Wilmański



Urodził się 16 kwietnia 1936 roku w Aleksandrowie Łódzkim. Studiował polonistykę na Uniwersytecie Łódzkim. Wieloletni dziennikarz łódzkiej prasy i radia – debiutował w prasie w 1954 roku w wieku 18 lat. Związany jest więc z łódzkimi mediami od blisko 50 lat. Autor wielu tomików poezji i prozy: *Poemat niedoskonały* (1959), *Obrona krajobrazu* (1963), *Odlot* (1970), *Tylko słowa* (1976), *Czterdziesta jesień* (1979), *We mgle, we mgle* (1984), *Pożegnanie karnawału* (1987), *Dagerotyp łódzki* (1990), a także *Krzywa latarnia* (1966), *Rzeczy*

dziwne i ciekawe (1972), *Tak prędko, coraz prędszej* (1982), *Antykwarjat przy ulicy Piotrkowskiej* (1983), *Bez ładu i składu* (1985). Znany felietonista. Opracował również *Antologię felietonistyki łódzkiej* (Łódź 1993). Prawie dwadzieścia lat prowadził sobotnią rubrykę felietonową *Co słyhać* na łamach „Głosu Robotniczego”. W latach siedemdziesiątych pisał stałe felietony do „Karuzeli” i „Odgłosów” jako Jerzy Widok. Wieloletni współpracownik i kierownik literacki Polskiego Radia. Obecnie współpracuje z „Trybuną” warszawską i tygodnikiem „Fakty i Mity”.

Ł ó d ź n o c a

I

Zupełnie niespodzianie
o godzinie siódmej wieczór
jakiegoś maja czy grudnia
bezszelestnie
nadjechał od strony parku Wenecja
czarny Mercedes nocy
kawiarnie
były już o tej porze neonowe
i elektryczne
nad głowami Alicji i Krystyny
olejne gwiazdy Egzotycznej
był to właśnie czas
kiedy ślepy okna przedmieść
a w czerwonych skrzyniach fabryk
zapalały się światła nocnej zmiany

II

Kiedy ostatnią piatkę
ukryje tunel zajezdni tramwajowej
można
rozłożyć dłonie
nad asfaltowym parkietem miasta
można również
mierzyć z papierosa
w chybotliwe pasma neonów
i tak
iść krawędzią wolnoobrotowej nocy

1963

Ł ó d ź - ś w i t

Pył nad przedmieściem psów szczekanie
świtu powolne znocywstanie

szczekaniem psów przedmieście dudni
skrzypi łańcuchem starej studni

porzuć ten pejzaż
przetnij skwerek

gdy dotkniesz świtu
- chłodny metal

skąd ta cerkiewka
w środku miasta

skąd ty w tym świetle
w środku chłodu

idziesz właściwie
stąd ni zowąd

z pyłu przedmieścia
w środek dnia

1970

D a g e r o t y p ł ó d z k i

Każde otwarcie powiek jest jak trzask migawki
Szary dagerotyp znany od dzieciństwa

- tu była księgarnia „Czytaj” której właściciel
odjechał karawanem na zarzewski cmentarz
- tu była cukiernia Granowskiej której nazwisko
mignęło mi niedawno w pocztówce filmowej z Kanady

- tu stałem z Andrzejem B. kiedy wygrał
pierwszy krok bokserski i wydrukował pierwszy wiersz

- tu jeszcze byłem młody
- tu już się zestarzałem
- tedy będę prowadził mój ostatni kondukt

Szary dagerotyp sinieje od spalin
Bieli się zimą - wilgotnieje wiosną

- tu czekałem długo na kogoś kto zapomniał
- tedy przebiegłem chyłkiem aby się nie spotkać
- tutaj pilem „Lacrimę” w roku sześćdziesiątym
- tu spotkałem Beatrix dwadzieścia lat później

Dagerotyp niezmienny choć przez czas naddarty
W puste wyrwy po domach wplombowano płyty

Zostało jeszcze tyle abym zapamiętał
moje tu moje tedy

- tu była „Egzotyczna” z murzynką na ścianie
Malował ją Strzemiński żarty przez gruźlicę
Przepędzony od sztalug skazany wyklęty

- tu czekałem na ciebie
- tu czekałaś na mnie
- tu znalazłem marzenie
- tutaj je straciłem

W domu którego nie ma szukałem mieszkania
We mgle która gęstnieje szukam dziś schronienia
Każde otwarcie powiek jest jak trzask migawki
I dagerotyp – zda się – coraz bardziej szary

1990

Spacer łódzki

To już we mnie pozostanie moja droga
Nie pomoże żaden gest i słowo żadne
Więc mnie lepiej weź za rękę i poprowadź
Zaułkami błotnistymi – moim miastem

Uśmiechniemy się do siebie i do latarni
Może zgasną jak w pokojach gasną światła
Niech zostanie tylko park i noc skrzydlata
I dudniący głuchy pomruk mego miasta



Czas przemian (fot. M. Ostaszewski ze zbiorów Muzeum Kinematografii)

Antoni Szram

Muzeum Kinematografii – najlepsza inicjatywa Muzeum Historii Miasta Łodzi

Muzeum Historii Miasta Łodzi od kilku lat cieszy się w Łodzi popularnością za sprawą swoich popimprez. Mimo że od dawna ma poważnych konkurentów w postaci innych muzeów w mieście organizujących równolegle podobne imprezy. Największym konkurentem jest łódzkie Muzeum Kinematografii. Łodzianie chętnie oglądają tam wystawy monograficzne oraz uczestniczą w wydarzeniach teatralnych i piknikach artystycznych w plenerze.

Muzeum Historii Miasta to takie miejsce, w którym nastąpiły narodziny idei pierwszego w Polsce Muzeum Filmu, jako nowego zjawiska polskiej kultury audiowizualnej.

W powstaniu Muzeum Kinematografii w Łodzi wielką rolę odegrała Państwowa Szkoła Filmowa¹, gdzie na początku lat pięćdziesiątych nastąpiło na niespotykaną dotychczas skalę nagromadzenie zjawisk tworzących kulturę filmową, refleksję teoretyczną i formy popularyzacji².

Rzecznikiem powstania placówki o profilu muzealno-kinematograficznym stał się ówczesny rektor PSF prof. dr Jerzy B. Toeplitz. Oto jak wypowiadał się w oparciu o doświadczenia tamtych lat:

„I wreszcie jest sprawa Muzeum Filmowego... Jest coraz więcej starych aparatów projektorów, ale to nie powinno być tylko

¹ Por. Antoni Szram: *Rzeczywisty sens programu konserwatorskiego w świetle zagadnień zabytkowej architektury łódzkiej XIX wieku*, w: *Sztuka II poł. XX wieku – materiał z sesji Stowarzyszenia Historyków w Łodzi*, listopad 1971, Warszawa 1973, s. 269-284.

² Por. *Statut Muzeum Historii Miasta Łodzi*. Łódź, 1975, s.7-10.

muzeum techniczne, to powinno być także muzeum kostiumów, modeli, dekoracji, muzeum scenopisów ważnych filmów, które można by gdzieś pod gablotą pokazywać [...] warto by było, żeby to muzeum nabrało rozmachu, żeby można było jak najszybciej te skarby udostępnić publiczności”³.

Na tak sformułowany apel Profesora odzywali się ludzie w całym kraju, byli animatorzy kultury, którzy nie znając się nawzajem uprawiali już pewne formy zbieractwa fotografii, starych aparatów filmowych, taśmy filmowej, a także fotoplastykonu. Stworzyli w ten sposób małe galerie filmowe.

Ich zbiory, w połączeniu ze zgromadzonymi już w szkole filmowej, stały się zaczątkiem stałej, unikatowej kolekcji, która nie doczekała się statusu muzealnego i szerszego zafunkcjonowania wobec braku odzewu ze strony ówczesnych decydentów kultury. Jest to więc jeszcze jeden fakt niewykorzystanych szans. W miarę upływu czasu, wraz ze wzrostem liczby eksponatów, narastać zaczął również problem ich dalszych losów, wykraczając wkrótce poza możliwości szkoły filmowej. Toteż w roku 1970 kolejny rektor szkoły prof. Jerzy Kotowski wystąpił do władz miasta z inicjatywą przydzielenia, położonego w pobliżu uczelni, pałacu Karola Scheiblera z przeznaczeniem na Muzeum Filmu. Dzięki temu, spadkobierca idei Toeplitza potrafił w błyskotliwym wystąpieniu na ważnej ogólnopolskiej, międzyuczelnianej sesji naukowej, pt.: „Wczoraj i dziś Łodzi” do wizerunku Łodzi włókienniczej trafnie dopisać temat Łodzi filmowej. Mówił i pisał: „materiał filmowy, szczególnie dokumentujący genezę i rozwój PRL (Łódź – przyp. A.S.), podobnie jak w przypadku fotografii przemysłu włókienniczego czy filmowego, wymaga aparatu naukowca-badacza (istniało już dzięki kustosz Kondratiukowej – Centralne Muzeum Włókiennictwa), by cenne informacje ukryte np. w niewiele znaczącym filmie zostały wybrane i ujrzały światło dzienne w postaci filmów montażowych, cytatów filmowych, fotosów z kadrów itp.”

Inicjatywa utworzenia proponowanego ośrodka powinna zyskać poparcie zarówno łódzkich uczelni, Urzędów Miasta i Województwa, jak również organizacji politycznych i społecznych. Siedzibą ośrodka-instytucji kulturalnej mógłby być wydzielony do tego celu jeden z byłych pałaców łódzkich przemysłowców, np. pałac Scheiblera przy Placu Zwycięstwa 2, nieopodal Szkoły Filmowej, posiadający wszystkie niezbędne warunki do funkcjonowania takiej muzealnej placówki. Trzeba było jednak odwagi,

³ Tamże, s. 15-19.

która niesie ryzyko klęski. Taką odwagę mają przeważnie artyści. Owszem, rektor prof. Kotowski potrzebę tej placówki uzasadniał raczej artystycznie niż marketingowo, aby przekonać do powołania Muzeum Kinematografii w Łodzi. A była ku temu okazja. Wtedy też następuje zupełnie nieoczekiwany, przypadkowy i spontaniczny zbieg okoliczności. Ówczesny Wojewódzki Konserwator Zabytków m. Łodzi młody poznaniak Antoni Szram podczas odbywającej w tym czasie ogólnopolskiej sesji historyków sztuki na temat sztuki II poł. XIX wieku w Łodzi wystąpił o powierzenie organizacji skansenu kulturowego Łodzi historykom sztuki oraz specjalistom PWSTiF w przestrzeni posiadał wodno-fabrycznych dziedzictwa przemysłowego i krajobrazowego Księże-go Młyna⁴.

Trzeba było jednak czekać kilka lat, by można było odnotować na tym polu pierwszy niewielki sukces.

W 1975 r. wspomniany już Antoni Szram powołany został na stanowisko dyrektora organizującego się Muzeum Historii Miasta Łodzi. Jednym z pierwszych jego posunięć było powołanie Działu Kultury Filmowej i Teatralnej, to jest pierwszego formalnego zaczątku instytucji filmowo-programowej⁵. Wkrótce też nastąpiło podpisanie umowy-porozumienia ze szkołą filmową, jak również przyjęcia z PWSFTViT zabytków techniki audiowizualnej szkolnego muzeum⁶. Bo tak naprawdę to właśnie one były przede wszystkim w polu zainteresowania kustoszy Muzeum Historii Miasta Łodzi. Zresztą trudno jest tworzyć Muzeum Kinematografii bez eksponatów. Do kolekcji Muzeum Historii Miasta Łodzi trafia zakupiony za pieniądze Ministerstwa Kultury i Sztuki słynny zabytkowy niemiecki fotoplastykon (z Częstochowy).

I tak zapoczątkowany został w pełni profesjonalny proces gromadzenia zbiorów na drodze zakupów, darowizn i przekazów. Obejmował on przede wszystkim plakaty, foldery, fotosy, elemen-

⁴ Różnorodne mutacje wystawy eksponowano w ośmiu ośrodkach zagranicznych. Impreza odbyła się jesienią 1977 r. w salach ekspozycyjnych Łódzkiego Domu Kultury. Podczas tych promocji z publicznością zetknęli się twórcy tej miary co Jacek Bławut, Jan Jakub Kolski czy Paweł Woldan. Łódź jest (lub raczej była) miejscem organizacji Festiwalu Filmów Społeczno-Politycznych (obecnie Festiwal Mediów), Festiwalu Filmów Dydaktyczno-Edukacyjnych oraz Przeglądu Filmów Przyrodniczych.

⁵ Por. Bolesław W. Łowicki, *Kinematografia*, w: *Łódź w latach 1945-1960*. Praca zbiorowa pod red. E. Rosseta, Łódź, 1962, s. 369.

⁶ Por. Mieczysław Kuźmicki: *Od Łodzi filmowej do Muzeum Kinematografii*, w: *Międzynarodowy Przegląd i Konkurs Filmów Jazzowych w Łodzi*. Katalog imprezy, Łódź 1983, s. 36.

ty scenograficzne związane z filmem oświatowym, dokumentalnym, animowanym i fabularnym⁷. Bo cokolwiek o Dziale Filmowym Muzeum Miasta by powiedzieć, tworzona pod kątem filmu kolekcja historyczna, kinematograficzna, filmoznawcza polskiego filmu to był tylko fragment Muzeum Kinematografii, być może był to najlepszy dział Muzeum Miasta, a także udokumentowanie korzenia historii filmu.

Jednakże problematyka filmowa, choć jak najbardziej mieszcząca się w zakresie działań muzeum historycznego Łodzi, stanowić mogła tylko jedną z rozlicznych jego funkcji. Stojące przed Muzeum Miasta Łodzi zadania, nie tylko o charakterze instytucjonalnym, lecz również integracyjno-służebnym wobec środowiska artystyczno-kulturalnego, sprawiały coraz większe problemy typu organizacyjnego, nie dając przy tym szans na spenetrowanie całokształtu zagadnień filmowych, choćby w skali regionu, bowiem „choćby lata powojenne, w których wszystkie instytucje filmowe rezydowały w Łodzi, należą już do przeszłości, miasto to nie przestało być miastem filmu”⁸.

Zasadne stało się więc podjęcie działań zmierzających do uzyskania, bądź przynajmniej poszerzenia autonomii – powiększenia powierzchni wystawienniczej względem ekspozycji stałej, dowartościowującej lub dydaktycznej.

Momentem przełomowym stał się rok 1982, kiedy to nieprzypadkowo tym razem, następuje przekształcenie Działu Kultury Filmowej w oddział Muzeum Historii Miasta Łodzi oraz przydzielenie przez ówczesnego Dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi doc. dra Macieja Łukowskiego pałacu, dawnej rezydencji Karola Scheiblera, na siedzibę Oddziału Muzeum Miasta. (Bylibyśmy w stanie urządzać wystawy czasowe dla całej Polski). Dokumentu dotyczącego przydziału pałacu dla filmu początkowo nie ujawniono mediom, ale trzymając się litery prawa wystąpiono z wnioskiem do Urzędu Miasta, tj. Prezydenta, w

⁷ Por. Mieczysław Kuźmicki: *Muzeum Kinematografii – czym być powinno*, w: *Nowe nabytki Muzeum Kinematografii. W kręgu techniki filmowej*. Folder wystawy, Łódź 1984, s. 3. Wystawa miała miejsce w grudniu 1985 r.

⁸ Por. Mieczysław Kuźmicki: *Filmy Muzeum Kinematografii, „Klaps”*. Koszalin 14.08.1987, s. 2. Wystawę otwarto 10 maja 1986 r. O zasadności podjęcia podobnej akcji świadczyć może fakt, iż jednym z pierwszych filmów zaprezentowanych w ramach cyklu był obraz *Długa noc* Janusza Nasfetera, spoczywający na półce od 1968 r. Pierwsza część imprezy „Konstrukcja w Procesie” odbyła się w 1981 r. Por. *Czterdziestolecie kinematografii polskiej*. Praca zbiorowa, Łódź 1985. Por. Antoni Szram, *Wniosek w sprawie powołania Muzeum Kinematografii*, w: *Czterdziestolecie kinematografii polskiej*, Łódź 1985.

sprawie powołania Muzeum Kinematografii w Łodzi o charakterze autonomicznej placówki.

Trzyletnią zwłokę w rozpoczęciu remontu i renowacji zabytkowego pałacu spowodowało właśnie czekanie na pełną autonomię Muzeum. Dopiero 18 grudnia 1985 r. rozpoczyna swą działalność Muzeum w salach własnego obiektu od wystawy: *Lochy Manhattanu* po wernisaż Andrzeja Wajdy i *Konstrukcję w Procesie*.

Tak wyglądała, w olbrzymim skrócie, droga od pomysłu, idei, do powołania Muzeum Kinematografii w Łodzi. Sądzę, że nie patriotyzm charakterystyczny dla prawdziwego łodzianina, ale chęć wykorzystania wszelkich możliwości promowania i wystawiania Łodzi była tu decydująca. Moje refleksje są dość skrótowe, ale stanowią przecież jądro mojej pracy animatora kultury, organizatora Muzeum Kinematografii i Muzeum Miasta Łodzi. Moja „dyrekcja” w obu łódzkich muzeach to tylko zręcznie wykonane ozdobniki dla rozwoju kultury Łodzi. Za takie igraszki animacyjno-kulturalne płaci się jednak bardzo wysoką cenę, np. traci się zdrowie lub życie – taki bywa finał.

Należy jednak obiektywnie zauważyć, że na organizację Muzeum Kinematografii złożył się wysiłek wielu ludzi, należących do różnych pokoleń i środowisk, działających na różnych płaszczynach życia kulturalno-społecznego. Dzięki wypadkowej ich zabiegów 10 maja 1986 r. doszło w pałacu Scheiblera do otwarcia pierwszej inauguracyjnej wystawy zorganizowanej przez nowo powstałą placówkę pod moim kierownictwem. Jak zatem widać, Muzeum Kinematografii rozumiane jako instytucja, placówka naukowo-kulturalna, w pełni autonomiczna jest zakładem upowszechniania kultury młodym, powstałym dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Jakie implikacje i konsekwencje miało powołanie Muzeum, nowatorskiego w skali kraju, nie trzeba chyba szerzej opisywać. Był to też ostatni moment w perspektywie trudno przewidywalnej liczby lat, ażeby inicjatywa taka miała jakąkolwiek szansę ujrzeć światło dzienne.

Tak więc młody i stosunkowo mało wówczas doświadczony zespół absolwentów Uniwersytetu Łódzkiego i Toruńskiego, którym kierowałem, stanął wobec sytuacji niezbyt godnej pozazdroszczenia. Minimalne środki finansowe, zdewastowany obiekt, „dziki lokator” zajmujący dawną wozownię, stajnię i strychy pałacu. Nie będzie demagogią stwierdzenie, że mimo wszystko za otrzymane pieniądze od Fundacji Polsko-Niemieckiej udało się

zaprojektować i dokonać remontu tej unikatowej w skali kraju instytucji w Łodzi.

Fascynacja balansowaniem nad kulturalną przepaścią budowania Muzeum Miasta Łodzi i Muzeum Filmu, zagładanie w finansową otchłań zła, była swoistym afrodyzjakiem, który zresztą okazał się naprawdę niszczący dla mnie. Ale żeby taki zamiar się udał, trzeba by zapewne w sposób o wiele bardziej radykalny odejść od mało oryginalnej reguły administracyjnego „zawłaszczenia” Muzeum Kinematografii, dostosowując ją i przekształcając do całkiem odmiennych bohaterów i sytuacji kulturowej, z myślą o XXI wieku. Tymczasem dawny Wydział Kultury i Sztuki ograniczał się jedynie do „stylizacji” programu kultury Łodzi. Zapewne dzisiaj konkretyzuje się nowe znaczenie kultury dla promocji Łodzi.

Jak na muzeum, o nietypowych i unikalnych formach funkcjonowania przystało, pierwszym poważnym wydarzeniem w merytorycznej działalności placówki:

„stała się otwarta w 1979 roku w Muzeum Historii Miasta Łodzi w Galerii Łódzkiej wystawa pt. *Łódź filmowa jako część wystawy historycznej. Z dziejów Łodzi*. Wystawa ta miała być przypomnieniem dziedzictwa i współczesnego stanu posiadania miasta w zakresie kultury filmowej. Stąd obecność w jej ramach eksponatów i dokumentów charakteryzujących i dokumentujących wszystko to, co w Łodzi miało związek z kinem. Tak pomyślana wystawa stała się, w założeniach przynajmniej, swoistą sumą Łodzi filmowej. Stała się także punktem startu dla Muzeum Kinematografii”.

Na marginesie wypada tu wspomnieć, iż znaczna część zaprezentowanych na wystawie materiałów pochodziła ze wspomnianego już historycznego pokazu PWSFTiTV.

Trudno z dzisiejszej perspektywy ocenić walory informacyjno-artystyczne ekspozycji o tak heterogenicznym tworzywie. Faktem jest jednak, iż wnioski, jakie wyciągnięto z tego pionierskiego doświadczenia, stały się kanonem polityki wystawienniczej nowej placówki. Zaryzykować można także twierdzenie, iż stały się dla zespołu bodźcem do poszukiwań i penetracji tych obszarów sztuki filmowej, gdzie tworzywo wystaw mogłoby mieć większe walory wizualne. Tutaj wykorzystałem własną inspirację, mój autorytet historyka sztuki, muzealnika i naukowca.

Z doświadczeń tych wyrosły m. in. wciąż zmieniane i modyfikowane wystawy z cyklu „plastyka filmu animowanego”, powstałe w oparciu o elementy scenograficzne, lalkowe,

wycinankowe i rysunkowe filmów zrealizowanych w Studio Małych Form Filmowych „Se-ma-for” oraz w większości polskich wytwórni zajmujących się realizacją filmów animowanych. Ten też cykl wystaw stał się pierwszą najpoważniejszą i spektakularną wizytówką Muzeum Kinematografii poza granicami kraju, jeszcze jako Oddziału Muzeum Historii Miasta Łodzi.

Inną wynikającą stąd inicjatywą stało się zapoczątkowanie zbioru plakatu filmowego (obejmującego m.in. dzieła takich twórców jak Pałowski, Erol, Starowiejski czy Świerzy). Z tego źródła, pośrednio, wyrosła w przyszłości inicjatywa zorganizowania Międzynarodowego Salonu Plakatu Filmowego, który skupił kilkaset pozycji kilkudziesięciu twórców z tyluż krajów świata.

Najmniej może wdzięcznym, z punktu widzenia muzealnika, rodzajem filmowym, okazało się kino oświatowe i dokumentalne. Penetracja tej dziedziny sztuki filmowej odbywała się przede wszystkim poprzez cykliczne organizowanie pokazów promocyjnych i autorskich twórców krótkiego metrażu, z poszerzeniem o starannie opracowany i wydany folder, którego wartość nie ograniczała się jedynie do roli ulotki informacyjnej, lecz miała walor dokumentu o charakterze krytyczno-analitycznym, stanowiąc mikromonografię twórcy i jego dorobku (pod red. Marka Strąkowskiego).

Innymi dokumentami o charakterze trwałym stały się zaczątki zbioru fotosów i zdjęć roboczych z filmów krótkometrażowych oraz artykuły zamieszczone w gazetach festiwalowych, a także udokumentowany czynny udział Muzeum w organizacji szeregu tych imprez. Przy tej też okazji zorganizowano wystawę obrazującą dorobek w zakresie filmu przyrodniczego, polskiego lidera w tej dziedzinie – Wytwórni Filmów Oświatowych.

Najskromniej może, przynajmniej w pierwszym okresie funkcjonowania Muzeum, przedstawiała się penetracja problematyki związanej z filmem fabularnym, ograniczając się zasadniczo do działalności kameralnego kina Galerii Łódzkiej w MHML i cyklicznych projekcji najciekawszych i najbardziej aktualnych tytułów filmowych.

W rok 1984 placówka wkracza już jako w pełni ukształtowane Muzeum Kinematografii – Oddział Muzeum Historii Miasta Łodzi z dobrze skryształizowanym modus operandi.

Nieprzypadkowo w tym właśnie okresie, w przededniu dziewięćdziesiątej rocznicy powstania kina, zorganizowana została kolejna heterogeniczna, szeroko zakrojona wystawa pt. *Nowe nabytki Muzeum Kinematografii. W kręgu techniki filmowej w*

Galerii Łódzkiej MHML, będąca podsumowaniem pięciu minionych lat oraz próbą wyciągnięcia wniosków na przyszłość.

„Dotychczasowe dokonania Działu Kultury Filmowej Muzeum Historii Miasta Łodzi – wystawy, pokazy, sesje, publikacje, zbiory [...] aczkolwiek stały się materialną bazą Muzeum Kinematografii, to przecież nie mogą na obecnym etapie stanowić o jego kształcie. Muzeum Kinematografii winno w sposób harmonijny połączyć wszystkie najważniejsze cechy instytucji strictly muzealnej o funkcjach przede wszystkim dokumentacyjnych z szeregiem funkcji wynikających z kontekstu zjawisk konstytuujących kulturę filmową na co dzień. A więc m.in. funkcje dydaktyczne, inspiratorskie, propagatorskie czy wręcz funkcje mecenatu artystycznego i naukowego. Gdyby pokusić się o lapidarne określenie miejsca, w którym sytuuje się Muzeum Kinematografii można byłoby stwierdzić, że jest ono między Muzeum Techniki a Filmoteką, albo między panoptikum a świątynią sztuki, albo między graciarnią i salonem. W takich bowiem aspektach jawiło się zawsze i jawi się dotąd kino – przedmiot zainteresowania muzeum i zarazem fakt nobilitujący jego powstanie”.

Pod znakiem takiego credo wkroczyła placówka w ostatni już rok gościny pod dachem Muzeum Miasta Łodzi. W tym czasie cała uwaga i wysiłki zespołu koncentrują się zasadniczo wokół bliskiej rocznicy czterdziestolecia kinematografii powojennej Polski i planowanej w związku z tym wystawy mającej stanowić zarazem zamknięcie działalności w formach filialnych. Przed Muzeum stało niezwykle pracochłonne, skomplikowane i rozległe zadanie – dotarcia do wszystkich żyjących twórców polskiego kina fabularnego oraz przekonania ich do idei zgromadzenia pod dachem jednej sali ekspozycyjnej najbardziej drogich im i cenniejszych pamiątek: wyznaczników i dokumentów drogi twórczej.

Nietrudno było z góry przewidzieć, iż oceny i komentarze tworzące aurę wokół wystawy będą bardzo zróżnicowane. Nie brakło jednak i pozytywnych skutków.

„Jubileusz 40-lecia kinematografii w PRL stał się dla organizatorów próbą generalną. Był to moment, kiedy potrzebę istnienia takiej placówki poparł z niesłychaną energią ówczesny dyrektor Filmoteki Polskiej Roman Witek. [...] Konsekwencją było powołanie z dniem 1 I 1986 roku Muzeum Kinematografii, nadanie mu statutu i przekazanie zabytkowego zespołu pałacowo-parkowego w parku Źródlika”.

Pozytywem, który przyniesie wymierne skutki w przyszłości, stało się także pozyskanie dla idei muzeum Andrzeja Wajdy –

jednego z najwybitniejszych polskich reżyserów. Potwierdzeniem ścisłych związków pomiędzy placówką a światowej sławy twórcą stała się, rozpoczynająca autonomiczną działalność wystawa Ziemia Obiecana – Reymont – Wajda, która w niezwykle interesujący sposób połączyła osobę reżysera niezapomnianego fresku o Łodzi z autorem powieści, której był adaptatorem.

W ten sposób do dotychczasowych dokonań instytucji dochodzi kolejny nurt – wystawy monograficzne wielkich twórców kina fabularnego.

Godnym następcą Andrzeja Wajdy stał się Wojciech Has, zaś wystawa poświęcona temu reżyserowi przyniosła zespołowi Muzeum Kinematografii nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za najciekawsze wydarzenie kulturalne roku 1988.

Reżyserem, który poprzez swoją twórczość gościł pod dachem Muzeum był także Roman Polański – jego film pt. *Piraci* doczekał się osobnej ekspozycji prezentującej zespół wybranych fotosów z realizacji filmu.

Kolejną wystawą z zakresu techniki filmowej, choć bardzo niekonwencjonalną, stał się happening pt. *Projektor i dźwięk* przekształcając się ostatecznie w imprezę określoną mianem „ruchomego pomnika dźwięku”, zorganizowaną z okazji rocznicy powstania pierwszego filmu dźwiękowego i obrazującą proces, w wyniku którego wynalazki Tomasza Edisona i braci Lumière, poprzez swoje kolejne udoskonalenia i mutacje dały w efekcie współczesne kino.

Zwiastuny przełomu w życiu kraju, zarysowujące się bardzo wyraźnie już pod koniec 1988 roku, skłoniły zespół Muzeum Kinematografii do podjęcia próby podsumowania i zdyskontowania dotychczasowych osiągnięć. Pierwszym wyrazem tego trendu stała się kolejna impreza z udziałem Andrzeja Wajdy, pt. *Andrzejewski – Cybulski – Wójcik – Wajda*, która ostatecznie stała się swoistą rekapitulacją postawy twórcy *Ziemi obiecanej*.

Związana ze wspomnianym przełomem konieczność odmienniej optyki w spojrzeniu na dzieje polskiego kina stała się powodem zorganizowania w styczniu 1989 roku sesji naukowej, pt. *80 lat polskiej kinematografii*. Seminarium to, odbywające się w zamku Książ k. Wałbrzycha, zgromadziło przedstawicieli większości filmoznawczych ośrodków akademickich w kraju i poświęcone było dyskusji nad kinem polskim.

W dziedzinie filmu fabularnego bardzo interesującą inicjatywą stał się cykl pt. *Muzealne premiery filmowe*, który początkowo miał za zadanie wydobyć z zapomnienia filmów niedopusz-

czonych do rozpowszechniania przez cenzurę i zaprezentowanie ich publiczności, zaś w swym późniejszym kształcie miał przybliżyć łódzkiemu widzowi najciekawsze i najnowsze pozycje bądź też obrazy nagrodzone na festiwalach filmowych.

Reprezentacyjne Kino

„RIALTO”

Przejazd 1

Łódź, w kwietniu 1922 r.

Najciekawe wydzielone w dziejach kinematografii

KU
WOLNOŚCI

Kinematograficzny obrazek powstający, wywołany przy pomocy Epicykloidalnego
M.S. Woska i przy udziale 500 palko słowiańskich



Przedwojenny afisz filmowy

Jako wyraz nowych czasów należy też potraktować zorganizowanie przy współudziale Muzeum dwóch imprez o profilu „performance”: *Lochy Manhattanu, czyli sztuka innych mediów* (maj-czerwiec 1989 r.) oraz imprezy *Konstrukcja w Procesie*, o podobnym charakterze, lecz o międzynarodowym zasięgu, która odbyła się w październiku 1990 roku.

Nie sposób oczywiście wyczerpać tutaj tak rozległej tematyki, jak kompleks działań Muzeum Kinematografii.

Nazwa placówki – Muzeum Kinematografii – nie stała się nigdy pretekstem do traktowania profilu działalności w sposób wąski i doktrynerski. Przeciwnie, liczne wystawy i realizacje świadczą o szerokim otwarciu na tematykę pokrewną filmowi: fotografię, telewizję i szeroko pojmowane media. Objęcie pałacu Scheiblera umożliwiło zacieśnienie współpracy z łódzką telewizją, zaś wyrazem tych więzi stał się cykliczny program *Zbliżenia, czyli to i owo o filmie*, który nie tylko umożliwił Muzeum dotarcie do szerokich rzesz odbiorców, lecz również przyciągnął pod jego dach wiele postaci życia artystycznego miasta i kraju.

Kazimierz Lewkowski

Pan Kwinto i inni

Minęło już kilka lat od chwili, kiedy ukazała się moja książka, taki zbeletryzowany dokument, którego bohaterem był Jan Machulski. Dziś wracam do sylwetki tego artysty, należy on bowiem do tych nielicznych łodzian z urodzenia, którzy acz wyjechali z naszego miasta, są z nim związani wyjątkowo silnie, uczuciowo, twórczo oraz... miejscem pracy. W wypadku bohatera mojej książki *Zdobywanie życia* jest to Szkoła Filmowa, w której uczymy obaj od prawie trzydziestu lat. Sylwetka Jana Machulskiego, jego osobowość, jest w Łodzi niezwykle popularna.

Dyskretny urok sztuki aktorskiej, który cechuje jego twórczy wizerunek, przysparza mu wielbicieli, jego wewnętrzne ciepło i osobisty wdzięk zjednują mu ludzi, wrażliwość na drugiego człowieka przekształca się w przyjaźń, którą Jan Machulski potrafi hojnie obdarzać.

A wszystko zaczęło się przed laty właśnie w Łodzi. Bohater mojej książki urodził się... kilkakrotnie. To oczywiście metafora, ale czy życie artysty nie jest jedną wielką metaforą? Jedną wielką sprzecznością? Bywa przecież i tak, że nagle po latach artysta polemizuje niejednokrotnie z samym sobą, bezwiednie, a może świadomie, przekreślając swój własny dorobek, swoją własną ideę ucieleśnioną pokoleniami swoich uczniów...

Wróćmy jednak do tych wielokrotnych urodzin mego bohatera. Po raz pierwszy urodził się przed wojną, w letni lipcowy dzień. Po raz drugi w roku 1950, kiedy przyjęto go do Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej, kiedy Jadwiga Chojnacka, znakomita aktorka, pedagog, powiedziała mu: chcesz wiedzieć, czy możesz być aktorem? – ??? – Możesz, możesz – dodała. Serce

zabiło mu mocniej, pobiegł przed siebie. Zresztą zawsze biegł i w rzeczywistości, i w przenośni. Musiał biec, wiedział przecież, że tylko „lepiej urodzeni mogą zdążyć do celu spacerem”. W biegu ukończył liceum, musiał bowiem szybko nadrobić to, co mu zabrakło wojna. Spieszył się także do teatru, ale czas nauki zawodu wymaga cierpliwości, cierpliwości i jeszcze raz cierpliwości. Był więc cierpliwy i wygłodniały, a kiedy przyszedł czas wyzwolenia, rwał się do pracy, chcąc połknąć naraz wszystkie role świata, cały teatr zgarnąć i smakować, smakować, smakować... Ale wróćmy jeszcze na moment do łódzkiej szkoły aktorskiej we wczesnych latach pięćdziesiątych. Młody rektor uczelni, dyrektor głośnego wówczas w Polsce Teatru Nowego, Kazimierz Dejmek przyniósł maszynopis Systemu Stanisławskiego. Były to zapewne przygotowane do druku fragmenty tekstów *Pism* Konstantego Stanisławskiego, które ukazały się w 1954 roku, kiedy Jan Machulski był już absolwentem szkoły aktorskiej.

Wspominam o tym wydarzeniu przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że ów maszynopis stał się dla młodzieży aktorskiej początków lat pięćdziesiątych czymś w rodzaju Biblii, przewodnika po niedostępnym dotychczas i nieosiągalnym świecie sztuki aktorskiej. Po drugie zaś dlatego, że był to okres, kiedy z owego przewodnika do celu zwanego spektaklem teatralnym urzędnicy kultury zaczęli robić cel sam w sobie, zabijając cały sens systemu. A przecież Stanisławski i jego metoda dla mojego bohatera oraz jego kolegów to klucz do twórczego traktowania swojej sztuki. Dla nich pojęcia takie, jak „okoliczności założone”, „zadanie naczelne”, „zadanie nadrzędne”, „główny nurt działania”, „przystosowanie” – były ważnymi etapami zarówno teoretycznego poznawania, jak i praktycznego stosowania. A znamienne zdanie Stanisławskiego: „Jedynym królem i władcą sceny jest utalentowany aktor” budziło zachwyt i stało się zawołaniem pokolenia. Ci młodzi ludzie doskonale czuli, gdzie jest zagrożenie, dzielali niepokój Stanisławskiego, który swoim zwyczajem nie dawał recept, lecz stawiał pytania: „Jak uchronić rolę od wynaturzenia, od duchowej martwoty, od despotyzmu aktorskiego nawyku i mechanicznej rutyny?” Nie szukali więc u niego rozwiązań gotowych, lecz świadomej, przemyślanej techniki, która pozwalałaby im dojść do twórczości podświadomej, do praktycznego poznania centralnego punktu systemu, który tkwi w „twórczym procesie przeżywania”. Ten zaś polega na tym, że aktor żyje postacią, lecz nie oznacza to, iż przejmuje jej osobowość.

„Można zrozumieć jakąś rolę – mawiał Stanisławski – sympatyzować z postacią i wejść w te same, co ona warunki, aby działać jak ona. Tak właśnie zrodzą się w aktorze uczucia, które będą podobne do uczuć postaci, lecz należeć będą tylko do aktora”. Jego celem nie jest „odtworzenie życia ludzkiego ducha”. Ma je wyrażać w „formie estetycznej i artystycznej”. Tak więc „twórczemu procesowi przeżywania” odpowiada drugi proces, proces „wcielania”, który wymaga doskonalenia warsztatu, a więc sprawności fizycznej, aparatu głosowego itp. Technika wewnętrzna, technika zewnętrzna, twórczość podświadoma, samokontrola – tak właśnie rodzi się postać sceniczna. Albo też, jak chce Stanisławski za Salviniim: „Aktor żyje, płacze i śmieje się na scenie, obserwując swoje łzy i swój śmiech. Właśnie ta podwójna funkcja, ta równowaga między życiem a grą stanowi o jego sztuce”. Wszystkie te cytaty i wiele jeszcze innych „wychowankowie” Dejmka, niemal jego rówieśnicy, pamiętają do dziś. I nie tylko dlatego, że nauczyli się ich po to, aby zabłysnąć na egzaminie czy w towarzyskich konwersacjach. Dla nich „system Stanisławskiego” stał się podstawą możliwości tworzenia, jak dla artysty malarza umiejętność właściwego „zagruntowania” płótna czy „zrobienia” farby. Jan Machulski twierdzi, że odwoływanie się do prawd warsztatowych zawartych w pismach Stanisławskiego uratowało ich od bezdusznego, administracyjnie narzuconego realizmu socjalistycznego, bo traktowali owe wskazania jako naturalny proces przygotowywania roli przez aktora profesjonalistę, który z całą świadomością wybrał ten właśnie system jako narzędzie twórczości.

Wiadomo jednak, że uczenie się i przyswajanie podstaw warsztatowych odbywa się zarówno na samych zajęciach, pod okiem wytrawnych nauczycieli (Jadwiga Chojnacka, Hanna Małkowska, Janina Mieczyska, Maria Kaniewska), jak i poprzez podpatrywanie mistrzów teatralnego rzemiosła. A było to wówczas w Łodzi bardzo łatwe, powiedzmy nawet atrakcyjne, bo Teatr im. S. Jaracza prowadził Iwo Gall, Teatr Powszechny Jadwiga Chojnacka, a Teatr Nowy oczywiście rektor Kazimierz Dejmek. W tych teatrach grywali aktorzy wywodzący się z różnych pokoleń i reprezentujący różne pokolenia aktorskie. Byli więc aktorzy pokolenia „Reduty”, jak choćby Jadwiga Chojnacka i Hanna Małkowska, byli aktorzy, którzy korzeniami również sięgali do J. Osterwy (jak Halina Gallowa), ale reprezentowali swój odrębny styl. Byli i tacy, dla których źródłem artystycznych dokonań był przedwojenny warszawski Teatr Polski Arnolda

Szyfmana (np. Stanisław Łapiński), ale i tacy, o których można powiedzieć, że łączyli szyfmanowski realizm z niemiecko-austriackim ekspresjonizmem, jak Józef Pilarski. Oczywiście „reduutowcy” bardzo szybko nazwisko swego mistrza i nauczyciela – J. Osterwy – połączyli z K. Stanisławskim i jego systemem. Dejmek natomiast starał się odnaleźć swój własny styl, idąc wyznaczoną przez system Stanisławskiego drogą, akceptując i jednocześnie buntując się przeciwko Schillerowi. Zabrał też miejsce, które opuścił w Łodzi L. Schiller, I. Gallowi, jak można sądzić, swemu prawdziwemu nauczycielowi, jeszcze z czasów krakowskiego „Studia”.

Ileż bogactwa stylów, poglądów na sztukę aktorską można było doświadczyć w Łodzi teatralnej lat pięćdziesiątych, choć narzucona administracyjnie ideologia ingerowała także, czy też przede wszystkim, w twórczość. Na szczęście aktor był najmniej narażony na bezpośrednią ingerencję w jego warsztatowe poszukiwania. Młodzi ludzie zatem mogli odwoływać się do wzorców wyrosłych z bogatej tradycji polskiego teatru; Zelwerowicz, Węgrzyn, Jaracz, Wysocka, Osterwa – cała plejada wybitnych aktorów, którzy tworzyli przeszłość, ale także zdecydowali o teraźniejszej rzeczywistości teatru w Polsce. To oni ukształtowali zasady etyki zawodu aktora, to oni zbudowali wzór aktora romantycznego, który mimo braku możliwości grania wielkiego repertuaru dziewiętnastowiecznego umacniał się i oddziaływał na młodych wstępujących do tego zawodu, który de facto jest przecież powołaniem. Model takiego właśnie myślenia o aktorze odpowiadał bardzo młodemu Janowi Machulskiemu. Swój ideał odnalazł w przeszłości, w „Reducie” i w osobie Osterwy. Machulski pamiętał o tym posłannictwie oraz ideale także i wówczas, kiedy „wracał” czy też po raz trzeci narodził się w Łodzi jako aktor Teatru Nowego, znany już publiczności z kina, z wielkich kreacji, takich jak rola Chłopca w *Ostatnim dniu lata* Tadeusza Konwickiego. Rzec można, że były to podwójne narodziny, narodziny dojrzałości aktorskiej i sentymentu wynikającego z genius loci. Dojrzałość rodziła się w łódzkiej wytwórni filmowej, potwierdzana coraz to nowymi zadaniami aktorskimi, a sentyment do Łodzi... przecież tu były jego korzenie, tu najlepiej żyło się jego matce, tu na łódzkich cmentarzach spoczywali jego przodkowie.

Ale Łódź wtedy stała się tylko przystankiem do Warszawy, tak jak wcześniej przystankami były: Olsztyn, Opole, Lublin. Czy jednak nie było między tymi przystankami a Łodzią żadnej różnicy? Przecież mimo zmiany miejsca zamieszkania i wpisania do

dowodu osobistego adresu warszawskiego Jan Machulski ciągle wracał do Łodzi, a właściwie nigdy z tego miasta nie wyjeżdżał. Miał się tu narodzić Jan Machulski pedagog, wychowawca i nauczyciel wielu pokoleń aktorskich. Te narodziny to początek lat siedemdziesiątych.

Czy wiemy dokładnie, kiedy Jan Machulski przyszedł do Szkoły Filmowej na Wydział Aktorski? Moja pamięć i pamięć moich kolegów jest w jawnej sprzeczności z dokumentami. My mówimy, że niedługo minie lat trzydzieści, a dokumenty odnotowują dwudziestopięćciolecie. Nieważne. Istotne jest bowiem to, że spod jego ręki wyszło wielu wybitnych aktorów, że przyznają się do tego Artur Barciś i Zbigniew Zamachowski, Ada Biedrzyńska i Wojciech Malajkat, Cezary Pazura i Piotr Polk oraz wielu, wielu innych.

A co jest najważniejsze w pracy pedagogicznej Jana Machulskiego? Sądzę, że wyjaśnia to sam, kiedy mówi: „Nie można określić, na czym polega niepowtarzalność Osterwy, Węgrzyna czy Jaracza. Na czym polega osobowość Marlona Brando czy Paula Newmana. A jest to podstawowa cecha aktora. Z tej cechy indywidualnej zrezygnować nie wolno, przyjmując do szkoły. My, pedagodzy, mamy obowiązek tę niepowtarzalną osobowość młodego człowieka rozwijać, a nie niszczyć!” Postawa Jana Machulskiego – pedagoga – wynika właśnie z tego przesłania: „rozwijać, a nie niszczyć”. A więc integracja przedmiotów nauczania, która pozwala studentom znaleźć głębszą motywację do pracy. Rozwój osobowości umożliwi wyrabianie u młodzieży studiującej gotowości teatralnej, wyczulenia na wszystkie media, z którymi współczesny aktor będzie się stykał. Machulski dąży do tego, aby student w czteroletnim cyklu nauczania mógł zagrać pięć do sześciu ról. To budzi największe kontrowersje i dyskusje. On sam wyjaśnia to następująco: „Teatr współczesny wymaga większej gotowości studenta kończącego szkołę. Wymaga większej techniki, samodzielności w pracy, znakomitej wymowy i sprawnego do perfekcji ciała. Wszystko to jest możliwe tylko dzięki ciągłym ćwiczeniom, korygowanym przez »majstra«, i graniu wielu ról”. Przeciwnicy tego sposobu nauczania mówią natomiast: no dobrze, ale to, co proponujesz, to jest sposób na teatr amatorski, a gdzie miejsce na żmudne ćwiczenia głosu, dykcji, ruchu, sprawdzanie ich najpierw na elementarnych ćwiczeniach, potem na wybranych scenach dramatycznych, a dopiero pod koniec – rola od początku do końca pod okiem „mistrza”. Ten spór właściwie jest nierozstrzygnięty, choć wielu wychowanków Machulskiego

zajmuje dziś wysoką pozycję w teatrze i w kinie; ale z kolei na przykład wychowankowie Ewy Mirowskiej, przywiązującej większą wagę do precyzji i intelektualnego przygotowania do zawodu, również należą do najwybitniejszych aktorów polskiego teatru i filmu, co więcej – do aktorów poszukujących. A może te dwa modele nie wykluczają się? Może model Machulskiego jest po prostu modelem autorskim i jako taki jest tylko możliwy w wykonaniu samego autora?

Jan Machulski swój kunszt aktorski i mistrzostwo w zawodzie wyniósł ze szkoły, potem w teatrze i na planie filmowym doskonalił warsztat, zdobywał coraz to nowe doświadczenia, które pomagały mu we właściwym doborze środków aktorskich. U Tadeusza Konwickiego zaczął uczyć się aktorstwa filmowego. Odkrywał możliwości przebywania „całym ciałem”, odnajdywania się w przestrzeni, dowiadywał się także, iż w jednym ujęciu można zaprezentować bardzo różne, krańcowo różne środki wyrazu. Popatrz – mówił Konwicki – przy szerokim obiektywie możesz nie ograniczać ruchu, gestu, ale kiedy zmienię obiektyw, kiedy będzie mnie interesowała tylko twoja twarz, skup się wyłącznie na niej. To była ważna lekcja w jego artystycznym życiu. Jan Machulski odkrył bowiem właściwe powołanie. We Francji, w Anglii, we Włoszech, w Stanach byłby aktorem filmowym. To właśnie wtedy jego wzorce aktorskie, jego sympatie zaczynają ewoluować w stronę kina: James Dean, Marlon Brando, a więc aktorzy kina amerykańskiego, które wówczas (lata 50. – 60.) stawało się dla Europy Wschodniej objawieniem. Zainteresowanie aktorami amerykańskiego kina nie było ani przypadkowe, ani nie wynikało z chwilowej mody. Jan Machulski wiedział, że i Brando, i Dean byli uczniami Actor Studio, gdzie system Stanisławskiego, twórczo zmodyfikowany, stał się jedyną metodą nauczania w tej prestiżowej kuźni amerykańskich talentów aktorskich.

Tak więc droga „przez film” została rozpoczęta. Po wspaniałej przygodzie z Tadeuszem Konwickim było *Wolne Miasto* Stanisława Różewicza, potem *Orzeł* Leopolda Buczkowskiego i *Drugi człowiek* Konrada Waleckiego. Ten ostatni film, może nie najlepszy, stał się ważnym wydarzeniem socjopsychologicznym. Oto po latach schematyzmu i nadinterpretacyjnych stereotypów doszło do pokazania młodego inteligenta jako romantycznego bohatera, który swoją postawą bardziej przypominał rozhamletyzowanego chłopca z książką w ręku niż dojrzałego mężczyznę o ustalonych już poglądach. Można tu nawet, wzorem Jana Kotta, zastanawiać

się, z jaką to książką wędruje przez życie polski inteligent końca lat pięćdziesiątych, z jaką książką hamletyzuje Karol – bohater filmu Nałęczkiego. Ten pierwszy na pewno nie sięgał po *Złego* Leopolda Tyrmanda, po *Witaj smutku* Françoise Sagan. Był to raczej jakiś Sartre albo Camus z całym ich egzystencjalnym poglądem na życie, choć bez owego kostiumu, tak wówczas modnego wśród artystycznej bohemy: czarny sweter golf, czarne spodnie i mroczne wejście. W postaci, którą stworzył Jan Machulski, nie było nic z owego, jakże modnego stereotypu: ani bohema, ani inteligencik. Był natomiast pewien nieuchwytny odcień wrażliwości i rozedrgania, graniczący z nerwicowością. Wszak Jan Machulski swoim aktorstwem zawsze był bliższy tradycji polskiego romantyzmu niż egzystencjalnym niepokojom. To fakt, prawie wszyscy czytali wówczas Sartre'a i Camusa, ale Karola, bohatera *Drugiego człowieka*, w interpretacji Jana Machulskiego bardziej podejrzewałbym o Freuda i Junga, autorów bliższych aktorowi, który z pasją neofity oglądał amerykańskie filmy, ucząc się z nich techniki, sposobów aktorskich i psychoanalitycznej ortografii.

Potem, po latach, styl aktorstwa Jana Machulskiego uległ zmianie, ale – powiedzmy szczerze – nie tyle pod wpływem lektur i sytuacji intelektualnej świata, ile przede wszystkim pod wpływem nieubłaganego czasu i biologii. Sylwetka aktora zmieniła się, to już nie jest „chłopiec z książką w ręku”, to dojrzały mężczyzna z *Vabanków* czy bohaterski „starzec” ze *Szwadronu*. Role grane przez Jana Machulskiego są odtąd wyraziste, „cięższe”, jak by powiedział Jean-Louis Barrault.

Tej opowieści o Janie Machulskim – aktorze, pedagogu, człowieku, przyjacielu – zakończyć się nie da, a więc trzeba ją po prostu przerwać, tak jak przerywa się spotkanie z najbliższymi przyjaciółmi, aby je kontynuować po jakimś czasie, za chwilę, za dzień, za miesiąc... Niech tę moją opowieść zakończy pewien cytat. Ktoś kiedyś zapytał Jana Machulskiego: Powiedz mi w jednym zdaniu, kto to jest aktor? Odpowiedź brzmiała: „Aktor to ten, który pokazuje to, czego bez niego nikt by nie zobaczył!”



Ulica Piotrkowska (foto: K. Duklas)

Andrzej Kempa

Łodzianie w służbie książki

Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tak oczywistego faktu, że książka towarzyszy nam od najwcześniejszego dzieciństwa, początkowo czytana przez rodziców, potem zalecana w szkole, podczas studiów i pracy zawodowej, wreszcie dobierana z własnej woli dla edukacji lub rozrywki. Uzupełniana przez nowe nośniki informacji, nie traci swoich zwolenników i choć droga, znajduje prawo obywatelstwa w naszych domach, zaś wielu spośród nas darzy ją szczególną estymą.

Role pośredników w dostarczaniu właściwej lektury pełnią – oprócz wydawców i drukarzy – księgarze i bibliotekarze, a jeśli książka jest wyczerpana, a koniecznie ją chcemy mieć na własność, zawsze można liczyć na pomoc antykwariuszy, rzadziej kolekcjonerów, bo ci zazdrośnie strzegą swych skarbów. A są wśród bibliofilów i tacy, którzy zabiegają o piękne oprawy dawnych mistrzów, gdyż dziś introligatorstwo nie sztuką jest, lecz rzemiosłem. Przypomnijmy, iż pierwszą bibliotekę publiczną zawdzięczamy braciom Załuskim (1747), że bibliotekarzami byli przez czas jakiś Adam Mickiewicz i Stefan Żeromski, zaś łódzcy fabrykanci przyczynili się do wzniesienia w naszym mieście nowoczesnej na owe czasy Miejskiej Biblioteki Publicznej, obdarowując ją często hojnymi darami.

Ukazał się właśnie drugi już suplement do *Słownika pracowników książki polskiej*, pod redakcją Hanny Tadeusiewicz z udziałem Bogumiła Karkowskiego, uzupełniający 392 życiorysami wydany w roku 1972 tom główny (około 3000 biogramów) i suplement pierwszy (1986), zawierający około 550 biogramów. Zaznaczyć tu wypada, iż obecny suplement został opublikowany przez Wydawnictwo Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich dzięki

pomocy finansowej Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego oraz Wydziału Kultury i Ochrony Zabytków Urzędu Miasta Łodzi.

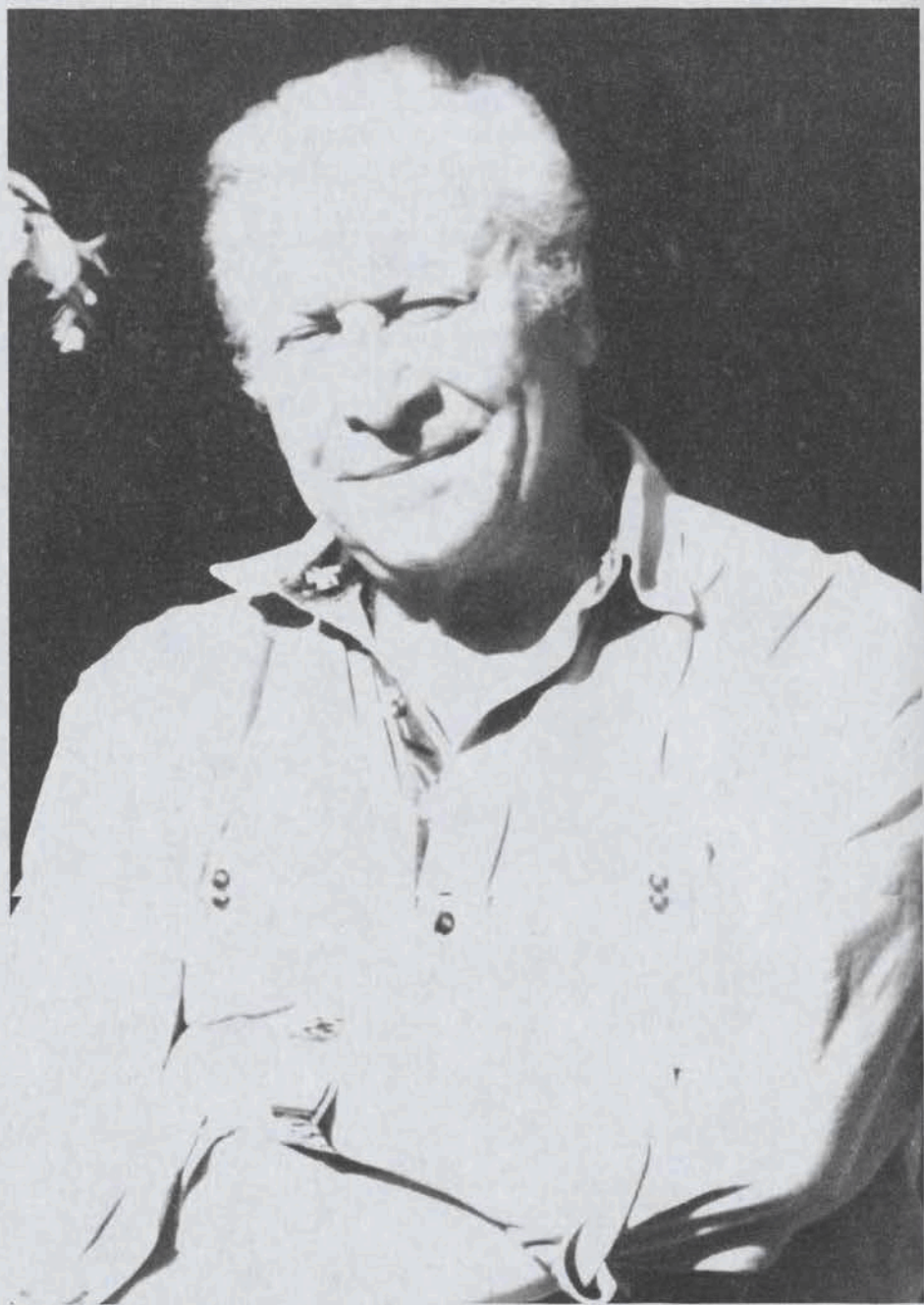
Pomysł wydania takiego właśnie słownika biograficznego ludzi książki zrodził się u schyłku II wojny światowej, a jego inicjatorem był doc. dr Adam Łysakowski, w latach 1946-1948 dyrektor Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego i równocześnie dyrektor Państwowego Instytutu Książki w Łodzi. Prace przygotowawcze trwały przez wiele lat; udział w opracowaniu życiorysów do tomu głównego wzięło ponad 550 autorów. Dziś wielu z nich nie żyje, zaś ich życiorysy trafiły do kolejnych suplementów. Nie żyje też dr Irena Treichel (1918-1987), wieloletnia bibliotekarka Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi, która kierowała pracami redakcyjnymi i doprowadziła do wydania tom główny i pierwszy suplement. Dzieło życia Ireny Treichel kontynuuje jej najbliższa współpracownica, obecnie kierownik Katedry Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej UŁ, prof. dr hab. Hanna Tadeusiewicz.

Któż z nas – poszukiwaczy książek – nie pamięta atmosfery słynnego antykwariatu „Słowo” i jego właściciela Henryka Maszewskiego (1910-1992). Pisał o nim na łamach „Kroniki Miasta Łodzi” prof. Janusz Dunin (1997, z.1-2). W suplementcie znalazły się życiorysy dyrektorów łódzkich bibliotek: Uniwersyteckiej – Jerzego Włodarczyka (1920-1997) i Bolesława Świderskiego (1917-1998), Akademii Medycznej – Juliana Dmitrowicza (1912-1981), Miejskiej Biblioteki Publicznej – Romana Kaczmarka (1912-1985). Nie zabrakło Michała Kuny (1923-1994), wieloletniego wicedyrektora BUŁ, animatora licznych przedsięwzięć wydawniczych. Obydwaj – Kaczmarek i Kuna – byli laureatami Nagrody Miasta Łodzi; pierwszy w roku 1981, drugi – w 1990. Starsi wiekiem czytelnicy *Suplementu*, wówczas studenci lub rozpoczynający swój zawód lekarze, wspomną może zatarte już w pamięci pracownice Biblioteki Głównej Akademii Medycznej: Urszulę Pełkę-Pelińską (1904-1980), Zofię Dreszerową (1906-1995) czy przedwcześnie zmarłą Elżbietę Jankowską (1922-1972). Bywalcom Biblioteki Uniwersyteckiej staną przed oczami: Teodor Chorosz (1910-1988), specjalista w zakresie starych druków i kartografii, Zofia Hiszpańska (1911-1988), wciąż zatroskana o powiększanie zbiorów bibliotecznych. Ci zaś, którzy odwiedzali Miejską Bibliotekę Publiczną, na pewno często korzystali z pomocy jej pracownic: zawsze uśmiechniętej, choć jakże cierpiącej Małgorzaty Basińskiej (1944-1986), Barbary Durajowej

(1917-1993) i wielu innych. W poczcie zasłużonych znalazły się liczne bibliotekarki bibliotek rejonowych, pogodne i z uśmiechem służące pomocą w wyszukaniu właściwej dla czytelnika książki.

W *Suplemencie* umieszczono też życiorysy łódzkich drukarzy i księgarzy działających w XIX w. i pierwszej połowie XX stulecia, co pozwala na poznanie roli książki i jej dystrybutorów w odleglejszej nieco przeszłości.

Kilkadziesiąt biogramów ludzi, którzy swoje życie poświęcili upowszechnianiu czytelnictwa, rozwojowi bibliotek i edukacji młodzieży na terenie naszego miasta, jest znakomitą rekomendacją dla całości dzieła, którego pierwsze dwie części stanowią nie lada rzadkość antykwaryczną, zaś ostatnia dostępna jest wyłącznie w Dziale Promocji i Kolportażu SBP, Al. Niepodległości 213, 02-086 Warszawa, tel. 0-22-608-28-26. Zamówienia faksem 0-22-608-28-23.



Leon Niemczyk

Katarzyna Deka

Leon Niemczyk – łodzianin

Aktor teatralny i filmowy. Na ekranie zadebiutował w 1953 roku w epizodycznej roli majora Stuposza w *Celulozie*. W 1948 roku zaciągnął się do zespołu objazdowego operetki warszawskiej, skąd po roku uciekł do Teatru Wybrzeże. W 1952 roku zdał egzamin eksternistyczny w Bydgoszczy i jako pełnoprawny artysta w 1953 roku zaangażował się do Teatru Powszechnego w Łodzi, gdzie przepracował do 1979 roku. Znakomite warunki zewnętrzne (wzrost, twarz, sylwetka, plastyka postaci), wsparte temperamentem i poczuciem humoru, pozwalały wcielić się znakomitemu aktorowi niemal we wszystkie kreacje. Tworzy swe postaci nieco filmowo, przywiązując większe znaczenie do plastycznego rysunku niż do tekstu. Do jego najwybitniejszych ról trzeba zaliczyć przede wszystkim Fulko de Lorche w *Krzyżakach* Aleksandra Forda, słynną Dziewiątkę w filmie *Baza ludzi umarłych*. Zagrał także w produkcjach takich, jak: *Nóż w wodzie* Polańskiego, *Pociąg* Kawalerowicza, *Eroica* Munka, *Potop* Hoffmana, czy w *Akademii Pana Kleksa*. Obecnie jego kunszt aktorski możemy podziwiać na planie seriali: *Na dobre i na złe*, *Złotopolscy*, *Trędowata* oraz *Miodowe lata*.

Łódź traktuję z sentymentem, bo dała mi wyjście na świat...

Jest pan niezwykle zapracowanym człowiekiem. Obecnie możemy oglądać pana w serialach: *Na dobre i na złe*, *Złotopolscy*, *Trędowata*. Zagrał pan w ponad czterystu filmach. Gdzie gra się panu lepiej – w serialu czy w filmie fabularnym?

Naturalnie tam, gdzie lepiej płacą. Film fabularny wymaga od aktora większej pieczołowitości, drobiazgowości. Serial natomiast traktowany jest na całym świecie jak konfekcja, czyli towar na zamówienie, co związane jest z większymi kosztami. Poza tym serial robi się bardzo szybko. Powstaje w ciągu kilku dni, góra – tygodnia. Film natomiast w ciągu dwóch miesięcy. Dla mnie osobście serial wymaga większej koncentracji, by w tak krótkim czasie oddać to wszystko, co tylko jest możliwe. Wśród aktorów też nie ma różnicy. Każdy chce jak najlepiej zagrać swoją postać, zarówno w serialu, jak i w filmie.

Jarosław Żamojda i Bogusław Linda przygotowują nową ekranizację *Krzyżaków*. W poprzedniej wersji zagrał pan Fulko de Lorche z Lotaryngii. Jak wspomina pan pracę nad tym filmem?

Współpraca z Aleksandrem Fordem układała się bardzo pięknie. Był to znakomity reżyser, człowiek pełen kultury osobistej, zawsze mile współpracował z aktorami. Spokojny i opanowany, wielce kulturalny pan. Grałem u niego dwukrotnie. Prócz *Krzyżaków* jeszcze w *Ósmym dniu tygodnia*. *Krzyżacy* to do dnia dzisiejszego niepobity rekord oglądalności jak i pieniędzy. Ponieważ w dzisiejszych czasach modna jest kasa, także spokojnie i dziś zaspokoiliby potrzeby zarówno widzów, jak i producentów. Ówczesna ekranizacja zwróciła się wielokrotnie. Życzę nowym twórcom, żeby osiągnęli co najmniej taki sukces, jak poprzednia adaptacja.

Czy chciałby pan zagrać ponownie w *Krzyżakach*?

Bardzo mi będzie miło zagrać, jednak nikt mi tego nie proponował, dlatego nie mogę się wypowiadać na ten temat. Nie należę do aktorów, którzy łażą, piszą listy, proszą i zabiegają o to, by

zagrać u któregoś z reżyserów. Mnie to nie interesuje. To mnie muszą znaleźć...

W Stawce większej niż życie gra pan prestidigitatora Riggletto. Jak przygotowywał się pan do sceny ze sztuczkami?

Mnie przydzielono jednego z panów magików, ale on mnie zobowiązał, że nie zdradzę techniki. To żadne cuda, tylko techniczne rzeczy i rekwizyty.

Jak wspomina Pan dzieciństwo?

Bardzo mile. Potem niestety to wszystko się rozwiało. Nagle z domu pełnego rodzeństwa nie pozostało nic. Wojna zawsze działała destrukcyjnie. Pamiętam Boże Narodzenie. To były zawsze dla mnie najpiękniejsze święta; te wszystkie przygotowywania i potrawy, cała rodzina przy stole... no i wojna, która wszystko rozbiła, tak że nawet nie ma czego wspominać...

Z tego, co Pan mówi – dużą wagę przywiązuje pan do rodziny. Jakie wartości wyniósł pan z domu rodzinnego?

Szacunek do pracy. Wydaje mi się najpiękniejsze, by szanować pracę, jaka człowiekowi jest dana. Jak się ją kocha, to ona kocha człowieka. Wtedy nie jesteśmy bezrobotni. Nie sądzę, żeby te snujące się lumpy kochały pracę, no ale opiekuje się nimi państwo, to są święte krowy, których nie wolno tknąć i ruszyć, ale może oni są potrzebni do pewnych gier politycznych...

Czy jest Pan „duszą towarzystwa” i lubi się bawić?

Nie, raczej nie. Unikam większych zgromadzeń. Z łażeniem po knajpach też dawno skończyłem. Zresztą w tym wieku to by było złe. Ja się wybalowałem kiedyś, wcześniej. Najgorzej jest u tych, którzy się nie bawili i teraz na stare lata są idiotami. Ja już chyba wszystko przeżyłem i wolę być samotnikiem, zresztą... każdy umiera w samotności.

Czyli jest Pan samotnikiem...

Z całej rodziny zostałem sam jedyny tu w Polsce. Mam jeszcze starszego brata w Kanadzie, ale ta odległość nas wyobcowała, tak że w tej chwili jesteśmy bardziej jak znajomi niż jak bracia. Nawiazując jeszcze do świąt, to nie chcę być tym trzynastym

gościem, zawsze czułem się obcy, gdy zdarzyło mi się być u kogoś. Dlatego wolę być sam. Głównie przez wojnę nauczyłem się tej samotności. Zawsze dobrze ją znosiłem i znoszę. Byłem kilka razy żonaty i być może to była ta tęsknota za stworzeniem prawdziwej rodziny. Wiem, że próbować należy do końca życia i będe to robił. Szczęście ma wielu ojców, nieszczęście nie ma nawet ojczyzna. W tej chwili mam doskonałą partnerkę.

Czego oczekuje pan od swojej kobiety?

Tego samego, czego ona oczekuje ode mnie. Kiedy ktoś odpowiada mi pod względem psychicznym i fizycznym, to wtedy jest O.K. Nigdy nie należałem do szczególnie wiernych mężczyzn, zawsze gdzieś szukałem ideału. Ale teraz... po co mam szukać namiastki, skoro mam złoto przy sobie. To jest najpiękniejsze w związku dwojga ludzi. Gdy w obecności drugiej osoby odnajduje się ukojenie i uśmiech, który bezwiednie sam pojawia się na twarzy, to chyba o to chodzi. Moje poprzednie związki nie wytrzymały próby czasu dlatego, że ja byłem ciągle w rozjeździe i nie było mnie w domu. Potrafiłem wrócić po kilku miesiącach, kiedyś wróciłem po ponad roku. Trudno w tej sytuacji, aby ta więź istniała. Moje ostatnie małżeństwo, to tzw. visiting family, ona w Niemczech, ja w Polsce. To czasami jest wygodne, ale gdy człowiek bardzo kocha, to chce być stale koło bliskiej osoby, a gdy zaczyna się tęsknić, to już masochizm. Myślę, że moje poprzednie żony teraz lepiej powychodziły za mąż i chyba znalazły lepsze oparcie w nowych mężczyznach niż we mnie. Ja miałem 6 żon, one wszystkie w sumie miały 15 mężów. No to statystycznie, kto jest lepszy?

Po filmie *Nóż w wodzie* otrzymywał Pan wiele propozycji. Z tego, co wiemy, o wielu z nich Pan nawet nie wiedział. Dlaczego według Pana istniała wtedy taka dziwna sytuacja?

Trudno mi powiedzieć. Dostawałem wtedy różne propozycje od Amerykanów, które lądowały w koszu na śmieci. Była taka bandycka instytucja pt. „Film Polski”. Wiedzieli, że jeśli dostanę dobrą propozycję filmową na Zachodzie, to w życiu nie wrócę do tego kraju. U nas w Polsce tak jest, że jeżeli góralowi zdechnie krowa, to życzy sąsiadowi, żeby mu zdechły dwie. Sukces zawsze budził wśród naszego społeczeństwa zawiść, niechęć. Po co ma się komuś udać – niech zdycha razem z nami – to była ówczesna metoda. Później wyjeżdżałem i udało mi się wypłynąć jako aktor

na Zachodzie. Będąc tam nie tylko piłem piwo czy wódę jak inni, ale uczyłem się zawodu. Liznałem troszeczkę kultury filmowej zachodniej i staram się swoje umiejętności przenosić na nasze podwóreczko.

Dustin Hoffman, Jack Lemon, u nas w kraju Wojciech Pokora – wszyscy ci panowie wystąpili w roli kobiety. Czy otrzymał pan kiedyś podobną propozycję?

Nie, zawsze obsadzano mnie w rolach typowo męskich, twardych facetów. Wiem jednak, że w największych twardzielach istnieją instynkty bardzo miękkie i subtelne. Być może to jest maska, niemniej aktor powinien pokazać swoją grę uczuć i charakter. Nie wolno zasklepieać i umiejscawiać go tylko w jednej szufladce. Każdy aktor marzy o tym, by być wszechstronny. Im więcej mamy do zaoferowania, tym częściej proponuje się nam pracę, a w dzisiejszych czasach znaleźć zatrudnienie to jest duża sztuka.

Jan Nowicki powiedział, że aktor powinien umieć grać charaktery, natomiast sam powinien być bezbarwny. W jaki sposób ustosunkowuje się pan do tej wypowiedzi?

Bezbarwny aktor to żaden aktor. Osoba grająca na scenie powinna mieć swoją osobowość. Trzeba tylko umieć umiejętnie panować nad swoim warsztatem i potrafić go odpowiednio sprzedać. W rękach dobrych reżyserów leży to, żeby angażując do filmu aktora bądź aktorkę potrafili nimi tak pokierować, aby wszyscy zauważyli ich niezwykły kunszt aktorski. Nie znam aktora, który chciałby zagrać źle. Dopomaga mu w tym nie tylko talent, ale często przypadek, iskra boża, a przede wszystkim naprawdę bardzo ciężka i systematyczna praca. Często się zdarza, że reżyserzy obawiają się obsadzić aktora, który zabłysnął jakąś kreacją. Zagrałem u Kawalerowicza w *Pociągu* i obawiam się, że nie mam szans zagrania ponownie u niego, a bardzo cenię tego reżysera.

W 1952 roku zdał Pan egzamin eksternistyczny. Dlaczego nie studiował pan w tradycyjny sposób w akademii teatralnej?

Wróciłem w 46 czy w 47 roku do Polski. Byłem na Zachodzie w III Armii Pattona. Długo szukałem swojej matki, którą w końcu udało mi się odnaleźć. Po przyjeździe zobaczyłem, jaki „piękny” jest nasz kraj i nie zastanawiając się długo, chciałem stąd pryskać.

Niestety zostałem zatrzymany, przesiedziałem i to nie byle gdzie, bo w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego na ulicy Koszykowej w Warszawie, które oficjalnie było filią NKWD. To, że stamtąd wyszedłem, to był wielki cud... Po tych „wczasach” zabronione mi było studiowanie, więc pozostała mi jedynie praca. Miałem szczęście, bo dostałem się na rok do Studia Galla w Gdyni, a później zabrał mnie do Bydgoszczy wielki dramaturg Adam Grzymała-Siedlecki, który przygotował kilku kolegów do egzaminów eksternistycznych. Dziś mam ogromną satysfakcję, że do studiów aktorskich przygotowywał mnie właśnie On, wielki dramaturg, a nie jakiś cymbał, bo i tacy się zdarzają. Za to jestem losowi wdzięczny, bo znalazłem się w znakomitych rękach.

Od wielu lat nie występuje Pan w teatrze. Dlaczego bardziej fascynuje Pana film niż teatr, który jest większym wyzwaniem dla aktora...

Zawsze traktowałem teatr jak trampolinę. Głównie marzyłem o filmie. Nie było innej drogi do kina, jak przez teatr. Dziś jest trochę inaczej. Zdarza się, że jak jest ktoś niebywale zdolny, to bierze się go nawet z ulicy. Dla mnie film miał zawsze niezwykle urok. To jest ta fascynacja i czar tzw. srebrnego ekranu. Pamiętam, że wtedy płótno było tkane srebrnymi nitkami. To kino miało dla mnie niepowtarzalną atmosferę. W filmie trzeba być fotogenicznym, mieć głos i trzeba czuć kamerę, wtedy kamera czuje aktora i o to w tym wszystkim chodzi. Żadna szkoła nie nauczy aktora grać w filmie. Obowiązuje jeszcze jedna zasada – w filmie trzeba być, w teatrze trzeba grać. Trudno, żeby intymne, namiętne sceny krzyczeć, a w teatrze trzeba wykrzykiwać... bo tam na balkonie nic nie słyhać.

Powiedział Pan, że żadna szkoła nie nauczy aktora grać w filmie. Czy w takim razie młody człowiek kończący filmówkę jest przygotowany do pracy aktora?

Nie chcę się na ten temat wypowiadać. Nie jest to bezpieczny zawód. Życzę wszystkim, aby osiągnęli wielkie sukcesy, ale czy wszystkim to się uda, tego nie wiem. Myślę, że wykładowcy i profesorowie są odpowiedzialni za przyszłe losy swoich słuchaczy, ale oni też nie mogą im niczego zagwarantować. W zawodach artystycznych bardzo wiele zależy od szczęścia i przypadku. Karierę można zacząć od zwykłego zastępstwa. Ktoś się rozchorował, złamał rękę czy nogę i trzeba po prostu zagrać. Może okazać

się, że mamy przed sobą objawienie, niezwykłą osobowość. Każdy kiedyś zaczynał, Einstein też kiedyś robił jako malutki chłopczyk w pieluszki i nie był geniuszem od razu.

Czy pamięta Pan film, który po raz pierwszy obejrzał, a który zrobił na Panu kolosalne wrażenie?

Pamiętam, przed wojną, gdy byłem małym chłopakiem, zobaczyłem mój pierwszy film w życiu, amerykańskiej produkcji pt. *Czterech z Legii*, a później zobaczyłem jeszcze Gary Coopera, który był i jest dla mnie mistrzem. Teraz lubię oglądać westerny i horrory. Gdy byłem mały, pamiętam, że strasznie bałem się horrorów, obecnie z perspektywy lat stwierdzam, że nie są one takie straszne.

Ma Pan swoją prywatną filmotekę. Są tam filmy z Pana udziałem. Komu chciałby Pan przekazać swoje bogate zbiory?

Zacząło się zupełnie przypadkowo. Poprosiłem kogoś, aby nagrał mi film, ponieważ wtedy nie miałem takiej możliwości. Obecnie mam około 350 tytułów i do dziś nie wszystko obejrzałem. Najwięcej kłopotów mam z zebraniem swoich filmów z Zachodu. Bardzo trudno jest je dostać, poza tym jest to bardzo kosztowne. Przyznam, że miłe jest ich posiadanie. W końcu pisarze też zbierają swoje książki. Dlaczego mam nie postąpić ich śladami. A komu to wszystko przekazać? Myślałem o Muzeum Kinematografii w Łodzi, a może pozostawię je swojej ostatniej miłości, aby po mojej śmierci pamiętała o mnie nieco dłużej.

Wszyscy mówią, że aby zrobić karierę, trzeba być na miejscu, w stolicy, gdyż wokół niej kręci się cały artystyczny świat. Pan od lat mieszka w Łodzi. Jak udało się Panu uzyskać taką popularność?

Czy ci wszyscy aktorzy amerykańscy mieszkają w Hollywood? Skąd... Mieszkają gdzieś na ranczach, mają samochody i dojeżdżają nimi do pracy. Każdemu się wydaje, że Warszawa to Mekka aktorska. Pamiętam, że to centrum filmowe kiedyś stanowiła Łódź, z racji Wytwórni Filmów Fabularnych. Dostanie się tutaj było wówczas największym szczęściem i objawieniem dla aktora. Łódź traktuję z sentymentem, bo dała mi wyjście na świat. W Warszawie masa aktorów jest bezrobotna. Obecnie ludzie wyprowadzają się ze stolicy. Budują domki, remontują strzechy i tam próbują układać sobie życie, z dala od tego zgiełku. Kiedyś

samochód był dla wielu luksusem, dziś – dodając Internet, telefon komórkowy – to narzędzia pracy.

Czy popularność pomogła Panu w konkretnej sytuacji?

Oczywiście, w wielu sytuacjach. Chociażby niepłacenie mandatów za jazdę. Kilkadziesiąt lat temu chciałem nabyć samochód, który był przeznaczony dla lekarzy. Powiedziałem, że gram w filmie lekarza i przyznano mi go. Inną miłą rzeczą było, że na granicy polsko-niemieckiej byłem przepuszczany bez problemu i dobrze traktowany w czasach, kiedy non stop tam jeździłem zawodowo.

No właśnie, jest Pan postacią bardzo znaną, popularną. Rozpoznaje się Pana na ulicy. Co jest dla Pana najprzyjemniejsze w zawodzie aktora?

Bardzo jest mi miło, gdy po długich przygotowaniach i pracy nad filmem okaże się, że postać, w którą się wcieliłem spodobała się i jeżeli potem jest uczciwa krytyka, to wiem, że dobrze wykonałem swoją pracę. Nie jest najważniejsze, czy jestem rozpoznawalny, czy nie, bo to ma swoje plusy i minusy. Oczywiście, to jest bardzo przyjemne, ale wiadomo, że ci znani ludzie muszą zapomnieć o swojej prywatności. Koszty tego zawodu są takie, że trzeba bywać, pokazywać się publicznie. Ludzie penetrują, patrzą uważnie. Mimo że człowiek na co dzień tego nie dostrzega, musi jednak korygować swoje zachowanie, musi zachowywać się super, tak jak od nas tego oczekują nasi odbiorcy. To zobowiązuje.

Zagrał Pan w tylu filmach, że na Zachodzie byłby Pan już niebywale bogaty. A na co stać dzisiaj Leona Niemczyka?

Na nic szczególnego... Nie można żądać zbyt wiele, bo bogacą się przede wszystkim hochsztaplerzy, złodzieje i członkowie mafii. W tym kraju, gdzie była szarość przez 50 lat, nikt nie mógł się wybić, bo był „równo strzyżony trawnik” i jak jakiś ptaszek wleciał nieco wyżej, to go łatwo i szybko ucięto. Kanarek wypuszczony na wolność będzie rozdziobany przez wróble. Tak właśnie wygląda nasz cudowny kraj. Dzisiaj, nawet po tych pięćdziesięciu latach, mentalność szarzyzny tkwi w nas głęboko zakorzeniona. Dopiero drugie czy trzecie pokolenie głośniej się odezwie, innymi

oczywiście spojrzysz na to, co w nas tkwi bezwiednie – na sprawę równości pseudospołeczności.

Wielu znanych aktorów z różnych przyczyn nie decyduje się na przyjęcie jakiejś roli. Czy zdarzyło się Panu odrzucić propozycje?

Nie, nigdy nie otrzymałem propozycji, którą musiałbym odrzucić, to raczej mnie odrzucali. Mogłem nie przyjąć ze względu na terminy. Zawsze szanuję każdą propozycję. Jeżeli ktoś mi proponuje rolę, to znaczy, że widzi we mnie kogoś, kto sprosta temu zadaniu i oczekiwaniom. Ja jestem zbyt skromny, żeby mieć jakąś pychę w sobie.

Ma Pan swoją gwiazdę w alei sław na ulicy Piotrkowskiej. Czy to Panu pochlebia?

Raz czy dwa razy widziałem, nawet spóźniłem się na jej odsłonięcie. Cieszę się natomiast, że Gwiazdę ufundował mi „Dziennik Łódzki”, a nie jakaś „garkuchnia”, bo były i takie.

Jak każdy aktor – na pewno ma Pan takie role, którym niezbyt chętnie się pan poddaje?

Jak większość aktorów nie przepadam za scenami łożkowymi. Poza tym nie jestem amantem i te role aż tak bardzo mi nie grożą, raczej wolę je pozostawić swojemu prywatnemu życiu. Znamy to z zachodnich filmów, że te najpiękniejsze role erotyczne najczęściej grają pedały. Według mnie życie erotyczne nie jest na wynos. Mimo wieku pewien wstyd na ten temat noszę jeszcze w sobie, ale gdyby trzeba było zagrać, to zrobiłbym to.

A jak reaguje Pan na krytykę?

Któż nie lubi pochlebstw? Nawet brzydka kobieta, której się mówi, że jest piękna, jest szczęśliwa, chociaż wie, że to nieprawda. Nie wszyscy krytycy są uczciwi i bezstronni i tymi nie należy się przejmować, ale są także znakomici, do których można zaliczyć Leona Bukowieckiego, nestora krytyków i znakomitego znawcę filmowego, a także Zygmunta Kałużyńskiego, Tomasza Raczkę czy Sobolewskiego. Uczciwa krytyka buduje, natomiast nieuczciwa troszeczkę rozżala aktora. Wiemy np., że kiedyś hrabia

Aleksander Fredro wycofał się po złośliwej krytyce jego dzieł i przez to nasza scena polska straciła na kilka lat wielkiego pisarza.

Czy bardziej przywiązuje się Pan do miejsc, ludzi czy przedmiotów?

Przywiązuję się zarówno do przedmiotów, miejsc i do ludzi, jeżeli są mili. Te trzy rzeczy są nierozłączne. To, zdaje się, kot przywiązuje się do miejsca jedynie, więc jestem lepszym kotem...

Jest Pan warszawiakiem, jednak od lat mieszka Pan w centrum. Łódź jest chyba Pana ulubionym miejscem?

Łódź – to była kiedyś przede wszystkim Wytwórnia Filmów, a obecnie jest tu jedna z najpiękniejszych i najdłuższych ulic w Europie. Możemy być z niej dumni. Częściej chciałbym po niej połączyć, ale jak będę tam spacerować, to zamiast zrelaksować się, wypocząć, zmuszony będę rozdawać autografy. Mimo wszystko to bardzo miłe, tym bardziej że ilekroć gdzieś się pojawię, to nawet ci najmniejsi widzowie chcą autograf, więc muszę o nich dbać. Dlatego trzeba czasem zagrać w takim filmie jak *Akademia Pana Kleksa*, żeby ich trochę postraszyć. Bardzo to pamiętają...

Niedaleko Łodzi znajdują się Łagiewniki, które uwielbiam, szczególnie Klasztor i figurkę św. Antoniego. Właśnie ten święty pomógł mi w życiu. Było to wiele lat temu, nie miałem forsy. Wziąłem ostatnie sto złotych i włożyłem je do skarbonki-figurki. Pomodliłem się i od tej pory zaczęły się oferty. Robię to do dzisiejszego dnia. Smutne jest to, że skarbonka została rozbita... Ktoś powiedział, że Polak nie bierze do ręki dwóch rzeczy: rozżarzonego żelaza i świeżego gówna. Skarbonka została przeniesiona do klasztoru, tak że odwiedzam tego św. Antoniego, który jest moim dobrym duchem.

Wielu aktorów ma pasje, zainteresowania pozaaktorskie. Np. Edyta Olszówka zbiera dzwonki z różnych okolic całego świata, Krystyna Sienkiewicz szyje wspaniałe szmaciane lalki, pasją Andrzeja Strzeleckiego jest golf. A czy Pan ma tego typu zainteresowania?

Praca zajmuje mi tak wiele czasu, że przyznam się ze skruchą, iż nie mam. Jedynie co, to mój samochód, bo bardzo lubię jeździć. Może to takie spóźnione harcerstwo? Podróżuję bardzo wiele, ale auto prowadzę ostrożnie, nie jeżdżę wygłupiając się,

wbrew tym, którzy szaleją po ulicach, a w Monte Carlo są ostatnimi. Poza tym bardzo lubię czytać. Zaczynam wchodzić w wiek, kiedy do nielicznych przyjemności należy czytanie. Na oglądanie telewizji nie mam czasu. O! Spanie... jest bardzo przyjemną rzeczą, z rozkoszą myślę o łóżku, żeby się przespać. Chętnie przygotowuję różne potrawy w kuchni, takie dziwne rzeczy. Stwarzam je, komponuję, manipuluję. Oczywiście próbuję je najpierw na sobie i muszę powiedzieć, że przeważnie są dobre i udają się.

Powróćmy jeszcze na chwilę do popularności. Czy miał Pan taki okres w swoim życiu, kiedy uderzyła Panu tzw. woda sodowa do głowy?

Wystrzegam i wystrzegałem się tego bardzo, bo chyba nic nie ma bardziej śmiesznego i godnego ubolewania, jeżeli komuś uderzy woda sodowa. To przeważnie są mali ludzie. Ja jestem człowiekiem skromnym. Brałem udział w filmach, w których grali wielcy aktorzy z Zachodu i widziałem ich zawsze grzecznych i skromnych.

Czy potrafi przyznać się Pan do własnych błędów?

Staram się ich unikać, ale jeśli popełniam błędy, to przyznaję się wtedy. Na tym polega uczciwość. Człowiek jest tylko człowiekiem. Każdy z nas w swoim życiu popełnia mniejsze bądź większe błędy. Ja tak mówię, jakbym co najmniej już należał do ZChN. Jeszcze powiedzą, że zwariował na stare lata i stara się być taki bogobojny i oczęta w górę pod niebiosa... jak niektórzy robią. Nie należę do tych i wiem, że popełniam masę błędów.

Wielu aktorów, gdy upadnie scenariusz, przydeptuje go, nie wyjdzie na scenę, gdy w garderobie zobaczy pawia, a czy Pan jest przesądny?

Naturalnie, też jak inni aktorzy przydeptuje scenariusz. Nawet przed wejściem na scenę ukradkiem się przeżegnám, to pomaga skoncentrować się. Te wszystkie odruchy są bardzo piękne.

A czego nie lubi Pan od strony technicznej przy realizacji filmu?

Tych wszystkich przygotowań przed pierwszym klapsem, spraw przygotowawczych, jak teoretyczne rozważania, miary ko-

stiumów, charakteryzacja. Potem jest pierwsza klatka, mobilizacja – to taka trąbka bojowa – buch – idziemy do ataku – to lubię, od razu przystąpić do dzieła.

Czy ma Pan wpływ na dobór postaci, czy jest to wyłącznie decyzja producenta czy reżysera?

Gdy czytam nowy scenariusz, jest to dopiero propozycja. Najtrudniej jest grać w wielkich dziełach, bo każdy ma swoją wizję bohatera. Najwięcej kłopotu mają ci wszyscy, którzy grają postaci historyczne, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto sobie zupełnie inaczej to wyobrażał. Najlepiej jest grać w prapremierach. Jeszcze nikt tego nie widział i wtedy to ja tworzę ten pierwowzór, a potem niech się martwią inni.

Czy jest Pan szczęśliwym człowiekiem?

Nie narzekam na swój los. Myślę, że chyba mi się udało, chociaż, gdy ktoś chce zrobić coś jeszcze lepiej, zawsze marzy o czymś wyższym, to chyba nie jest tak do końca szczęśliwy. Zawsze staram się być jeszcze lepszy, nigdy do końca nie jestem z siebie zadowolony, ale wiem, że trzeba pogodzić się z tym, że jest się we właściwym kraju, pod właściwą szerokością geograficzną i pewnej bariery się nie przeskoczy. Za swoje największe osiągnięcie uważam to, że jeszcze żyję, że jestem sprawny fizycznie i umysłowo, że na chleb jeszcze nie mówię „ptia ptia” oraz to, że jeszcze mogę pracować.

Zbliżają się święta, wielkimi krokami wkraczamy w XXI wiek. Czego życzyłby Pan sobie i czytelnikom w przełomowym okresie?

Przede wszystkim – powiem to jeszcze raz – bardzo się cieszę, że jeszcze żyję, że będąc w moim wieku, a mam ponad 75 lat, otrzymuję propozycje, nawet gimnastykuję się, żeby znaleźć wolne terminy. To jest największa radość dla mnie. Chciałbym, życzyłbym sobie i wszystkim, by cały XXI wiek był dla nas szczęśliwy, by to nasze szare życie pełne kłopotów, trosk przeminęło bezpowrotnie. Ludzie powinni częściej uśmiechać się do siebie i być bardziej życzliwi. Chciałbym także, by było mniej zawiści i agresji. Tego, czego życzyłbym przede wszystkim sobie, to by zrobić te wszystkie filmy, które planuję, a zgasnąć tak szybko jak zdmuchnięta świeczka...

Wojciech Żródlak

Listy do redakcji

W dniu 19 stycznia 2000 roku minęła pięćdziesiąta piąta rocznica wyzwolenia Łodzi spod okupacji hitlerowskiej przez wojska rosyjskie lub, jak twierdzą inni (po 1989 r.), rozpoczęcia drugiej okupacji, tym razem sowieckiej, w naszym mieście.

Kwestia recepcji nowej ideologii we wszelkich przejawach życia społeczno-gospodarczego naszego miasta ma już stosunkowo obszerną literaturę, chociaż w większości pisaną z punktu widzenia ówczesnej, socjalistycznej, ideologii. Po roku 1989 ukazało się wiele publikacji opisujących i analizujących dokonujące się po 1945 r. w Łodzi przemiany w oparciu o nieudostępniiane do tej pory materiały lub reinterpretujących już znane.

Ciekawym materiałem mogą być, o ile zachowały się, listy pisane do redakcji lokalnych dzienników w Łodzi¹. Poniżej prezentujemy kilka przypadkowo odnalezionych² listów łodzian, skierowanych do redakcji partyjnego dziennika – „Głos Robotniczy”³.

¹ Nie rozeznawaliśmy stanu zachowania tego rodzaju materiałów, stąd tylko nasze przypuszczenie i sygnalizacja tematu.

W 1945 r. stopniowo poczęły ukazywać się lokalne gazety: „Wolna Łódź” (od 24 stycznia; tylko 6 numerów), „Dziennik Łódzki” (od 1 do 10 lutego i po przerwaniu od 6 lipca 1945 r.), „Głos Robotniczy” (od 20 czerwca) i „Kurier Popularny” (od 27 października). Ponadto czasowo w Łodzi ukazywały się centralne dzienniki: „Rzeczpospolita” (od 5 lutego do 7 lipca 1945), „Polska Zbrojna” (od 22 lutego do 2 września) i „Głos Ludu” (od 14 marca do czerwca), wg Wiesława Kaszubina, *Prasa łódzka po drugiej wojnie światowej. Szkic bibliograficzny*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej”, 1992, nr 2, s. 83.

² W zbiorach prywatnych, z myślą o przekazaniu do którejś z łódzkich placówek biblioteczno-archiwalnych, gdzie będą ogólnie dostępne.

³ Dziennik Polskiej Partii Robotniczej, następnie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jego twórcą i pierwszym redaktorem naczelnym był wówczas Edward Uzdański.

Nie jest to na pewno materiał reprezentatywny, ale i tak listy te sygnalizują w swojej treści kilka istotnych społecznych problemów pierwszych powojennych miesięcy i przekazują ocenę dokonujących się przemian z pozycji tzw. „szarego człowieka”⁴. Zdumiewa w nich to, jak szybko, w kilka miesięcy po zakończeniu okupacji i ustanowieniu nowego ustroju społecznego, ich autorzy przejęli język i argumentację ówczesnej propagandy komunistycznej. Dla pewnej równowagi publikujemy, jedyny w tym zestawie, list inteligenta – magistra B.⁵ – zachowując jego stylistykę i interpunkcję. Wydaje się, że w tego rodzaju postawach należy upatrywać źródeł swego rodzaju komunistycznej plebejsko-inteligenckiej demagogii i frazeologii, która została później nazwana „nowomową”.

W redakcji listy otrzymywała do opracowania i wykorzystania Barbara Beatus⁶, która najprawdopodobniej w tym okresie zajmowała się kontaktami z czytelnikami, chociaż akurat żaden z cytowanych listów pośrednio ani bezpośrednio nie został wykorzystany na łamach „Głosu Robotniczego”⁷.

Z zawodu jestem kowal

Gdzie mam się udać i co uczynić!

Minęło już pół roku, jak czekam polepszenia się warunków życia. Jestem z zawodu kowal, pracuję ciężko w pocie czoła, ażeby zadowolić swoją pracą przedsiębiorstwo łódzkie, a nawet rolnika. Stawka za moją pracę nie wystarcza mi na wyżywienie rodziny, składającej się z czterech osób, bo małeńki synek mający trzynasty miesiąc potrzebuje lepsze odżywienie. Potrzebuje masła, cukru, mleka i mąkę pszenną. Dzisiaj te artykuły są najdroższe, więc trudno jest mi kupić to, co dziecko wymaga, to dziecko, które w przyszłości będzie synem Ojczyzny i jej żołnierzem. I drugi chłopiec też z chęcią zjadłby biały chleb posmarowany masłem lub innym tłuszczem, a nawet mleko na jego zdro-

⁴ W opublikowanych listach poprawiono podstawowe błędy ortograficzne, interpunkcję, zachowano ich naturalną stylistykę. W nawiasach kwadratowych uzupełniono oczywisty brak słów istotnych dla zrozumienia zdania lub dalszej treści listu.

⁵ Część listów została podpisana pełnymi nazwiskami, ale dla celów wydawniczych podajemy tylko ich inicjały – Red.

⁶ Według informacji red. Ryszarda Poradowskiego, autora przygotowanej, ale jeszcze nie wydanej, monografii „Głosu Robotniczego”.

⁷ Taki wniosek wysnuwamy po przejrzeniu rocznika 1945.

wie byłoby lekarstwem. Wreszcie i ja, jako ciężko pracujący w kurzu i przy ogniu mógłbym posmarować płuca tłuszczem, czego wymaga organizm człowieka, bo tłuszcz jest niezbędnie potrzebny do życia każdemu człowiekowi, a tym bardziej ludziom w moim zawodzie.

Czekałem poprawy z cierpliwością, tłumacząc sobie w różny sposób, uważając, że sprawa kartkowa będzie sprostowana. Do tego czasu miałem na drugą kategorię [przydziału kartkowego – W. Ż.] trochę smalcu lub słoniny i dzieci również. Obecnie dostałem na swoją rodzinę 120 dkg cukru, trochę soli, kawy i zapałki. Mydła nie otrzymałem, które jest mi konieczne, bo kowal to czarny jak szatan w piekle.

Dziś już się okazało, że sprawa aprowizacji już się sprostowała, a ja jestem jej poddanym, staje się sztywnym przy pracy, a moje dzieci prostują się do przodu i chorują z braku tłuszczu, którego z pracy nie mogę kupić, a na kartki mi nie przysługuje.

Proszę więc uprzejmie redakcję o udzielenie mi informacji, co mam uczynić, abym dostał na przyszłe kartki to, co dostają inni Polacy. Gdzie mam się udać?!

Mieczysław K.

[fragment kartki z księgi kontowej (34 x 13 cm); pióro. Numer ewidencji poczty redakcyjnej: 1505/45. Na liście dopisek red. nac. GR – Edwarda Uzdańskiego: „odpowiedzieć autorowi”.]

Wódka staniała

Wódka staniała⁸. Robotnicy przyjęli to z entuzjazmem nie dlatego, że będzie można ją prędzej kupić lub się upić, ale dlatego, że nareszcie monopol spirytusowy pierwszy opuścił na cenie. Może za monopolem spirytusowym pójdzie monopol tytoniowy? A może też i inne artykuły naprawdę pierwszej potrzeby stanowią? Przyczyniłoby się to może do prędszego opuszczenia placów rynkowych przez ludzi spekulantów a zwiększyły się kadry robotników. Tym samym ciężar odbudowy naszego Kraju przeszedłby na całe społeczeństwo, a nie jak dotychczas na małej tylko jednostce.

Robotnik K.

[fragment kartki w linię (21 x 22,5 cm); pióro]

⁸ Fakt ten miał miejsce w październiku 1945 r.

Urzędniczka

Do Redakcji „Głosu Robotniczego”, w miejscu.

Szanowna Redakcjo, uprzejmie proszę o zamieszczenie mego listu na łamach Waszego pisma.

J. P.

Premie dla pracowników Zarządu Miejskiego

W ostatnich kilku dniach pracownicy Zarządu Miejskiego mieli zapowiedziane premie w postaci odzieży poniemieckiej. Ponieważ zarobki szarej braci urzędniczej wynoszą przeciętnie 500 zł miesięcznie, dlatego też radość ich nie miała granic, gdy zaczęto sobie przedstawiać w wyobraźni bieliznę, płaszcze, garnitury lub buty możliwe jeszcze do reprezentowania godności urzędnika magistrackiego.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień losowania i rozdzielania darów. Każdy z obdarowanych urzędników wraca do domu i niepokojnie zabiera się wraz z rodziną do odpakowania swego zawiniątka, ale to, co ujrano, przechodziło wszelkie oczekiwania. Nie tylko połatane, lecz podarte strzępy koszuli, zaplamiony i zbutwiał ręcznik, wykoślawione buty. Ot masz nagrodę, szary człowieku za to, żeś zaraz ruszył na apel do odbudowy.

Od tej chwili prześladowe mnie stale myśl, skąd w Wydziale Prezydyjnym znalazły się te „ciuchy”. Może wszyscy szabrownicy opodatkowali się dobrowolnie po jednej, „najlepszej”, sztuce na rzecz pracowników magistratu. A może też wrogowie Zarządu Miejskiego nadesłali pozbierane ze śmietników szmaty, by zatruć nam ciała, a dusze napełnić goryczą poniżenia.

Pomóżcie, obywatele, rozwiązać ten problem.

[kartka formatu A-4 w kratkę; pióro. Numer ewidencji poczty redakcyjnej: 1508/45. Na liście polecenie red. nacz. GR: „Beatus, skontrolować fakty, 6.08.45 r. – Uzdański”]

W sprawie volksdeutschów

Łódź, dn. 28 IX 1945 r.

Obywatelu Uzdański!

Zwracam się do Pana po raz drugi w sprawie Niemców-volksdeutschów. Może Panu jest znana sytuacja tych ludzi, czy też nie? Bez różnicy. Chciałbym, żeby wszyscy się tą sprawą zajęli, przynajmniej dziećmi. Zima nadchodzi a im zabrano ostatnią parę butów. Nie chciałbym kiedyś książkę czytać pod tytułem „Zapomniane dzieci”, „Zapomnianą wieś” i „Człowiek jak Ty i ja” już czytałem. Chyba wy sami wiecie, co się działo i co się dzieje. Nie rozchodzi mi się tylko o tych Niemców, tylko o Polskę, o opinię o Polsce.

Kończąc żądam, aby te sprawy jak najszybciej były załatwione.

EKS

[kartka z zeszytu w linie; pióro]

U nas w fabryce I

Łódź, 30 VII 1945 rok.

Jak jest u nas w fabryce!

U nas w fabryce wojskowej obuwia i umundurowania na ul. Sterlinga 26 są po prostu okropne warunki.

Robimy po 8 godz. dziennie i w dodatku w sobotę, kiedy prawie wszystkie fabryki robią po 6 godz., to my musimy robić też po 8 godzin. Bo tak nasz pan porucznik Sz..... chce. A obiady? Obiady owszem są, ale dla robotników gotuje się gorsze, takie, że pływają po tej zupie robaki. A dla biura jest kuchnia osobna, to dla nich gotuje się obiady lepsze, smaczniejsze i tłuszczejšie! Ta sama historia jest z wypłatą. O wypłatę po prostu musimy się kłócić z naszym panem porucznikiem, bo gdybyśmy się nie kłóciły, to byśmy wypłaty nie dostały na pewno. Ze zwalnianiem

też to samo. Gdy się kto chce zwolnić, to musi pisać podanie, z jakiego powodu się chce zwolnić. Gdy kto nie napisze podania, to pan porucznik straszy całkowitym zwolnieniem z pracy lub odesłaniem do bezpieczeństwa ludności⁹. Ale niech pan porucznik tak nas nie straszy, bo teraz nie zamkną nas na Sikawę¹⁰ ani w bezpieczeństwie ludności w Alejach Anstadta¹¹. Niech pan porucznik pilnuje swą żonkę, która była niemiecką kochanką, a teraz już zdążyła zostać panią porucznikową. Nasz pan porucznik swojej niemieckiej kochance Halince, która miała z Niemcem dziecko, lecz wstydziła się, to dała je na wychowanie do obcych ludzi, kupuje srebrne lisy za naszą ciężką pracę.

Z. M., jedna z pracownic.

[kartka z zeszytu w linie; pióro. Na liście dekretacja red. nac. GR: „Beatus, skontrolować fakty, 6.08.45.”]

U nas w fabryce II

Łódź, dnia 26 VI 1945 r.

Szanowny Redaktorze!

Pragnę w tym liście wyrazić b. duże ubolewanie z powodu braku kontroli w fabrykach. W fabrykach, a przeważnie wojskowych, okrada się systematycznie nasze młode Państwo. Chyba najwięcej jest kradzieży w fabrykach obuwia (na przykład przy ul. Sterlinga, Pomorskiej itd.). Kradzieże ujawnia się na każdym kroku, począwszy od pana dyrektora, a skończywszy na zwykłym robotniku. Serce mi się kraje po prostu, jak na to wszystko patrzeć. Tą drogą nie dojdziemy nigdy do odbudowy naszego młodego Państwa. Proszę o zastosowanie szerszej kontroli w fabrykach, gdyż tego domaga się ludność pracująca.

A teraz przytoczę inny przypadek, a mianowicie w przemyśle drzewnym. Fabrykę naszą uchroniliśmy przed rabunkiem. Został

⁹ Autorka miała na pewno na myśli Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi.

¹⁰ Podczas okupacji hitlerowskiej na Sikawie funkcjonował obóz pracy karnej.

¹¹ Przy Al. Anstadta (wówczas Garde str.) 5/7 w okresie okupacji znajdowała się siedziba łódzkiego gestapo.

cały inwentarz, tak żywy jak i martwy. Przemysł drzewny stoi pod dyktando Pana Kapitana. Rada Załogowa ma obstalunki. Pracy jest pełno. Otóż Pan Kapitan fabryki otworzyć nie chce. Nawet jednego gwoźdźka ani deski nie ma już na placu. Robotników zredukował, a końmi pracuje na swoją rękę. Wywozi śmieci. Za kurs bierze 500 zł. Także samo wozi piwo itd. Ma także swój bufet w Zwierzyńcu na Polesiu¹². Do siebie nie da wcale dostąpić, taka to wielka figura. Kapitan powinien pełnić swą funkcję wojskową, a nie hamować budowę Polski.

W naszej fabryce pracowało ponad 50 ludzi, ale panu Kapitanowi to się nie podoba. Woli sobie końmi z naszej fabryki piwo wozić. Deski, gwoździe i różne narzędzia sprzedaje, aby tylko swą kabzę nabić. Czas z tym skończyć!

Najwięcej kradzieży można ujawnić w fabrykach wojskowych, gdzie panowie kapitanowie świecą ślicznym przykładem. Czemu tam gdzie jest Rada Załogowa kradzież jest o wiele mniejsza. Proszę o zainteresowanie się tą sprawą. Niechaj wyższe czynniki wpłyną na Panów Kapitanów, aby sami nie rozkradali mienia państwowego oraz o zastosowanie szerszej kontroli w fabrykach, gdyż tą drogą nigdy nie dojdziemy do dobrobytu.

W pełnym zaufaniu –
Robotnik A.R.

[kartka w kratkę, 30 x 18 cm. Numer ewidencji poczty redakcyjnej: 1510/45. Na liście dekretacja red. nac. GR: „Beatus, skontrolować fakty, 6.08.45 – U[zdański].”]

U nas w fabryce III

Traktowanie młodzieży w wojskowej szwalni, w firmie „Reduta”.

Pracujemy od godziny 6,00 do 12,00, gdyż po obiedzie chodzimy do szkoły. W tej firmie jesteśmy najgorzej traktowani. Gdzie najcięższa robota, wszędzie nas popychają, a przeważnie do noszenia paczek z bluzkami. Oczywiście takie noszenie nadaje się na męskie siły, niż na nasze, gdyż my przez tyle lat wojny źle odżywiani jesteśmy wyczerpani z sił.

¹² Miejski Ogród Zoologiczny przy ul. Konstantynowskiej.

Co się tyczy punktów, to nie dostajemy, gdyż nie wyrabiamy akordu. Dlaczego nam nie dają akordu, tylko wypychają na różne roboty? Jesteśmy młodzi, też potrzebujemy się ubrać, a na lewo¹³ nie jesteśmy w stanie kupić materiału, gdyż zarabiamy 70-80 złotych tygodniowo¹⁴. Te pieniądze idą na zeszyty, a przeważnie na książki, tak że trudno sobie odłożyć do skarbonki, żeby zbierać większą sumę.

Zapytujemy się innych dziewcząt i chłopców, czy mają w swojej firmie też takie warunki jak my. Pytamy się Pana Dyrektora naszej firmy, czy warunki, które mamy, nie mogą ulec zmianie? Pracujemy w tej firmie tak, jak gdybyśmy nie byli Polkami.

K.M. z koleżankami

Prosimy o przedrukowanie do gazety „Głos Robotniczy”.

[kartka z zeszytu w linie; dekretacja red. nacz. GR: „Beatus”]

Rzemieślnik

Do Redakcji „Głosu Robotniczego” w Łodzi, ul. Piotrkowska nr 86.

Zwracamy się z prośbą o wyjaśnienie, dlaczego wszyscy pracujący nie mają jednakowych kart żywnościowych. W Wydziale Apropowizacji mówią, że tylko ci dostają, co pracują w państwowych firmach. Przecież wszyscy nie mogą pracować w państwowych firmach. Ci co siedzą za biurkiem i czyszczą sobie paznokcie dostają I kategorię, a my, ludzie pracy, pracujemy w pocie czoła, to dla nas nie ma nic. To się nazywa Polska demokratyczna. O czarnym i suchym chlebie pracować trzeba.

Na pierwsze wezwanie stawiliśmy się wszyscy do pracy, bo wiemy, że Polska potrzebuje dużego trudu i wysiłku, aby te wszystkie zniszczenia, jakie zostawił hitleryzm, doprowadzić do stanu takiego, aby mogły wszystkie warsztaty pracy iść w ruch.

¹³ Czyli na rynku, po zawyżonej cenie.

¹⁴ W tym okresie system tzw. punktów zastępował pieniężny sposób premiowania. Za określoną ilość punktów można było zakupić po cenach produkcji różnego rodzaju wyroby swojego zakładu pracy, które najczęściej były spieniężane po czarnorynkowej cenie. Stanowiło to istotny dodatek do naprawde niskich ówczesnych zarobków, stąd pretensja autorki listu.

Jeśli nam nie dadzą równouprawnienia, bez wyjątku czy to jest firma prywatna, czy państwowa, więc przestaniemy pracować i to jest życzeniem każdego robotnika. Więc jeśli jest równouprawnienie, niech będzie dla wszystkich jednakowo, to nam nie będzie przykro, bo wiemy, że jest po wojnie wszystko zniszczone. Na odbudowę Warszawy nas wzywają, na Zachód też, do wojska, a dlaczego Żydów Rząd wyróżnia. Od wojska są reklamowani, do pracy też się nie biorą, a wszystkiego dostają bez porównania więcej. Czy myśmy się nie męczyli też po obozach i różnych lagrach karnych? Nie należy nam się odpoczynek i lepsza opieka. Nie jestem reakcjonistą takim czy owakim, ja tylko chcę żyć jak człowiek. Pierwsze dwa miesiące dostawaliśmy I kategorię [kartek żywnościowych – W. Ż.], a teraz Wydział Apropowizacji zmienił na II kategorię dlatego, że prywatna firma. Jestem rzemieślnikiem i chcę pracować dla Polski demokratycznej, ale nas zniechęcają. To każdy z nas rzuci pracę, bo za 1 kg słoniny, a nawet jeszcze niecały nikt nie będzie pracował cały tydzień.

Proszę łaskawie o umieszczenie mego listu, za co będę wdzięczny.

Czytelnik J. P.

Łódź, dn. 25 VII 1945 r.

[kartka formatu A-4, w kratkę; pióro, zielony atrament. Numer ewidencji poczty redakcyjnej: 1571/45. Na liście dekretacja red. nac. GR: „Udzielić rzeczowej odpowiedzi”.]

Emeryci

Łódź, 10 września 1945 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie wiemy, do kogo się mamy zwrócić, my ludzie pokrzywdzeni. Oczekiwaliśmy z wielkim upragnieniem wyjścia naszego wroga i gnębiiciela, wielkiego mordercy naszego narodu. Z jednej strony naród mordował, ale co do wydziału, o ile dostaliśmy

kartki żywnościowe, to coś z tych numerów¹⁵ korzystaliśmy. On [okupant – W. Ż.] nie zwracał [uwagi] na pracujących, czy nie pracujących tylko jeden wydział dla wszystkich, [dla] całej ludności polskiej, a pracującym kartki dodatkowe. A teraz dostaliśmy kartki żywnościowe, tylko są numera, ale z nich nic nie korzystamy. Na całą kartkę 6 kilo chleba na cały miesiąc, a za wroga 8 kilo, poza tym nic więcej. Puszkę rybną, nie taką jak pracujące – w oliwie, tylko na wodzie, co nic nie warte i to [za] 13 złotych, ale skąd je wziąć, jak się bierze renty sto złotych na cały miesiąc, tak z opieki, jak z ubezpieczalni i wszystko. Z tego [trzeba] zapłacić komorne [i] życie. Do tego czasu już 8 miesięcy nic nie dostajemy mąki, cukru ani deka, ani kaszy, ani żadnej okrasy. Za wroga co tydzień było czy masło, czy olej, czy margaryna, marmolada, czasem serki, twaróg. Teraz absolutnie nic. Już tak żeśmy powysychali jak wrony w ciężką zimę.

Co do pracy, tośmy się dosyć już napracowali 20 lat polskich czasów i za rosyjskich też już żeśmy odrobili co swoje. Jeżeli mamy z ubezpieczalni rentę przyznaną, a teraz nie ma co do ust włożyć. Chleb, glina, same otręby i drzewo, cukru nie ma. Czem tą kawę czarną osłodzić? Chleb gorzki i kawa gorzka. To jest nasze odżywienie. Jak tylko Polska została oswobodzona od wroga, już 8 miesięcy, tośmy jeszcze ani deka mięsa, ani mleka, chociaż odciąganego, nie dostali.

Bardzo jesteśmy zadowoleni, żeśmy się wroga i gnębiciela już raz pozbyli, chociaż mamy noce spokojne, bez alarmów i ucieczki, i wywożenia w obce strony, tylko nas to gnębi, że wszystkiego jest w bród, a nic nie możemy kupić, tylko popatrzeć przez szybę. I na rynku [jest to] samo. Cena nie jest ustalona, tylko jak kto chce, taką bierze. Jak tylko świat stoi, to takiego bałaganu nie było, takiego wolnego handlu, żeby jedni się bogacili, a drudzy konali.

To z życiem, [a z] ubraniem to samo: ani do obuwia, ani do ubrania nic nie można się dokupić. W gazetach opisują, że z Ameryki nadchodzi jakieś obuwie, ubranie, dary dla biednej ludności, ale nas tak pewnie dojdzie to wszystko jak na kartki żywność. Po tamtej wojnie¹⁶ jak przyszły dary amerykańskie, to ludność była podzielona bardzo sprawiedliwie. Teraz to pewnie

¹⁵ W okupacyjnych kartkach był stosowany system punktowy w ramach danego rodzaju kartek. O tym, co i za ile punktów można było otrzymać na dany rodzaj kartek, decydowały bieżące zarządzenia.

¹⁶ I wojnie światowej.

będzie dla pracujących, a nie pracujące mogą chodzić w adamo-
wym stroju. Myśmy też pracowali bez żadnych dodatków, premii,
tylko za jedyną tygodniówkę. Starczyło czy nie, to się żaden nie
troszczył o nas. Nie było stołówek, dodatków i trzeba było żyć, a
teraz się nikt nami nie zajmie. Chleba 6 kilo, półdrzewnego, na
cały miesiąc i skończone. Chodzimy już jak cienie, powysychane,
żółte jak cytryny. To nie jest życie tylko męczarnia, ani czem
palić, ani czem wieczór oświetlić; nafty nie mamy.

Piszemy do Pana Redaktora i prosimy, może z przyczyny Pa-
na da się coś uzyskać lepszego do życia. Przecież jesteśmy wszy-
scy wierni Polacy, nie wrogami Polski, żebyśmy byli tak odrzuce-
ni i prześladowani. Przepraszamy bardzo, że pisane ołówkiem,
gdyż nie mamy ani stałówek, ani atramentu i nie możemy kupić,
bo nie ma za co. Czytamy w gazetach, że są różne zebrania, wiece
po fabrykach, ale tylko o sobie, o swoją egzystencję, a o biednym
narodzie ani słówka, że tyle tysięcy ludzi ma wielki głód i niedo-
statek.

Kończymy i przepraszamy, co złego niech Pan Redaktor
wybaczy i poprawi.

Pozostajemy z poważaniem – grono ludzi bardzo pokrzyw-
dzonych.

Los repatriantów

Szanowny Obywatelu Redaktorze,

W ramach akcji przesiedleńczej Zarządu Miejskiego m. Łodzi
dnia 31 lipca wyruszył do Gdańska transport składający się z
łodzian, pionierów przejętych ideą odbudowy starego polskiego
miasta¹⁷.

W myśl oświadczenia Zarządu Miejskiego m. Łodzi transport
miał trwać do 20 godzin i następnego dnia mieliśmy być w
Gdańsku, otrzymać zaprowiantowanie, następnego dnia osiedlić
[się], aby móc rozpocząć pionierską pracę odbudowy i wezwać do

¹⁷ Prawdopodobnie chodzi o 800-osobowy transport osób przewidywanych do pracy w administracji i gospodarce komunalnej. Według centralnie opracowywanych planów repatriacyjnych z Łodzi do Gdańska miało wyjechać 55 tys. osób. Por.: Edward Chobot, *PPR m. Łodzi i woj. łódzkiego w zasiedlaniu Ziemi Zachodnich i Północnych*, Łódź 1972, jakkolwiek obraz tego osadnictwa opisany przez autora jest pozbawiony wszelkich problemów.

przybycia swoje rodziny, aby wieść żywot nad polskim morzem, zaludnić te ziemie.

Tymczasem okazało się, że oświadczenie Zarządu Miejskiego m. Łodzi było chimeryczne, nawet kłamliwe. Gdańsk łodzian nie potrzebuje. Tak wynika z ustosunkowania się do nas tutejszych władz, do ludzi przybyłych ideowo, a więc wartościowych, zdrowego elementu, w znacznym procencie zaangażowanych politycznie, reprezentujących wszystkie demokratyczne partie państwa polskiego. I tu zaczyna się tragedia łodzian. Wyczerpani podróżą trwającą ponad 40 godzin, odbytą pociągiem wahałdowym, w Gdańsku otrzymujemy do wypoczynku brudne podłogi w barakach P.U.R-u¹⁸, a zamiast posiłku gorzki płyn, który ma być kawą.

Bolesną stroną przeżywanej tragedii jest jej trwałość. Następane dni rodzą bowiem upiory, które nas straszą i łamią psychicznie. Do dziś śpią w brudnych barakach P.U.R.-u, nie pracują (pracy w Gdańsku dla nich nie ma – kupców, wolnych zawodów i urzędników), a jeśli jest robota, to z wizją długiego oczekiwania na zapracowany pieniądz, co oznacza także samo bezrobocie.

Tymczasem tragedii tej nie chcą przerwać tutejsze władze i umożliwić powrót do Łodzi, w której mieli ciężkie lecz znośne warunki życia, a [teraz] wyczerpani materialnie nie mamy pieniędzy na kupno biletu [powrotnego].

Nie wiedzą, jak długo będzie trwała nasza tragedia i głód (żałują nam nawet gotowanej wody), zwracamy się do Pana Redaktora, aby zainteresował nami tutejsze [gdańskie] społeczeństwo, które okaże może więcej serca niż władze i przetnie węzeł gordyjski naszej tragedii.

z poważaniem
Edmund A., Gdańsk,
Baraki P.U.R.-u

P.S. Przepraszam za list pisany ołówkiem, ale nie miałem innych możliwości.

E.A.

¹⁸ Państwowego Urzędu Repatriacyjnego.

[kartka papieru w linię, 32 x 20,5 cm. Numer ewidencji poczty redakcyjnej: 1581/45. Na liście dekretacja red. nac. GR: „Autorowi listu odpisać. Przepisać i odpis posłać do wiceministra Wolskiego”]¹⁹

Inteligent

Przed kilkoma dniami zamieszczony został artykuł na temat konieczności przeprowadzenia selekcji w łonie Partii²⁰. Zagadnienie to omawiane było jedynie z punktu widzenia wewnętrznego przewartościowania zespołu członków na platformie ideologicznej w perspektywie politycznej. Ponieważ w związku z rozrostem PPR [Polskiej Partii Robotniczej] zagadnienie doboru ludzi ma pierwszorzędne i dominujące znaczenie, przeto rozpatrzyć należy te wszystkie elementy, które składają się nie tylko na odśrodkowe tendencje rozwoju, na dążność zewnętrzną do przenikania nieraz masowego w szeregi Partii, ale także i te, które organicznie, mechanicznie wiążą się z samą rozbudową Partii jak i wyłaniającymi się zadaniami. O zagadnieniach tych powinno się mówić publicznie, gdyż z natury swej wykraczają one poza ramy spraw wewnętrznych, mają charakter ogólny, a to z uwagi na rolę jaką PPR musi odegrać w najbliższej przyszłości i do której winna być nie tylko wewnętrznie strukturalnie przystosowana, ale także musi przygotować sobie podglebie do swej ideologicznej pracy, gdyż dzięki epokowym zmianom wstrząsającym dziś całym światem, po zgnieceniu najbliższego i najgroźniejszego wroga ludzkości, stoją przed PPR-em jak i klasą robotniczą całego świata nowe karty historii do jej wypełnienia w sposób chlubny i zaszczytny. By te zadania spełnić trzeba się nie tylko do tego przygotować, ale trzeba się także wznieść na odpowiednie wyżyny wiedzy i kultury. Nie wolno nigdy zapominać o tym, że idea marksizmu i leninizmu jako najidealniejsza forma ustrojowa ludzkiego jestestwa, do idealnego jej rozwiązania i wcielenia w życie wymaga idealnego materiału ludzkiego, wysokiej kultury duchowej, w przeciwieństwie do złośliwych i oszczerczych twierdzeń wrogów pokoju i postępu,

¹⁹ Władysław Wolski (właśc. Antoni Piwowarczyk), podsekretarz stanu w Ministerstwie Administracji Publicznej, pełnomocnik Rządu ds. Repatriacji (wg T. Mołdawa, *Ludzie władzy, 1944-1991*. Warszawa 1991).

²⁰ „Głos Robotniczy” z czerwca 1945 r.

jakoby synonimem i cechą istotną tego rodzaju form było chamstwo, terror i niewiedza.

Przez całe wieki uprzywilejowane klasy i warstwy społeczne utrzymywały świat robotniczy w całkowitej izolacji, w atmosferze wysiłku, nędzy i deprawacji przy pomocy przeróżnych metod, same żyjąc w najwyższym wyrafinowanym wykwincie, spychały z dnia na dzień biegu historii robotniczą klasę na poziom skrajnego prymitywu z całym konsekwencjami takich warunków bytowania. Dziś też, gdy teoria marksizmu i leninizmu w najbardziej niekorzystnych warunkach pod każdym względem, potrafiła przerodzić się w czyn dzięki niespotykanym ofiarom krwi, cierpień, trudu i potu bratniego nam narodu rosyjskiego, gdy robotnik sowiecki ze swego łona wydał nie tylko wielkie mózgi i talenty w skali historycznej, ale stworzył przeolbrzymi potencjał dynamiczny, który zdumiał cały świat, chociaż stał dopiero za ledwie na progu rozpoczętego dzieła własnej przebudowy, wrogowie zdumieli się i przystępują do walki finezyjnej, nie jak ze zbuntowanym, silnym w swym zrywie niewolnikiem, lecz jak z równym sobie partnerem jednak jeszcze nieświadomym nie tylko swojej siły, ale i wad. A wad jest wiele, nie tylko te, które stają się udziałem ludzkiego zespołu partii w łączności z ogólnymi negatywnymi cechami narodu, ale także i te, które są następstwem wielowiekowej izolacji mas robotniczych u nas od wpływów pozytywnych, od wiedzy.

W tej olbrzymiej różnorodności zadań stojących przed partią, wołających o selekcję, zagadnienie własnej przebudowy i podźwignięcia się wysiłkiem stachanowców wzwyż stoi na pierwszym planie. Masa ludzka, która jest bardzo czuła na zewnętrzne objawy efektywnych wartości oddziaływującego na nią zespołu, a tym czulsza na podszepty i ukryte prądy przeróżnych wpływów, jest surowym i bezwzględny krytykiem, niezbyt wnika w głębie zaobserwowanych zjawisk, dlatego też bardzo trzeba zwracać uwagę na zewnętrzne formy, na metody oddziaływania. Zadaniem PPR-u jest porwać za sobą masę, bo tylko wtedy, gdy ma się za sobą masę wierzącą i oddaną można stworzyć coś co przetrwa wieki, a czy tego można dokonać, gdy się nie będzie miało danych we własnym zespole dobranych ludzi. Każdy peperowiec musi postawić sobie za zadanie nie tylko poznać i zrozumieć samą linię ideologiczną partii, ale przede wszystkim musi strząsnąć z siebie to czem go obciążył w sensie negatywnym atawizm niewolnictwa. Musi zetrzeć z siebie wszelkie ślady nienormalnych warunków i wpływów przeszło pięcio-

letniej wojny. Musi postawić sobie za zadanie, że będzie wzorem człowieka uczciwego, sprawiedliwego, sumiennego, obowiązkowego, że będzie skończonym dżentelmenem, takim, na jaki robotnik kulturalny zdobyć się może, że praca przede wszystkim nad sobą i dla dobra ogółu będzie jego dewizą, a wtedy weźmie za serce tłum, który, gdy obdarzy kogo sercem, to w darze tym odda najlepszy materiał do stworzenia rzeczy wielkich i trwałych. Masa z pełną wiarą i poświęceniem pójdzie za tymi, którzy dadzą jej z siebie wzór, a wtedy przekona się i najbardziej zagorzały sceptyk i wróg przestanie być wrogiem, a to jest najchlubniejszy finisz rozpoczętego dzieła.

mgr Mieczysław B.,
Grodzisk Mazowiecki

[papier podaniowy w kratkę, 3,5 strony tekstu odręcznego; pióro]



Archikatedra łódzka

Bogusław Sikorski

100-letnie dzieje łódzkiej archikatedry. Zarys dziejów

Ponad sto lat minęło od chwili ukonstytuowania się w Łodzi Komitetu Budowy kościoła pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. Na czele Komitetu stanął przemysłowiec Juliusz Heinzel. W założeniach budowy kościoła przyjęto m. in. wzniesienie okazałej świątyni z jedną wieżą, której wewnątrz będzie mogło pomieścić około czterech tysięcy osób. Koszt budowy kościoła wyliczono na ponad 350 tys. rubli.

W 1898 roku w gazetach krajowych i zagranicznych Komitet Budowy ogłosił informacje o konkursie architektonicznym na wzniesienia kościoła w Łodzi. Napłynęło wiele projektów, m.in. z Francji, Niemiec, Holandii, Szwecji oraz z polskich spółek architektoniczno-budowlanych. Pierwszą nagrodą wyróżniono polską spółkę architektoniczno-budowlaną „Wende i Zarske”. Firma ta wykonała plany, rysunki wykonawcze i konstrukcyjne. Budowę kościoła powierzono przedsiębiorstwu budowlanemu Władysława Stelmachowskiego.

16 czerwca 1901 roku wmurowano akt kamienia węgielnego budowy. Zapisano w nim: „Roku Pańskiego 1901 dnia 16 czerwca w niedzielę trzecią po Świętach, kiedy całym światem katolickim rządził Leon XIII Papież, za panowania Mikołaja II Cesarza wszech Rosyji i Królestwa Polskiego, kamień ten węgielny pod fundamenty świątyni na chwałę Wszchemogącego Boga i cześć Najświętszej Maryi Panny, pod wezwaniem Świętego Stanisława Kostki Wyznawcy, według obrzędu przez kościół przepisanego, pobłogosławił Najdostojniejszy arcybiskup Wincenty Chościak-Popiel, arcybiskup metropolita warszawski w obecności licznie zgromadzonego na tę uroczystość kleru. Świątynia niezmiernie

potrzebna dla wiernych miasta Łodzi buduje się staraniem ks. Zygmunta hr. Łubieńskiego, prałata Jego świętobliwości, proboszcza miejscowego i dziekana, a także Komitetu w tym celu ustanowionego [...]. Plany kościoła wykonali Wende i Zarske, murarskie roboty prowadzi Władysław Stelmachowski, pod nadzorem budowniczego Kazimierza Sokołowskiego. Obecni byli przy akcji tym przedstawiciele władzy, obywatele miasta Łodzi niżej podpisani i wiele tysięcy wiernych”.

Podstawowe prace budowlane trwały około dziesięciu lat. W 1910 roku świątynia na zewnątrz była już ukończona. Przez następne dwa lata trwały prace wewnątrz kościoła. Układano posadzki, malowano ściany, montowano witraże. W fabryce Towarzystwa Akcyjnego Józefa Johna odlano dzwon.

Kościół św. Stanisława Kostki oddany został do użytku w 1912 roku. Projekt zrealizowano prawie w całości, brakowało tylko pełnego wzniesienia wieży kościoła.

W 1920 roku papież Benedykt XV utworzył diecezję łódzka, a kościołowi św. Stanisława Kostki nadano rangę katedry. Biskupem został mianowany ksiądz prałat Wincenty Tymieniecki, dotychczasowy proboszcz parafii św. Stanisława Kostki. Po śmierci biskupa W. Tymienieckiego w 1936 roku kolejnym biskupem zostaje mianowany ks. Włodzimierz Jasiński.

Podczas II wojny światowej hitlerowcy zamienili kościół w magazyn wojskowy. Zniszczono część witraży, skradziono lub zniszczono szaty liturgiczne i wota.

Po wojnie przez kilkanaście lat remontowano i wyposażano kościół. Szczególne zasługi w odbudowie kościoła należy przypisać ks. biskupowi Janowi Fondalińskiemu, który przez kilka lat pełnił funkcję proboszcza parafii katedralnej (bp. Jan Fondaliński przed objęciem funkcji proboszcza parafii katedralnej był proboszczem parafii św. Wojciecha na Chojnach).

Tragicznym dniem dla kościoła był 11 maja 1971 r. Tego dnia wybuchł groźny pożar. Spaliła się wieża, popękały sklepienia, wodą zalany został główny ołtarz. Ofiarność strażaków uratowała mury świątyni i część wieży. Odbudowa trwała kilka lat. Zakończono ją w 1997 roku. Przez następne lato porządkowano teren wokół świątyni.

Szczególnym dniem w dziejach katedry była wizyta w jej murach Ojca Św. Jana Pawła II. Dzień ten został opisany w książce pt. *Papież Jan Paweł II w Łodzi* autorstwa bp. Adama Lepy. Chcąc oddać atmosferę tego dnia, cytuję fragment z książki biskupa Adama Lepy:

„Choć komunikat prasowy z 15 kwietnia 1987 r. mówił jedynie o *Nawiedzeniu* katedry łódzkiej przez Ojca Świętego i choć później duszpasterze nasi podkreślali przy różnych okazjach, że najważniejszym ołtarzem w diecezji będzie ołtarz kongresowy i zarazem papieski na Lublinku, to jednak nie mieliśmy wątpliwości, że w katedrze łódzkiej spotkanie Papieża z przedstawicielami diecezji stanie się wielkim wydarzeniem zarówno dla życia religijnego, jak i kulturalnego łódzkiej metropolii.

Do udziału w celebrze papieskiej na Lublinku byli zaproszeni wszyscy bez wyjątku diecezjanie. Natomiast do katedry Biskup Łódzki zaprosił przedstawiciele inteligencji twórczej: pracowników nauki, pedagogów, twórców kultury itp. Zaproszeni też zostali przedstawiciele młodzieży akademickiej. Słowem, miało to być spotkanie Papieża z Łodzią akademicką. Nieco później tego dnia zaplanowano spotkanie Jana Pawła II z przedstawicielami świata pracy w niecodziennej scenerii warsztatów tkackich. Przebywając w Łodzi, mógł więc Ojciec Święty doświadczyć pełnego obrazu mieszkańców tego miasta, a może i jego osobliwej atmosfery.

Świadkiem obecnego spotkania miała być katedra, matka wszystkich kościołów diecezji, jedna z najmłodszych katedr w Polsce. [...]

Zgodnie ze wspólnymi ustaleniami już od godz. 14.30 można było udawać się do katedry. Prowadziły tam trzy drogi, jakby korytarze nazwane w języku służb specjalnych „rękawami wpustowymi”.

Dwa z nich wiodły bezpośrednio z ul. Piotrkowskiej (od ul. Czerwonej i od ul. Świerczewskiego), natomiast trzeci „rękaw” przygotowany był na ul. Worcella od ul. Wólczańskiej. Tymi trzema drogami już od godz. 13.00 zaczęli się schodzić ludzie na ul. Piotrkowskiej, aby zobaczyć i pozdrowić Ojca Świętego.

Wśród gromadzących się tłumów byli również i tacy, którzy wcześniej brali udział w celebrze papieskiej na Lublinku i zdołali sobie tylko wiadomymi sposobami pokonać kilkukilometrowy odcinek drogi i teraz jeszcze uczestniczyć w powitaniu Papieża przybywającego do rezydencji Biskupa Łódzkiego.

Wedle dokładnych obliczeń katedra powinna tego dnia pomieścić 4,5 tys. osób, nie licząc tych, którzy mieli przygotowane miejsca w ambicie świątyni (księża, siostry zakonne, zespoły chóralne). Natomiast przy katedrze, w pobliżu frontonu, przygotowano miejsca dla ok. 20 tys. ludzi. Wszyscy uczestnicy tego spotkania, zarówno znajdujący się wewnątrz katedry, jak i poza nią, zostali przez swoich proboszczów zaopatrzeni w specjalne karty wstępu. Katedrę oraz plac wokół niej objęto jednym nagło-

śnieniem, dzięki czemu uroczystemu spotkaniu z Ojcem Świętym wewnątrz Świątyni przysłuchiwały się tłumy ludzi znajdujących się na zewnątrz.

W czasie przygotowań do wizyty Biskup Ordynariusz zaproponował, aby Ojciec Święty przed wejściem do katedry mógł przejechać trasą wokół placu Katedralnego. Pozwoliłoby to zgromadzić na placu tak wielką liczbę wiernych, że zajmowałiby cały teren wokół katedry i w ten sposób mogliby z bliska pozdrowić Papieża. Niestety, propozycji nie przyjęto, wytaczając niezbyt przekonujące argumenty.

O godz. 15.30 katedra jest już wypełniona. Później dowiedzieliśmy się, że bardzo wiele osób (może 200-300?) zaopatrzonych w odpowiednie karty wstępu, nie zostało nawet dopuszczonych w pobliże katedry i były zawracane z drogi. Tłumaczono im, że katedra jest wypełniona, a więc nie ma dla nich miejsca. Rozgoryczeni wracali do domu (zwłaszcza inwalidzi i ludzie w starszym wieku) albo zatrzymywali się na trasie przejazdu Ojca Świętego. Gdy kilka dni później analizowaliśmy ten przykry incydent, rozważane były różne interpretacje. Jedną z nich był wniosek, że miejsca osób niedopuszczonych do katedry zostały prawdopodobnie zajęte wcześniej przez licznych przedstawicieli służb specjalnych. W tamtych dniach trudno nawet było znaleźć bardziej logiczne wytłumaczenie. Przypuszczenie to potwierdziła uwaga jednej z dziennikarek, która stwierdziła ze zdziwieniem, że „łódzka inteligencja zaczęła opuszczać katedrę przed końcem papieskiego przemówienia, aby zająć lepsze miejsce do pożegnania”.

Uznaliśmy wtedy, że ci „niecierpliwi łodzianie” wychodzący przedwcześnie z katedry, to po prostu ludzie, którzy znaleźli się tam w „celach służbowych”. Tym bardziej, że tak zwanych przypadkowych uczestników spotkania nie było w katedrze. Znalazły się tam wyłącznie osoby, które karty wstępu odebrały z rąk swoich duszpasterzy. [...]

Katedra łódzka wypełniona jest do ostatniego miejsca. Panuje nastrój podniosłego, a zarazem bardzo rodzinnego oczekiwania. Jest to przecież spotkanie z Ojcem.

W stallach zasiedli kanonicy Kapituły Katedralnej Łódzkiej. Przed południem pozdrowił ich Ojciec Święty na początku wygłoszonej homilii, teraz w swojej katedrze, witając się z Dostojnym Gościem, będą mogli wypowiedzieć słowa swojej czci najgłębszej i miłości wobec Piotra naszych czasów.

Pierwsze miejsca przed prezbiterium zajęli rektorzy i dziekani łódzkich uczelni. W lewej nawie, w sąsiedztwie ambitu, ustawiły

się zespoły chóralne, które na przemian po mistrzowsku wykonują piękne pieśni, zawsze niezbędne, kiedy tworzy się klimat niecodziennego spotkania.

Na specjalnie zbudowanym podeście, umieszczonym w transepcie katedry, stoją stłoczeni dziennikarze prasy, radia i telewizji. Wszyscy ciekawi, co Papież powie w tym robotniczym mieście do przedstawicieli nauki i kultury oraz jakie im pozostawi przesłanie.

Katedra łódzka nie była jeszcze dotąd w swej historii tak pięknie udekorowana. Jest trochę czasu, aby można było dostrzec i docenić misternie wypracowane formy dekoracji kwiatowej. Najpiękniejsze kompozycje kwiatowe w blasku potężnego światła fascynują wzrok i zapewniają spotkaniu z Ojcem Świętym najstosowniejszą oprawę.

Przed stopniami głównego ołtarza ustawiono klęcznik okryty czerwonym materiałem, nieco wyżej przygotowano trzy fotele: dla Papieża, dla kardynała Agostino Casaroli, watykańskiego sekretarza stanu, oraz Biskupa Łódzkiego.

Nastrój oczekiwania wzmagają piękne śpiewy wykonane przez chór młodzieżowy. [...]

Jest godz. 15.55. Osoby towarzyszące Ojcu Świętemu przechodzą do katedry pieszo. Bardzo radośnie biją wszystkie dzwony katedralne. Zrywają się potężne oklaski. Jan Paweł II opuszcza papamobil i ukazuje się na stopniach przed frontonem katedry.

Proboszcz parafii katedralnej ks. prałat Stefan Ciesielski wita Dostojnego Gościa w progach świątyni. Odbywa się ceremonia przewidziana przez liturgię, a więc m.in. podanie Ojcu Świętemu relikwii do ucałowania, okadzenie i pokropienie wiernych wodą święconą.

Ludzie znajdujący się wewnątrz katedry słyszą oklaski i zrywają się z miejsc. Każdy pragnie jak najdokładniej zobaczyć Ojca Świętego, a może nawet usłyszeć od niego choćby jedno tylko słowo, otrzymać błogosławieństwo. Wielu z nich przecież znalazło się po raz pierwszy w swoim życiu wobec takich wyjątkowych i niepowtarzalnych możliwości...

Po powitaniu przez bp. Władysława Ziółka Papież Jan Paweł II powiedział:

„ponieważ jesteście na szlaku Kongresu Eucharystycznego, zostawiam wam w tej katedrze dar w postaci monstrancji, antycznej monstrancji, którą przywiozłem z Rzymu. I niech Pan Bóg wynagrodzi temu, który wymyślił w czasie tej podróży Papieża do Polski dzień łódzki.”

W dwa lata po wizycie Ojca Świętego w Łódzkiej Katedrze listem apostolskim Jan Paweł II podniósł świątynię do godności bazyliki mniejszej. W trzy lata później diecezja łódzka zostaje podniesiona do godności archidiecezji.

Ważniejsze daty z historii archikatedry

Według książki Krzysztofa Stefańskiego pt. *Bazylika archikatedralna*

1895

Powstanie Komitetu Budowy czwartego kościoła katolickiego w Łodzi (z inicjatywy proboszcza parafii Podwyższenia św. Krzyża ks. Ludwika Dąbrowskiego) z baronem Juliuszem Heinzlem na czele.

1897

Proboszczem parafii Podwyższenia Świętego Krzyża zostaje ks. Prałat Zygmunt Łubieński, który aktywnie włącza się w prace Komitetu. 10 listopada władze miasta ofiarowują Komitetowi pod budowę kościoła plac u zbiegu ul. Piotrkowskiej i Placowej (obecnie ul. Ks. I. Skorupki).

1898

Czerwiec, ogłoszenie międzynarodowego konkursu na projekt czwartego kościoła katolickiego w Łodzi.

1899

30 grudnia, akt darowizny placu pod budowę świątyni pośrodku placu Szpitalnego (położenie skorygowane w stosunku do wcześniejszych ustaleń).

1900

Wrzesień(?), zatwierdzenie projektu kościoła przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Petersburgu.

1901

19 maja, poświęcenie placu budowy przez ks. Zygmunta Łubieńskiego i rozpoczęcie prac budowlanych przez firmę Władysława Stelmachowskiego.

16 czerwca, uroczystość poświęcenia i wmurowania kamienia węgielnego przez arcybiskupa warszawskiego Wincentego Chościak-Popiela.

4 września, zerwanie współpracy z firmą „Wende i Zarske” i powierzenie wykonania rysunków szczegółowych architektowi Siegfriedowi Sternowi z Wiednia.

1902

Wykonanie cokołu i rozpoczęcie wznoszenia murów.

1903

Kontynuacja wznoszenia murów, rozpoczęcie stawiania kamiennych filarów przez firmę Antoniego Urbanowskiego.

1904

Znaczne ograniczenie zakresu prac budowlanych, kontynuacja ustawiania filarów.

1905

Kwiecień-lipiec, ustawienie filarów, później całkowite wstrzymanie prac z powodów politycznych i finansowych.

1906

Kwiecień, przyznanie dotacji rządowej w wysokości 60 tys. rubli na budowę świątyni.

1907

Kwiecień, wznowienie prac budowlanych.

9 czerwca, oddanie kaplicy do użytku wiernych (obecna zakrystia).

1909

29 grudnia arcybiskup warszawski Wincenty Chościak-Popiel wydaje akt erygujący 1 stycznia 1910 r. parafię św. Stanisława Kostki.

1910

Wrzesień, zakończenie zewnętrznych prac budowlanych przy kościele (oprócz partii wieży), zdejmowanie rusztowań.

1911

Marzec-maj, zakładanie żelbetowych sklepień w kościele.

25 czerwiec, zawieszenie na drewnianym stelażu obok świątyni dzwonu „Zygmunt”.

1912

22 grudnia poświęcenie ołtarza głównego pw. Przemienienia Pańskiego i oddanie świątyni do użytku wiernym.

1913-1916

Budowa wieży do wysokości hełmu.

1920

10 grudnia papież Benedykt XV tworzy diecezję łódzka, podnosząc kościół św. Stanisława kostki do rangi katedry.

1922

15 października pierwszy łódzki biskup Wincenty Tymieniecki dokonuje aktu konsekracji katedry.

1927

Wzniesienie zwieńczenia wieży według projektu Józefa Kabana.

1935-1936

Budowa krypty biskupiej według projektu Józefa Kabana.

1937

Lipiec-wrzesień, prace konserwatorskie pod kierunkiem arch. Stanisława Uleyskiego w związku z pęknięciami muru.

1943-1945

Zamknięcie kościoła i dewastacja wewnątrz przez niemieckich okupantów

1945

19 stycznia w czasie wyzwolenia miasta uszkodzona zostaje pociskiem elewacja wieży.

17 lutego, rekuncyiacja katedry, rozpoczęcie prac remontowych

1971

11 maja, pożar świątyni.

1971-1977

Pierwszy etap przy odbudowie katedry połączony z renowacją wewnątrz.

1977-1984

Porządkowanie otoczenia świątyni, przebudowa schodów.

1987

13 czerwca, wizyta w murach świątyni Ojca Świętego Jana Pawła II.

1989

20 grudnia, podniesienie łódzkiej katedry listem apostolskim Jana Pawła II do godności bazyliki mniejszej.

1992

25 marca bullą papieską diecezja łódzka podniesiona zostaje do rangi archidiecezji, a katedra do godności archikatedry.

Tadeusz Chróścielewski

O Wydziale Kultury, współpracy z plastykami i szalonych krowach Kondka oraz dzieciach piszącego te słowa

O łódzkich plastykach można dużo i dobrze. W każdym razie najlepiej mi się z nimi współpracowało w tamtoczesnym Wydziale Kultury. O wiele lepiej niż ze Związkiem Literatów, z którym byłem organizacyjnie i profesjonalnie związany, a który mój nagły awans na p. o. kierownika Wydziału (grzecznościowa forma – naczelnik) potraktował na ogół wrogo, kierując się dość typowym w tym kraju argumentem: dlaczego on, a nie ja?

Dodam, że stało się to zupełnie przypadkowo i bez wiadomych „uzgodnień”. Po prostu ojcowie Miasta musieli błyskawicznie wylać mojego poprzednika za naganne obyczaje, które wywołały skandal typu „szukasz pracy, chodźże panna spać do łóżka – z pracodawcą”, w zespole zaś pracowniczym, tak się złożyło, tylko ja jeden posiadałem odpowiednie kwalifikacje humanistyczne i doświadczenie.

Dodam też nieskromnie, ale szczerze, że zupełnie mi na tym nagłym wyniesieniu nie zależało i niejednokrotnie meldowałem o tym odnośnym władzom, nawet proponując na swoje miejsce redaktora i publicystę naówczas warszawskiego, choć mieszkał w Łodzi, redaktora niezbyt długo działającego „Przeglądu Kulturalnego”, Wiesława Jażdżyńskiego. Z zajęciem „naczelnikowskiego” fotela gdańskiego nastąpiło zmniejszenie niemal do zera zależności bezpośredniej Wydziału od „Białego Domu”. Nie było to ani specjalnie trudne (wbrew dzisiejszym przekonaniom), nie wymagało też ani zbytniego bohaterstwa, ani walenrodzizmu, ani kunsztów dyplomacji.

Okres był politycznie – po wiadomych śmierciach – przejściowy, Komitet miał inne zmartwienia niż zajmowanie się Wydziałem Kultury. Szewca (autentycznie), który poprzednio był w „Białym Domu” od kultury, Jerzy Putrament (z uosobienia „Cześnik-Raptusiewicz”) przybywszy, po naszej skardze, przegonił, gdzie pieprz rośnie, a ówczesny sekretarz Tatarkówna miała bardzo dobrze w głowie i była autentyczną patriotką.

Udało mi się coś tam zrobić dla muzeów łódzkich (czym się dotąd Miasto raczej nie przejmowało) i udało mi się przy dość miernym zainteresowaniu środowiska uczcić odpowiednio podniosłymi tablicami miejsca związane z narodzinami czy działaniem pisarzy o szczególnie wysokiej nie tylko literackiej randze (Reymont, Tuwim). Z kilku powołanych przeze mnie zespołów merytorycznych najlepiej (poza wcześniej powołanym ośrodkiem nauczycieli szkół artystycznych) pracowało mi się z zespołem do prac plastycznych.

Szczególnie owocnie w nim pracowali: ówczesny prezes Czesław Sadowski (jako plastyk na poły abstrakcjonista), Albin Lubniewicz; z czasem doszli: historyk sztuki Henryk Anders i Francuzo-Polak Henri Poulain... Ponieważ nasze starania o sprowadzenie również do Łodzi wielkiej wystawy bardzo ciekawego malarstwa ściennego meksykańskiego (z powodu szczupłości jedynej w Łodzi sali wystawienniczej Łódzkiego Ośrodka Propagandy Sztuki przy parku im. Sienkiewicza) nie powiodły się nam (wystawiona została w Warszawie i bodaj we Wrocławiu i odjechała w siną dal), postanowiliśmy jakąś niezbyt wielką, ale od wielkiej biedy wystarczającą na ten cel sumę, którą dysponował Wydział, poświęcić na poszerzenie sali, a raczej dodanie skrzydła w stronę ulicy Kilińskiego na wypadek właśnie tego typu okazji w przyszłości. Inicjatywie tej ostro przeciwstawił się i nie dał zezwolenia na rozszerzenie Ośrodka dyrektor Wydziału Zieleni i Geodezji pan J., ponieważ zaprojektował (i marzył o realizacji tego projektu) krąg zieleni w typie Plantów krakowskich, którymi by odgrodził od reszty miasta ściśle śródmieście – w oparciu o park Sienkiewicza i grupy zieleni pochowane w różnych zamkniętych posesjach, przy dawnym Paradyżu (znaczy koło Domów Literatów) i w innych miejscach.

Najbardziej przeszkadzają – swoisty paradoks – w tworzeniu czegoś marzyciele wyżywający się w rozkoszy samego marzenia. Podczas jałowych naszych sporów z tym Wydziałem zgłosił się architekt – „pomysłowiec” o ciekawej wyobraźni (maż naszej koleżanki poetki Anny Pogonowskiej), inżynier Jerzy Oplustil.

Zaproponował w ogóle budowę nowoczesnej galerii sztuki na przestrzeni jakichś zapowiadanych wyburzeń w śródmieściu (nie pamiętam gdzie), niewiele myśląc z miejsca sporządził makietę takiej efektownej galerii i postanowił objawić ją Miastu, a ściślej łodzianom korzystającym z obszernego i znakomicie prowadzonego przez dyrektora Fuchsa Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki. Wtedy jeszcze przy Piotrkowskiej 86 (pod Gutenbergiem).

Miał w nim także kawiarnię ze świetną kawą, pozwalał na czytanie pism zagranicznych na miejscu (rzecz jasna pism typu „Kultura” paryska tam nie znalazłbyś). W tym czasie kawiarnie coraz bardziej opanowywane były przez młodzież. Inteligencja twórcza i przyjaciele Łodzi najczęściej przebywali „u Fuchsa...” Reakcja nastąpiła dość szybko, tyle że niezupełnie, czy nie do końca w myśl naszych życzeń.

Złożył mi wizytę prezes łódzkiego oddziału Stowarzyszenia Architektów RP z pretensją, że przygotowujemy się do... budowy galerii sztuki w oparciu o jeden tylko projekt (w dodatku architekta niezrzeszonego), z ominięciem obowiązku zorganizowania ogólnopolskiego konkursu na projekt takiej galerii i bez opracowania ścisłych założeń wstępnych. Gdy dowiedział się, że to projekt tylko luźny, li tylko do zainteresowania władz samą sprawą budowy, najpierw nie mógł zupełnie zrozumieć, jak można chcieć coś inicjować bez zabezpieczenia finansowego, potem groził nam jakimis, bodaj nawet zagranicznymi, władzami, sądami. Wreszcie trzasnął z hałasem drzwiami... Sprawę diabli wzięli – co nie znaczy, że tu leży przyczyna tego, że galerii dotychczas w mieście Łodzi nie ma.

Z inicjatywy naszej, szeregu plastyków, a najbardziej plastyka amatora, a właściwie bezinteresownego działacza, starszaka pana Tomasza Klepy powstało w drugiej połowie lat pięćdziesiątych Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, którego pierwszym ruchliwym prezesem był sam pan Klepa. Istniało, działało, coś tam robiło w czasach, gdy kolejni prezesi nie wiedzieli nic o istnieniu jakiegoś pana Klepy... było i się rozmyło...

Udało nam się nakłonić Radę Narodową (po dzisiejszemu Miejską) do uchwalenia corocznej Nagrody za szczególne osiągnięcia plastyczne w mieście... Nagrodę za wybitne osiągnięcia plastyczne przyznaliśmy jako jednemu z pierwszych Albinowi Łubniewiczowi, za wystrój plastyczny wnętrza kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej. Z tego osiągnięcia dumny byłem najbardziej: był to jedyny wypadek przyznania nagrody za sztukę sakralną

i to dotyczyło kościoła wystawionego w dziękczynieniu... za Zwycięstwo nad nawałą bolszewicką w 1920 r. Było to dość niezwykle w tamtych dziesięcioleciach i w dodatku w okresie wiadomej wojny Partii i Państwa z Kościołem. Tamte dwie zahartowane w walce ideowej instytucje dały się nabrać: nie wiedziały, za co Nagrodę przyznają i jaki obiekt honorują.

Do obowiązku Wydziału Kultury (dziś: Wydział Kultury i Ochrony Zabytków) należało patronowanie dorocznym wystawom osiągnąć łódzkiego środowiska plastycznego i zakupywanie dzieł uznanych przez wspólne z Wydziałem Jury za szczególnie cenne. Udało mi się wówczas nie kupić wyróżnianego przez tzw. czynniki obrazu rektora Romana Modzelewskiego *Mickiewicz i Puszkina*, ponieważ ubodło mnie, że Puszkina stoi w postawie faceta wysuniętego do przodu i pouczającego pokornego autora *Konrada Wallenroda*, prawdopodobnie zasad realizmu socjalistycznego, a nasz wieszcz, nie mogący przecież dorównywać z natury rzeczy „radzieckiemu”, zdawał się jąkać przed Autorem *Oniegina* jak żaczek przed nauczycielem.

Do moich obowiązków należało – a jakże – godzenie zwaśnionych małżonków, głośnych malarzy, jak np. znakomitego Stefana W. (pierwszego po Strzebińskim), „unisty”, czy profesora Franciszka J. – wielkiego skrzyпка z małżonką – też artystką. Utarło się, że wystawy w miejskim ośrodku wystawienniczym propagandy sztuki otwierałem ja, nawet gdy obecny był ktoś z ojców miasta i nastąpił po mnie kierownik, czyli naczelnik Wydziału. Kiedyś w obecności naczelnika Ryszarda Stefańczyka miałem otworzyć wystawę sędziwego malarza, nauczyciela licealnego Antoniego Wippla.

W oczekiwaniu na publiczność przyszedłem ze Stefańczykiem wcześniej i w luźnej rozmowie użyłem wobec Stefańczyka grzecznościowego tytułu „naczelnik”. Tamten pan jest naczelnikiem? – zainteresował się staruszek, niezbyt się orientując, kto jest tu kim. Stefańczyk dosłyszał i oznajmił uroczyście – „Najwyższym Naczelnikiem Sił Zbrojnych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Pan Wippel przyjął to za dobrą monetę. Wystawy bywały lepsze, gorsze, ale na ogół monotonne wskutek wymaganego podporządkowania się konwencji socrealizmu. Zanim jeszcze wymogi te zelżały, pojawiły się dwie nietypowe wystawy. Pierwsza – *Pulenek* Henri Poulaina, druga debiutancka, ale bardzo obszerna i utrzymana w różnych, ale zawsze „kondkowych” konwencjach tego wspaniałego, też dawno już nieżyjącego grafika.

Kończył się okres purytanizmu bezwzględного i niektórzy śmiali malarze przypominali sobie o surrealizmie. Właśnie Poulain. I oto wystawił te „pulenki” – cykl niezwykle smukłych dziewcząt o stromych jablecznych piersiach, o bujnych brązowoczarnych kędziorach, oliwkowej cerze. Ich nagie po wzgórze łonowe ciała od dołu otoczone były bądź łąką o barwach pawich oczu, bądź zwałonym morzem z muszlą, którą przed chwilą musiały opuścić, by przejść dalej przez płyciznę. Dziewczęta, nazywane przez niego „pulenkami” odwrócone były od górzystego, skalnoleśnego krajobrazu i wież zamków gotyckich. Na niektórych, na pierwszym planie, jawiła się paszcza smocza czy wielorybia. Widzowie – wyglądiali przez lata purytańskie – chętnie wpatrywali się w piersi i chłonili zmysłowe – wyraźnie zmysłowe – uśmiechy syrenich dziewcząt. Wystawa miała nienotowane dotąd powodzenie. Jeszcze jednak większe debiutancka wystawa Wacława Kondka.

Składały się na nią śmiałe szkice ołówkowe przedstawiające pomijane dotąd przez socrealistów pocieszne i śmiałe obyczajowe scenki z przedmieść – chyba łódzkich. Przyciągały uwagę. Najbardziej jednak podobały się duże arkusze, przedstawiające groteskowe stwory, często bestiograficzne, jakby to określił Mickiewicz. Gdy spojrzeć uważnie, nie była to czysta fantazja, ale przedstawione realnie, choć fantazjotwórcze zachowania się zwierząt domowych w niepojętych dla nich sytuacjach, jak na przykład przedstawienie krowy (czy raczej, jak sobie krowa może swą sytuację wyobrażać) maltretowanej przez upartą muchę, wielką jak mucha tse-tse – a może przez baka. Krowa chce zwalczyć czy odpędzić straszliwego owada krowim sposobem za pomocą ataku jak na torreadora. Pęd skarykaturowanego zwierzęcia przedstawiony został przy pomocy nakreskowanych kilkukolorowych (kolor np. czerwony) prostokątów i ukazywał narastanie wściekłości i bezradności bestii czworonożnej wobec niewidocznego... mocarnego w jej wyobrażeniu wroga, zadającego ból i z pewnością przerażającego samym upartym bzykaniem. Całość to zwierzę sprowadzone do przesuwających się w miarę rozwijania się „ataku” różnokolorowych prostokątów z kanciamy główkami i rogami.

Zrozumienie pocieszności tych zgeometryzowanych bestii i uświadomienie sobie śmieszności sytuacji wymagało od widza specyficznego daru odbioru – właśnie takiego, jaki najobficiej posiadają dzieci. Toteż moja mała dwójka pociech (Dorota i Wojtek) nie mogła się napatrzeć, roześmiana od ucha do ucha. Na

„pulenki” dzieci nie wzięłem. Na Kondka kilka razy. Napraszały się i zaraz biegały ku bestiom. Obie wystawy były – o ile pamiętam – pierwszym aktem odejścia od realistycznej plastyki, ukazującej wyższość naszego ustroju czy „walkę o Pokój”. Dojrzał tę scenę uciechy moich dzieci znany łódzki fotograf prasowy, który parał się także dziennikarką – pan Kudaj. Zrobił kilka fotografii taty „naczelnika z pociechami”. Tata się pochylał, coś tłumaczył, wskazywał palcem. Dzieci domagały się, żebym od „śmiesznego pana” kupił „szaloną krowę”.

Po zamknięciu wystawy zaproponowałem Kondkowi zakup. Przyniósł nazajutrz i za nic nie chciał podać ceny ani przyjąć zapłaty. „Krowy” zawisły w dzieciennym pokoju między łóžeczkami. Osłabiło to nieco pobożność zwyczajową plastyki nadłóžeczkowej, było za to zabawne. „Krowy” teraz z zapałem odganiały muchy z dzieciennych nosków...

Przyjechał wujek Władek z miasta Siedlce. Zgorszył się, że dzieci zachwycają się czymś takim. „Te gusta komunistyczne” mogą przewrócić i im też w główkach. Dziadzio Jasio (zmarł przed pierwszą wojną światową, a służył od wczesnego dzieciństwa za narzucany przez rodzinę mojej matki ponadczasowy autorytet w każdej dziedzinie) byłby, Tadziu, bardzo niezadowolony, że powiesiłeś w tym miejscu nie supersztych na przykład *Hołdu Pruskiego Matejki*, tylko taką bolszewicką pokrakę. Powinieneś wychowywać je na Brandcie, Suchodolskim, w ogóle na dobrym malarstwie. Nie oszczędzaj! Szarpnij się! Szarpnąłem. Akurat przyszły do wspomnianego wyżej Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki pierwsze po wojnie znakomite reprodukcje zagraniczne Moneta, Renoira i *Tancerki Degasa*. Dzieciom się nie od razu, lecz z biegiem lat, coraz bardziej podobały. Dorotka wychodząc za mąż wzięła kilka reprodukcji, a prowadząc zajęcia ze studentami z secesji literackiej, brała ich za każdym razem do Muzeum Sztuki, żeby umieli kojarzyć założenia tego malarstwa z poetyką arcydzieł literatury okresu.

Dzieci, kiedy były... dziećmi, bardzo lubiły także *Don Kichota* ofiarowanego mi na imieniny przez Poulaina. „Pulenek” im wtedy, w ich maluczkim wieku, jak wspominałem nie pokazywałem. Dodam tu, że się z „Pulenką” przedmiotem mistrza westchnień twórczych, jednocześnie moją z czasem koleżanką w Wydawnictwie Łódzkim – ożenił... Poetka Dorota poszła sobie od nas wyżej niż najwyższa chmurka i gwiazdka na niebie. Wojtek „szarpie się” i kupuje za ostatni grosz w antykwariatach obrazy miłe sercu (uwielbia historię).

Aby dokończyć niektóre z tamtych „wydziałowo-kulturalnych” spraw, dodam, że upamiętnieniem miejsc związanych z wysoką literaturą łódzką zajmowałem się i potem – w ramach innych instytucji i związków.

Na początku działalności Towarzystwa Przyjaciół Łodzi – wraz ze Zdzisławem Konickim – wbrew oporowi władz – przeformowałem rzeźbę dekoracyjną przy końcu byłego pasażu ZMP przedstawiającą Syrenkę z baśni Andersena, a nie zetempówkę w stroju galowym pierwszomajowym. Bo trudno żeby „Łódź” nie posiadała i swej syrenki. Obecni plastycy podobno nie lubią tej rzeźby, bo nie w manierze Kobry... tylko Nowickiego – autora, który przybył tu po „Wielkiej Wyprowadzce” z Wilna, a szczęścia w ojczyźnie nie znalazł.

W czasach zaś „wydziałowych” prowadziłem renowację i zmianę wystroju grobu Marii Piotrowiczowej – bohaterki bitwy pod Dobrą w 1863 roku i płyty ku czci zmarłych twórców – mieszkańców Domów Literatów. Jak pogrzebać w pamięci i pochodzić po mieście, to jeszcze znalazłoby się niejedno, co narodziło się kiedyś w mojej główce, na przykład tablica Sztaudyngera i Antoniego Kasprowicza, a nie byłem przecież Pallas Ateną... Zarozumiałość, odejdz ode mnie, bom olimpijczyk kiepski i w ogóle!

PS. Czytając w poprzednim numerze własny tekst eseju-wspomnienia *Łódzkie domy literatów*, stwierdziłem z przerażeniem, że za sprawą już nie chochlika drukarskiego, ale chyba samego diabła, dezinformowałem Czytelnika i wyrządziłem krzywdę koledze – cenionemu Pisarzowi Tadeuszowi Słupackiemu, którego twórczości i osoby jestem stałym admiratorem, wprowadzając go niespodzianie na stronie 23 numeru „Kroniki” 1/2001 do początku łódzkich pisarzy zmarłych.

Kolega Słupacki żyje i cieszy się, mam nadzieję, lepszym zdrowiem niż ja. Chodziło mi o kolegę i przyjaciela WŁADYSŁAWA STRZELECKIEGO, którego odejście głęboko odczułem i stale mam na myśli, i być może, pomyślawszy w tym momencie, bezwiednie w starczym roztargnieniu, wpisałem. Najserdeczniej, jak tylko mogę, przepraszam Kolegę SŁUPACKIEGO, Czytelników i Redakcję Pisma, które jakże wysoko sobie cenię!

Wiem, jakie to przykre, gdyż i sam dwukrotnie byłem „uśmiercany” w prasie za sprawą fatalnej dekoncentracji (w chwili pisania czy dokonywania druku) autora bądź drukarza.

Mogę do wyrazów głębokiego ubolewania przypomnieć tylko obiegowe powiedzenie z kręgów pisarsko-dziennikarskich, że człowiek tak niemiło potraktowany przez słowo drukowane będzie za to d ł u g o i szczęśliwie żył, czego Tadeuszowi jak najserdeczniej, czy więcej niż jak najserdeczniej, życzę.

Z głębokim poważaniem
Tadeusz Chróścielewski

Adam Ochocki

Łowca sensacji. Wspomnienia

Często nawiedzają mnie sny o przedwojennej redakcji i prze-ważnie śni mi się jedno i to samo. Nie mam żadnego ciekawszego materiału do gazety, w dodatku gdzieś mi się zawieruszył mój telefoniczny spis informatorów, jestem przygnębiony, nieszczę-śliwy, a nade mną stoi redaktor Polak i wycina reprimendę, że jestem do niczego, że nic ze mnie nie będzie.

Te sny są konsekwencją urazu, który pozostał mi na całe ży-cie. Zbyt dużo w tamtych latach przeżywałem: niepewność jutra, brak stabilizacji w pracy, pełna determinacji walka o byt. Odcięty od dostępnych, naturalnych źródeł informacji, zmonopolizowa-nych przez starszych, zasiedziałyh kolegów, musiałem kluczyć po marginesach jak zając, szperać, węszyć, wychodzić naprzeciw zdarzeniom, nieraz je inspirować, żeby chociaż od czasu do czasu zdobyć jakąś sensację większego kalibru.

Ot, choćby taka historia. Ze stawu fabrycznego przy ulicy Milionowej wyłowiono worek z makabryczną zawartością: znaj-dował się w nim kadłub ludzki bez głowy, rąk i nóg. Stwierdzono, że ofiarą morderstwa padł mężczyzna, ale tożsamości denata nie zdołano ustalić. Adam Grynfeld bezskutecznie chciał rozwikłać ponurą zagadkę, nad rozwiązaniem której głowił się cały aparat śledczy łódzkiej komendy policji. Ja mogłem o tym tylko czytać, bo wydarzenia z kroniki policyjnej były dla mnie tematem tabu. I właśnie gdy czytałem nasz „Express”, wpadło mi w oko ogłosze-nie: niejaki Messing, „profesor wiedzy tajemnej, telepata, jasno-widz i hipnotyzer” ofiarowywał za pośrednictwem gazety swe usługi szerokiej publiczności.

Olśniony nagłym pomysłem, pobiegłem do „profesora” na ulicę Piotrkowską 62. Wyłożyłem mu swoją propozycję: Zrobimy seans na brzegu makabrycznego stawu, profesor dzięki swym nadprzy-

rodzonym zdolnościom na pewno uchyli rąbka tajemnicy i pomoże skromnemu reporterowi wspiąć się po szczeblach kariery.

„Profesor” dostrzegł w tym widocznie okazję reklamy i przystał na przeprowadzenie eksperymentu. I dla zadokumentowania posiadanej wiedzy tajemnej na poczekaniu dał próbkę swych możliwości. Kazał mi napisać w ciemnym kącie pokoju kilka faktów z mego życia, po czym nie patrząc na zapisaną kartkę spalił ją ostentacyjnie na popiół, a po chwili ku memu zdumieniu odtworzył wiernie moją przeszłość. Dopiero znacznie później wyjawiał mi pewien konkurent „jasnowidza”, na czym rzecz polegała. Gdy pisałem dane z mej przeszłości, pod kartką leżała kalinka, pod nią druga kartka papieru. „Profesor” spalił tę, która była na wierzchu, z kopii zaś odczytał to, co napisałem.

„Wizja lokalna” wypadła w upalny dzień lata. Gdy znaleźliśmy się nad stawem, Messing zatopił wzrok w powierzchnię wody, podniósł garść ziemi, rozsypał ją na cztery strony świata i wyciągnąwszy przed siebie ręce począł wyrzucać z gardła chrapliwe słowa, dygocąc na ciele: – Widzę... widzę... jedzie dorożka... w niej... dwóch mężczyzn.

Niecodzienny widok zwabił ciekawskich. „Profesor” kontynuował jasnowidzenie:

– W dorożce worek... straszny worek, w worku on. Trup!

Ludzi przybywało z każdą chwilą. Chciałem się już wycofać z tej historii, ale jak? Tłum otoczył nas zwartym kołem, gapie, zafascynowani widowiskiem, wpatrywali się w „jasnowidza” rozaczającego wizję ponurej zbrodni. Kiedy seans dobiegł końca, „profesor” rozdał zgromadzonym pokaźny pakiecik swych wizytówek z adresem.

Traf chciał, że – jak wykazało potem śledztwo – sprawcy zbrodni rzeczywiście przywieźli dorożką zwłoki swej ofiary nad staw i utopili je, porzucając kończyny i głowę w różnych miejscach w mieście. Ponieważ rewelacja, którą uzyskałem, nie pochodziła z policji, mogłem ją bez narażenia się kolegom i szefowi dać do gazety.

Po jakimś czasie poprosiłem Messinga o urządzenie ponownego seansu, który tym razem odbył się w pomieszczeniu zamkniętym. Po mieście rozeszła się pogłoska, że u Bogaczyków na Bałutach (ulica Pieprzowa, Fajfra, może Jakuba) straszy. Kartofle same wyskakują z koszyka, kredens sam się przesuwa na środek pokoju. Ludzie opowiadali sobie niesamowite historie, a że Bałuty były naszym głównym terenem zbytu, zachęcony przez szefa, postanowiłem przyczynić się do rozwikłania tej zagadki.

Szczwany Messing od razu się zorientował, że córka Bogaczyków, Stasia, jest podatna na sugestię i łatwo ją będzie wprowadzić w stan hipnozy. Eksperyment został uwieńczony powodzeniem: posłuszna woli hipnotyzera dziewczynka zdjęła ze ściany i pocałowała święty obrazek. I stał się „cud”: kartofle przestały skakać, kredens niewzruszenie tkwił na swym miejscu. Fakt ten znalazł oczywiście za moją sprawą szerokie odbicie na łamach „Expressu”.

Często przemierzałem kręte uliczki Bałut. Któregoś dnia natknąłem się tam na jedyne w swoim rodzaju ogłoszenie na płocie. Na wydartej z zeszytu kartce papieru widniały skreślone niewprawną ręką słowa: Odstapię swe łóżko od 8 wieczór do 6 rano.

Właściciel łóżka stojącego w pokoju, w którym poza nim mieszkało siedem osób, pracował na nocnej zmianie. Po co więc jego łóżko ma stać puste w tym czasie, gdy on przebywa w fabryce? „Współspacz” ulży mu trochę w niedoli. Reflektant znalazł się szybko. Do nory nędzarza na poddaszu przeniósł się inny nędzarz, ściśle przestrzegając warunków umowy: do snu układał się o 8 wieczór i wynosił się przed 6 rano, żeby zwolnić miejsce dla powracającego z pracy.

Sytuacja mieszkaniowa na Bałutach była katastrofalna. Pojedyncze izby, nieraz miałem okazję naocznie się o tym przekonać, zajmowało po kilka i kilkanaście osób, często obcych sobie rodzin. W innych dzielnicach Łodzi nie było dużo lepiej. Wysokie komorne pochłaniało przeciętnie jedną czwartą, nawet jedną trzecią zarobków. Wprawdzie obowiązywała ustawa o ochronie lokatorów, ograniczająca m. in. maksimum wysokości czynszu, ale właściciele domów znajdowali różne furtki umożliwiające im ustalanie komornego według swego widzimisię. W nowo wybudowanych domach nie obowiązywały żadne przepisy. Lokator musiał płacić tyle, ile od niego żądano, a przeciętny czynsz za pokój wynosił sto złotych miesięcznie. Dlatego na każdym kroku spotykało się paradoksy, które dzisiaj są niezrozumiałe dla młodszego pokolenia. W pojedynczych izbach na poddaszach czy w suterrenach gnieździło się mnóstwo ludzi, a na frontowej ścianie tego samego budynku można było przeczytać drażniące ogłoszenie: „Mieszkanie 5-pokojowe z wygodami do wynajęcia od zaraz”.

Ale ani te nędzne klitki, ani wielopokojowe mieszkania nie dawały trwałego azylu. Wystarczyło, żeby lokator zalegał z komornym przez kilka miesięcy, a właściciel domu uzyskiwał nakaz eksmisji i całe rodziny traciły dach nad głową. Wyeksmitowanym

nie chciał wynająć mieszkania żaden inny kamienicznik, chyba że otrzymywał należność z góry. Moratorium eksmisyjne nie zezwalało na eksmisję tylko zimą. Ale wczesną wiosną, zanim pola podmiejskie pokryła zieleń, zalegający z komornym lokatorzy masowo otrzymywali zawiadomienia o wyznaczonym terminie eksmisji. Już nic nie stało teraz na przeszkodzie, aby właściciel domu pozbył się niewygodnego najemcy.

Pamiętam jak kiedyś wśród złorzeczeń dorosłych i płaczu dzieci wyeksmitowano jednocześnie kilkanaście rodzin z czynszowych kamienic na Główniej. Takiej masowej eksmisji w jednym miejscu kroniki jeszcze nie notowały. Pobiegłem zebrać informacje do reportażu i wraz ze zrozpaczonymi ludźmi, jako świadek ich tragedii, wędrowałem od urzędu do urzędu, od instytucji do instytucji. Wszędzie odprawiano petentów z kwitkiem. Zdesperowani udali się całą gromadą na Doły i tam, na terenie cmentarza, wykopali jamy, powbijali kije, zawiesili płachty i rozbili namioty. Gdy żywi nie chcieli okazać im pomocy, poszukali jej u umarłych.

Na krótko przed wojną uchwyciłem nić, która również pomogła mi złowić cenną sensację. Wiadomość pochodziła z policji, nie dotyczyła jednak wydarzenia kryminalnego, więc mogłem z niej skorzystać.

W komendzie policji przy ulicy Kilińskiego 152 zameldował się przybysz z zagranicy.

– Usuwam chore zęby i pieńki na poczekaniu – oświadczył łamaną polszczyzną – bez żadnych instrumentów i bez bólu. Kto z panów chciałby skorzystać?

Policjanci, wiadomo, naród podejrzliwy. Spojrzeli nieufnie na przybysza. Ten wyciągnął plik listów pochwalnych i polecających, wśród nich odręczne pismo gen. Kordiana Zamorskiego, głównego komendanta policji.

Trafiłem na moment, gdy praca osiągnęła punkt kulminacyjny. Jeden za drugim policjanci podchodzili do gościa, nie brak tam było i wyższych oficerów. Dentysta z wprawą usuwał im gołymi palcami siekacze, kły i zęby trzonowe, chowając wszystkie do swojej kolekcji.

Namówiłem pana Constanescu, bo tak się nazywał ów dentysta, Rumun z pochodzenia, do popisania się swymi umiejętnościami w naszej redakcji. I u nas ludzie mieli chore zęby, ale odczuwali paniczny lęk przed bormaszyną i szczypcami. Gość nie dał się długo prosić. Niebawem mieliśmy okazję naocznie i „na zębnie” przekonać się o jego talencie i technice pracy. Pierwszy

na ochotnika poszedł Edmund Bartoszek, po nim Jan Sandmer i inni. Dentysta usuwał zęby w ten sposób, że lewą ręką uciskał w jakimś jemu wiadomym miejscu czoło pacjenta, palcami prawej – dziąsło, wyłuskując chory ząb czy pieńek jak ziarnko grochu ze strąka. Tłumaczył nam, że przez naciskanie tych miejsc następuje znieczulenie nerwu biegnącego od chorego zęba do mózgu, dzięki czemu pacjent nie odczuwa bólu.

Po kilku dniach „cudotwórca” w zakresie dentystyki opuścił Łódź. Pojechał do Radomia, gdzie odwiedził fabrykę broni. Złożył jeszcze wizyty w różnych instytucjach państwowych, po czym w glorii sławy, z wdzięcznością wspominany przez licznych pacjentów, wyjechał z Polski.

Dopiero wtedy wyszło sztydło z worka. Hojna natura obdarzyła pana Constanescu jeszcze jedną zdolnością. Poza niezwykłą siłą w palcach i zręcznością miał on niebywale rozwinięty dar spostrzegawczości i fantastyczny słuch. Widział i słyszał to, czego zwykli śmiertelnicy widzieć ani słyszeć nie powinni. Okazało się, że Constanescu był szpiegiem na usługach wywiadu niemieckiego. Gdy dowiedziano się o tym fakcie, „dentysta” bawił już poza granicami kraju, bogatszy nie tylko o pokaźną kolekcję usuniętych bez bólu zębów, ale i mnóstwo ciekawych informacji. Usuwanie zębów było tylko pretekstem, kluczem otwierającym przed nim wszystkie drzwi, nawet te z wielką pieczęcią tajemnicy państwowej.

Gratki takie jak z Constanescu trafiały mi się rzadko. Tygodniami nie miałem na swym koncie nic specjalnie ciekawego, jedynie jedno- i dwuszpaltowe błahostki, dawane do numeru na „zapchajdziurę”. Gdy nic atrakcyjnego nie udawało mi się zdobyć, gdy wysychały dostępne źródła bieżących informacji, chwytalem się ostatniej deski ratunku – szedłem do sądu.

Najprościej byłoby zająć miejsce w sali i napisać sprawozdanie. Ale równałoby się to poważnej stracie czasu, na co nie mogłem sobie pozwolić. Jaka mogłem mieć gwarancję, że w tym czasie, gdy ja odnotowuję skrzętnie przebieg sprawy, mój konkurent z „Echa” nie spisuje przebiegu kilku innych rozpraw wprost z akt udostępnionych mu przez sekretarza sądu? Toteż również starałem się korzystać w jak najszerszym zakresie z tego źródła, a także z informacji znajomych adwokatów, rewanżując się wymienianiem ich nazwisk w sprawozdaniach.

„Pyskówki” toczyły się w Sądzie Grodzkim na rogu dzisiejszej ulicy Jaracza i Uniwersyteckiej. Epilogi nieporozumień sąsiedzkich, bójek, pijackich awantur nie dostarczały zbyt zajmującego

materiału. Tylko czasami wśród tych „bedlek” trafiał się borowik, jak np. osławiona sprawa Markusa, tego, co to wygrał w karty żonę swego partnera.

Terenem ciekawszych procesów był Sąd Okręgowy na placu Dąbrowskiego. Za moich szkolnych czasów tam, gdzie dziś stoi okazały przybytek Temidy, rozciągał się rozległy plac, gdzie grałem w piłkę z moim kolegą od Brauna, Marianem, synem sędziego mieszkającego obok, w małym drewniaku. Pewnego dnia mój koleżka, siedzący o ławkę za mną, gdy nie chciałem mu udostępnić na klasówce mego *ekstemporale*, czyli wypracowania z łaciny, przyłożył mi do skroni lufę służbowego pistoletu ojca, ale i tak mu nie dałem ścigać.

W Sądzie Okręgowym królował woźny Sobieraj. Pod jego to pieczęą pozostawała sala numer 1, gdzie rozpatrywano między innymi sprawy przy drzwiach zamkniętych. O tym, kto poza sędziami i adwokatami mógł się takiej rozprawie przysłuchiwać, decydował (bez prawa apelacji) obywatel woźny. To nic, że obowiązywał zakaz podawania do publicznej wiadomości przebiegu takich procesów.

Reporter poza zainteresowaniami publicznymi ma jeszcze swoje prywatne, a jaka to gratka zaspokoić niezdrową ciekawość, choćby nawet ucierpiał na tym plon wierszówkowy. Więc z wypiekami na twarzy śledziłem proces wędrownego blacharza Grüninga, gwałciciela i mordercy na tle seksualnym, a także toczący się – również bez udziału publiczności – proces inspektora policji w Łodzi, Noska, oskarżonego przez ówczesnego nadkomisarza tejże policji Weyera o różne ciemne sprawki.

Rej wśród nas żółtodziobów wodził w sądzie „Wujcio” Askanas z „Republiki”, brat znanego w mieście adwokata. Potężnej budowy, o wygolonej głowie, z workami pod oczyma, był „Wujcio” znaną postacią w kuluarach sądowych. Lubił napoje wysokowe (cytrynówkę!), każdą bardziej interesującą sprawę „przepuszczał” przez bufet sądowy z przedstawicielami palestry. Nic dziwnego, że zawsze pierwszy dostawał najlepsze kaski. Sam nie pisał, zbierał wiadomości, a notatki przekazywał Szymonowi Glücklichowi. Ten, opierając się na ustnych informacjach „Wujcia”, preparował sążniste relacje z sali sądowej „od naszego specjalnego sprawozdawcy”.

Gdy rodzinie oskarżonego bardzo zależało na nieukazaniu się sprawozdania w gazecie, a „Wujcio” był jedynym obecnym w sądzie sprawozdawcą, podchodził do niego któryś z krewnych

oskarżonego i wyciągał do bufetu. Kiedy „Wujcio” wracał na salę, było już po sprawie.

Ja mogłem jako sprawozdawca sądowy pisać do „Expressu”, ale wymagało to każdorazowo zezwolenia redaktora naczelnego. Redakcji zależało najbardziej na sprawozdaniach z procesów będących echem głośnych, sensacyjnych wydarzeń. Warunkiem *sine qua non* było, żeby takie sprawozdanie, możliwie najobszerniejsze, „Express” na bieżąco zamieszczał w dniu toczącej się rozprawy, co pozwalało ubiec prasę poranną. Ba, ale jak tego dokonać?! Numer zamykaliśmy najpóźniej o dziesiątej przed południem, a sesje sądowe rozpoczynały się o dziewiątej. Jaki materiał można mieć z jednej godziny procesu? Wpadłem jednak na pomysł, dzięki któremu „Express” przynosił po dwie, trzy kolumny tekstu z rozprawy z tego samego dnia. Urządzałem się tak: Na dzień przed procesem wypożyczałem od występującego w sprawie adwokata akt oskarżenia. Zgodnie z obowiązującymi przepisami akt oskarżenia stanowił do chwili odczytania go w sądzie dokument tajny. Do tego momentu nie wolno było zamieszczać w prasie pod groźbą konfiskaty nawet jego fragmentów. W związku z tym zdobywszy bezcenny dokument, przepisywałem go w redakcji niemal *in extenso*, zwłaszcza gdy dotyczył głośnych zbrodni, jak zamordowanie córki przez „łódką Gorgonową” Marię Zajdel, i uzupełniałem go króciutkim wstępem, pisany w przeddzień sprawy według utartego szablonu.

„Zapowiedź sprawy sądowej przeciwko (tutaj nazwisko lub nazwiska oskarżonych), oskarżonego (-ej, -ym) o dokonanie (tutaj przypomnienie przestępstwa), wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród najszerzych sfer społeczeństwa łódzkiego. Już we wczesnych godzinach rannych na plac Dąbrowskiego poczęły ścigać tłumy publiczności pragnącej za wszelką cenę dostać się na salę rozpraw. Jednak skonsygnowana policja (policja zawsze musiała być skonsygnowana) pilnuje porządku, dopuszczając tylko tych, którzy zaopatrzyli się w karty wstępu...” I tak dalej aż do fragmentu: „Punktualnie o godzinie (tutaj podawałem dokładną godzinę, którą depeszowiec wstawiał rano do tekstu) wkroczył na salę komplet sędziowski w składzie (skład sądu również komunikowałem rano przez telefon). Po odebraniu personaliów od oskarżonego (oskarżonej, oskarżonych) sąd przystąpił do odczytania aktu oskarżenia”.

Dalej „leciały” kolumny złożone poprzedniego dnia, przeważnie wiernie powtarzające tekst aktu oskarżenia. Na końcu sprawozdania czytelnik znajdował odpowiedzi na pierwsze pytania

sądu. Czy oskarżony przyznaje się do winy? Co oskarżony ma sądowi do wyjaśnienia? Do tego dodawałem kilka migawek z sali sądowej, opis oskarżonego (-ej, -ych), a całość sprawiała wrażenie, że genialny reporter (to znaczy ja) wygotował tak wielki elaborat tego samego dnia.

Czasami cała ta praca szła na marne. Rozprawę odraczano i „Express” zamieszczał tylko krótką lakoniczną notatkę. Gotowy do druku akt oskarżenia czekał wówczas cierpliwie na nowy termin, zaś biedny reporter – niecierpliwie, obliczając, ile to by mógł zainkasować przy najbliższej wypłacie wierszówki, gdyby sprawa nie spadła z wokandy...

Maria Kępińska

„Kolor jest najważniejszy w malarstwie” – Marian Jaeschke



Autoportret, 1946

„Była to bardzo barwna postać”¹, „silna osobowość”². „W życiu codziennym ogromnie impulsywny. [...] narzuca sobie w sztuce surowe rygory, pohamowuje temperament na korzyść chłodnej precyzji myśli”³ – wybitny malarz w łódzkim środowisku artystycznym, profesor, który wykształcił godnych siebie następców.

„Był zwolennikiem sztuki postimpresjonistycznej”⁴. „Liczyły się dla niego w malarstwie przede wszystkim walory pikturalne. [...] Uważał, że należy budować obrazy za pomocą kolorów”⁵.

¹ M. Kępińska, *Wspomnienia i chwila obecna* w publikacji: *PWSSP im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi. 1945-1995*, s. 94-97.

² A. Mańczak, tamże, s. 75.

³ H. Anders, wstęp do katalogu: *Marian Jaeschke. 1995. Klub ZPAP w Łodzi*.

⁴ G. Sztabiński *Sztuka – Szkoła – Nauczanie...* w publikacji: *PWSSP im. Władysława Strzemińskiego...*, s. 115.

⁵ M. Kępińska, tamże, s. 95.

Marian Jaeschke tworzył i nauczał z wielką konsekwencją, wiernością młodzieńczemu jeszcze wyborowi swojej artystycznej drogi. Nie zmieniły jej, nie zniekształciły żadne zewnętrzne wpływy, ani pozaartystyczne.

Cenne w jego sztuce było rozwijanie i pogłębianie aż do perfekcji formy, przez którą się wypowiadał, oddawał zachwyty światem, barwą, światłem.

Jego wrażliwość i potrzeba piękna obejmowały zwykłą codzienność, nadawały jej nowy sens – artystyczny ład.

Wypracował sobie własny styl, w którym prawdziwa sztuka oparta jest na szlachetnej tradycji i wiąże się z prawdą przeżycia estetycznego.



Plener w Skierniewicach, 1966

Uprawiał tradycyjne gatunki malarstwa: martwą naturę, pejzaż, portret, autoportret. Wobec rzeczywistości przyjmował intelektualną i artystyczną postawę klasyka. Istoty sztuki i jej estetycznego wyrazu szukał w uogólnieniu postrzeganych, analizowanych zjawisk i w syntezie formy rozumianej jako logiczna

konstrukcja układów plam barwnych, kształtów, wpływu światła na bryłę i przestrzeń.

– „Zanim przystąpisz do malowania, [...] musisz dokładnie zdać sobie sprawę z tego, co cię naprawdę w danym zjawisku zachwycało”⁶ – uczył.

W obecnych czasach postmodernizmu dyskurs terażniejszości z tradycyjną spuścizną intelektualną i artystyczną przybiera niejednokrotnie formy absurdałnych negacji czy destrukcyjnych wystąpień.



Ogród, 1972

Malarstwo respektujące klasyczne piękno wydaje się azylem, w którym poprzez obraz świata materialnego przejawia się najwyższa duchowość człowieka i jej najrozmaitsze odcienie. W obrębie tego najdoskonalszego przejawu widzialnej rzeczywistości i ludzkich możliwości artystycznego o niej przekazu jawi się twórczość Mariana Jaeschke.

⁶ H. Anders, wstęp do katalogu: *Marian Jaeschke*. BWA, Łódź, 1979.

Urodził się w 1904 roku w Tartakowie w powiecie sokalskim w dawnym województwie lwowskim. Już jako uczeń klasycznego gimnazjum w Sokalu nabył umiejętności malarskich. Drogę do sztuki jeszcze w dzieciństwie otworzył mu jego ojciec, który, widząc, że syn rwie się do malowania, udzielał mu pierwszych korekt. Matka posiadała staranne wychowanie, znała się na sztuce, rozwijała zainteresowania syna.

W szkole wyróżniał się wśród rówieśników zamiłowaniem artystycznymi. Będąc uczniem gimnazjum już potrafił malować, uczęszczał na zajęcia plastyczne prowadzone przez Władysława Żurawińskiego, ucznia Wojciecha Weissa. Po ukończeniu gimnazjum Marian Jaeschke przystąpił do konkursowego egzaminu na studia plastyczne w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Wyróżnił się spośród innych kandydatów, przedstawił bowiem 60 prac malarskich: pejzaży, kompozycji figuralnych, portretów wykonanych w technice olejnej, co świadczyło o wcześniej przez niego opanowanym warsztacie malarskim.

Kraków był wówczas najbardziej liczącym się środowiskiem artystycznym w Polsce. W drugiej połowie lat dwudziestych przegasy w nim wpływy formizmu i awangardowości. Jaeschke był więc świadkiem odchodzenia malarstwa w stronę koloryzmu.

Studia rozpoczął w 1924 roku w pracowni rysunku Stanisława Kamockiego, a malarstwa Wojciecha Weissa. Kiedy był na pierwszym roku, atrakcją była dla niego pracownia Józefa Pankiewicza, chodził słuchać korekt, oglądać prace starszych studentów. Od niego przejął przekonanie, „że obraz musi być dobrze zrobiony” i podkreślać ma „malarskość”. Pankiewicz wraz ze swoimi najaktywniejszymi studentami, którzy utworzyli Komitet Paryski, wyjechał do Paryża. KP – kapiści dążyli do poszukiwania metody twórczej, która polskiemu malarstwu nadałaby rangę europejską.

Inni, młodszy studenci, a wśród nich Marian Jaeschke, marzyli, by również wyjechać i studiować w Paryżu. W roku 1927 utworzyli Nowy Komitet Paryski. Chcieli rozwijać estetykę koloryzmu, który na polski grunt przenieśli kapiści. Grupa miała charakter nieformalny, a nawet na pół konspiracyjny. Zamierzony wyjazd nie doszedł do skutku, ale marzenie o nim zaowocowało urządzeniem pierwszych wystaw, co prawda poza Krakowem, (np. w Częstochowie), bo w Krakowie wówczas studentom wystawiać swoich prac nie było wolno. Pieniądzy też zebrali niewiele, a grupa się rozpadła.

Pozostał więc artysta w Krakowie. W 1928 roku przeniósł się do pracowni Felicjana Kowarskiego. Był on profesorem wymagającym, choć nie narzucał swojej koncepcji, żądał od studentów bezbłędnego opanowania rysunku, modelowania bryły światłocieniami, malowniczości formy uzyskiwanej walorowo, monochromatyczności gamy barwnej, syntetycznego ujmowania form, harmonii i monumentalności kompozycji.

Kiedy w 1929 roku Kowarskiemu zaproponowano Katedrę malarstwa w Akademii Warszawskiej, wraz z nim przenieśli się z Krakowa do Warszawy jego najlepsi studenci, a z nimi był Marian Jaeschke.

W ASP w Warszawie studiował do 1932 roku. Opuścił uczelnię nabywając na ukończonym kursie pedagogicznym uprawnień o wykonywania zawodu nauczyciela. Rozpoczął wtedy swoją długoletnią pracę pedagogiczną, najpierw jako asystent w ASP, później jako nauczyciel rysunku i malarstwa w Liceum im. Stefana Batorego w Warszawie.

W 1931 roku był współzałożycielem grupy PRYZMAT. To artystyczne ugrupowanie wyłoniło się z dyskusji i walki o „prymat czystego malarstwa” w sztuce. Artystów zgromadzonych w PRYZMACIE różniło od kapistów traktowanie koloru nie jako celu samego w sobie, ale jako najbardziej znaczącego i adekwatnego środka wypowiedzi malarskiej, wyrażającego stosunek twórcy do natury. Od tego też roku kapiści rozpoczęli ofensywę w sztuce. Pryzmatowców traktowali jako sprzymierzeńców, więc ich w pewnym sensie popierali. Artyści malarze z grupy PRYZMAT „czyste malarstwo” rozumeli jako położenie nacisku na jakość koloru i materii malarskiej, oddawanie prawdy o rzeczywistości poprzez równowagę, zgodność pomiędzy wizją artystyczną a naturą. Dążyli do ukazania odrębności krajobrazu polskiego, jego cech charakterystycznych, akcentowali nastrój. Poza sztalugowym uprawiali też malarstwo ścienne, figuralne, barwne, o tematyce historycznej lub alegorycznej.

Od początku swojej drogi twórczej Marian Jaeschke rozwijał wartości artystyczne, które realizował do końca swojego życia. Należą do nich: niezmierna dbałość o czystość kompozycji i logikę formy, rzetelność malarskiego warsztatu poddanego rygorowi ścisłego myślenia, postrzeganie przedmiotu, postaci, pejzażu w ich naturalnym kształcie i wyrazie emocjonalnym, modelunek formy kolorem.

„... świat widzialny, model ma być tylko pretekstem do namalowania obrazu. Termin pretekstu upowszechnili kapiści,

a Jaeschke przyswoił go w latach studiów [...], lecz nadaje mu nieco inne znaczenie. Kapistom chodziło o tak zwany „powód malarski” oraz o „malarskie rozstrzygnięcie płótna”, co miało znaczyć sprowadzenie malarstwa do często formalnej rozgrywki interesujących i estetycznych zestawień barw. Jaeschke rozumie malarskość jako odrzucenie anegdoty literackiej i treści symbolicznych, wyeksponowanie logiki kompozycji oraz jakości zmysłowych – koloru i materii [...] natura stanowi dla niego jedynie źródło inspiracji⁷.

Był już artystą ukształtowanym, o pewnym dorobku, kiedy przystąpił do dyplomu. Uzyskał go w 1937 roku. Wtedy też za dyplom wyróżniono go, otrzymał rządowe stypendium na wyjazd do Paryża. *Martwa natura z aktem* wystawiona w Salonie Instytutu Propagandy Sztuki w Warszawie przyniosła mu nagrodę Prezesa Rady Ministrów. Marian Jaeschke zrealizował marzenia. Wyjechał do Paryża, a po drodze zwiedzał galerie i muzea Drezna i Wiednia.

Z bogatego międzywojennego dorobku artysty zachowało się niewiele prac. Rozwój artystycznego ruchu PRYZMAT rozbiła wojna.

Lata wojny i okupacji hitlerowskiej spędził Marian Jaeschke w Warszawie. Był konspiracyjnym nauczycielem, prowadził tajne komplety nauczania malarstwa i rysunku dla młodzieży z gimnazjum im. S. Batorego. Jednocześnie tworzył. Dużo malował i rysował, trochę sprzedawał, najcenniejsze obrazy zatrzymywał, pragnąc z nich zaraz po zakończeniu wojny zorganizować wielką wystawę.

Niestety. – „W czasie Powstania Warszawskiego spłonęła moja pracownia – wspominał. – Patrzyłem, jak płonie dom, a w nim moje obrazy. Z lat okupacji nie ocalały nawet te, które były własnością prywatnych nabywców. Po upadku powstania wywieziono mnie i żonę do Niemiec. Do końca wojny byłem robotnikiem w fabryce metalurgicznej w Bambergu.

Do malowania powrócić mogłem dopiero po maju 1945 roku. We wrześniu urządziłem wystawę moich prac, akwarel, szkiców, rysunków. W rok później pokazałem obrazy na wystawie zorganizowanej przez UNRRA dla artystów wysiedlonych”. Dzieła podobały się, zdobył uznanie, nawet cudzoziemcy – Amerykanie, Anglicy, Francuzi kupowali jego obrazy i zamawiali portrety.

Mógł pozostać. Urządzić się za granicą.

⁷ Tamże.

Powrócił do Polski w 1947 roku. Przyjechał z żoną do Łodzi, tu przebywała jej rodzina. Zdecydowali, że zostaną, choć proponowano mu stanowisko w Warszawie, a przedwojenni koledzy z PRYZMATU chcieli, by osiedlił się i pracował w Sopocie w tamtejszej PWSSP.

Marian Jaeschke nie opuścił Łodzi. Niejeden raz żałował, że jednak nie wyjechał. Był tu osamotniony i niedoceniany.

Środowisko plastyczne miasta było bardzo zróżnicowane. Wśród artystów toczyły się spory, a ich centralną postacią był Władysław Strzemiński. Wokół niego powstała silna grupa zwolenników kierunków awangardowych. Koloryści byli na uboczu, ponieważ Łódź nie miała tradycji koloryzmu.

W 1947 roku Marian Jaeschke zatrudniony został jako zastępca profesora w łódzkiej nowo powstałej uczelni plastycznej. Powierzono mu najpierw nauczanie liternictwa i rysunku, od 1948 r. także malarstwa.

Później prowadził katedrę malarstwa, w latach 1958-60 był prorektorem PWSSP, a następnie dziekanem Wydziału Tkaniny, Wydziału Ubioru, kierował Studium Kształcenia Podstawowego. W 1974 roku opuścił uczelnię i w stopniu profesora nadzwyczajnego przeszedł na emeryturę.

Nie zaprzestał twórczości, ciągle ją rozwijał i doskonalił.

Jego sztuka zawsze miała charakter przedstawiający. Obrazowanie świata podporządkowywał zasadom koloryzmu i logice kompozycji. Podkreślał prawdę obserwacji poprzez syntezę i uogólnienie formy, wyciszenie emocji. Świetlistość jego obrazów, pogodna i harmonijna kolorystyka, dyscyplina kompozycji, nastrojowość zbliżają jego malarstwo do ideału klasycznej równowagi.

Przeciwny był przenoszeniu obcych wzorów, zawsze podkreślał, że sztuka powinna być autentyczna, a artysta – uczciwy wobec siebie, że powinien „przez własne doświadczenia wykorzystywać wszystkie możliwości środków malarskich, żeby oddać specyfikę danego rodzaju i gatunku sztuki”⁸.

⁸ M. Kępińska *Zobaczyć świat samemu*, „Odgłosy” nr 43 z 28.10.1979 r.



Rysunek, 1945

Marian Jaeschke uprawiał malarstwo koloryzmu postimpresjonistycznego utrzymane w ścisłych rygorach ładu kompozycyjnego i konstrukcyjnego, selekcyonował i upraszczał motywy. Każdy element formy łączył logicznie z całością, a kształty przedstawiał za pomocą koloru i światła. W późniejszych latach twórczości zrezygnował z silnych kontrastów kolorystycznych, budując formę kolorem, rozmieszczał niewielkimi plamami barwę, rozbielał ją, nasycał światłem.

„Światło jest wszędzie. Kolor współdziałający ze światłem zmienia się, jest obdarzony swoim własnym życiem. W zbliżeniu przestrzennym z innym kolorem nabiera nowych cech, to on kształtuje bryłę w naszym widzeniu. Jest wtedy dziwnie zjawiskowa, krucha. Kolor jest najważniejszy w malarstwie, to on zawiera dla mnie istotę przedmiotu”⁹.

Jego obrazy przepojone są rozwibrowanym światłem i subtelnymi odcieniami pełnej gamy barw.

„Plama barwna, tak jak jej światło, obecna jest wszędzie. Linia zaś zarysowana tam, gdzie następuje kontrastowe spotkanie formy z formą”¹⁰. Plama wibruje, faktura obrazu zmienia się w zależności od działania plamy. Pomiędzy punktowymi plamkami barwy są prześwity aż do bieli podkładu malarskiego. Daje to dodatkowy efekt, służy spotęgowaniu działania światła.

Nie ma tego w obrazach o tonacji ciemniejszej, z przewagą ugrów i fioletów.

W malarstwie Mariana Jaeschke kolor zastępuje walor, nawet cień jest kolorem, nie czernią.

⁹ M. Kępińska, tamże.

¹⁰ M. Kępińska, tamże.

Tak operując barwą i światłem artysta tworzył iluzję dalekiej głębi przestrzeni, a w niej przedmioty jakby nieuchwytne, ulotne, zjawiskowe, niezwykle. Świat rzeczywisty i nierzeczywisty razem – oto MAGIA SZTUKI. Bo i dzieło niepowtarzalnego talentu, osobowości i umiejętności, warsztatu twórcy.

Poza malarstwem sztalugowym zajmował też artystę rysunek, rozumiany jako odrębny rodzaj sztuki, ale też i jako notatka, szkic do późniejszej realizacji. Rysunki te „są przede wszystkim ulotną i niezobowiązującą formą zapisu twórczego artysty”¹¹. Kiedy je oglądamy – „towarzyszy nam nieodparte wrażenie, że szkicując motyw, myślał po malarsku – szukał plam światła i cienia, ich bardziej lub mniej intensywnego kontrastu”¹². Marian Jaeschke traktował więc rysunek jako „swobodną notatkę z natury przeznaczoną do późniejszego opracowania, ale już w przekazie malarskim”¹³.

Z lat studenckich, spędzonych w pracowni Felicjana Kowarskiego, wyniósł artysta umiejętności tworzenia barwnego i dekoracyjnego malarstwa ściennego oraz dekoracji ściennych w technice sgraffito. Pierwszą tego rodzaju pracą były plafony w sali *Pod ptakami* na Wawelu, wykonane wraz z zespołem pod kierunkiem Kowarskiego, z którym to i z L. Pękalskim, Jaeschke współpracował nadal w latach 1936-38, tworząc polichromię innych wnętrz. Z tej dziedziny dokonań po latach wojny nie zachowały się nawet kartony. Po wyzwoleniu wykonywał wiele monumentalnych prac malarstwa architektonicznego oraz sgraffitta na elewacjach ściennych. Również i tej odmianie sztuki potrafił nadać indywidualny rys artystyczny.

Marian Jaeschke miał jeszcze jeden szczególny dar. Potrafił rozwijać talent swoich studentów. Wielu z nich zostało znanymi artystami, niektórzy również profesorami ASP w Łodzi.

Studentom „zaszczerpiał przekonanie, że sztuka wymaga poświęceń i wyrzeczeń”¹⁴.

„Profesor Jaeschke uważany był przez studentów za niewątpliwy autorytet. Siła jego oddziaływania związana była z dorobkiem malarskim i wiedzą, jaką dysponował. [...] Mówił on wielokrotnie, że można być artystą, gdy się ma szczególny stosunek

¹¹ J. Ossowska-Struszczyk, wstęp do katalogu: *Marian Jaeschke. Rysunek*. Łódź, 2000.

¹² Tamże.

¹³ Tamże.

¹⁴ A. Mańczak, *W poszukiwaniu nowych form nauczania*, w: *PWSSP im. Władysława Strzemińskiego...*, s. 75.

do sztuki, który dany jest tylko nielicznym. [...] zawód artysty związany jest z powołaniem. Podstawą jest umiłowanie sztuki¹⁵.

Wpajał studentom potrzebę szukania własnej drogi twórczej przy respektowaniu prawdy natury i zachowaniu jedności konwencji artystycznej.

„Profesor Jaeschke [...] nie narzucał systematycznego porządku w procesie kształcenia. Akcentował rolę studiowania natury w czasie początkowych lat nauki, a później pozostawiał swobodę w wyborze drogi rozwoju malarskiego¹⁶.

„[...] Dużo od uczniów wymagał i był autorytetem dla wielu malarzy, którzy wcale nie szli w jego ślady¹⁷.

Żaden z jego studentów nie kontynuował kierunku jego malarstwa spod znaku koloryzmu, ale bardzo wielu z nich, dziś znakomitych artystów malarzy, spełnia jego nakaz, żeby „nie pójść ułatwioną drogą życiową, żeby zachować wierność sztuce¹⁸.

Marian Jaeschke zmarł 9 lutego 1980 roku.

Jako ilustracje wykorzystano reprodukcje prac artysty zawarte w katalogach wystaw:

– *Marian Jaeschke, malarstwo. Jubileusz 40-lecia pracy twórczej*, Łódź 1975.

– *Marian Jaeschke, rysunek*, Łódź 2000.

¹⁵ M. Kępińska, tamże, s. 115.

¹⁶ G. Sztabiński, tamże, s. 115.

¹⁷ H. Anders, *Wspomnienia i refleksje o Szkole*, tamże, s. 41.

¹⁸ M. Kępińska, tamże, s. 95.

Henryk Chmielewski, Andrzej Frontczak

Jubileusz 55-lecia działalności Spółdzielni Pracy Lekarzy Specjalistów w Łodzi

Pod koniec II wojny światowej, po wyzwoleniu Łodzi z okupacji niemieckiej przystąpiono do organizacji pomocy medycznej dla mieszkańców naszego miasta.

Sytuacja materialna placówek medycznych była wyjątkowo trudna. Pomieszczenia zdewastowane i ograbione przez wycofującego się okupanta.

Zabezpieczenie medyczne mieszkańców było skromne, bo i kadra medyczna była wyjątkowo mała. W tym czasie w Łodzi pracowało zaledwie 150 lekarzy. To stwierdzenie nie jest pewne, bowiem bezpośrednio po wyzwoleniu nie było możliwym ustalić pewnych danych.

Pod koniec 1945 r. z pozyskanych danych z dn. 9.11.1945 r. wynikało, iż w Łodzi zameldowanych było 500 000 mieszkańców. W tym też czasie zarejestrowanych było 441 lekarzy medycyny, 202 lekarzy stomatologów, 196 farmaceutów, 30 felczerów, 295 pielęgniarek, 215 położnych i 196 techników dentystycznych, którzy zatrudnieni byli w 9 szpitalach, przychodniach, w prywatnych gabinetach lekarskich oraz aptekach.

Ta działalność prowadzona była w ramach sektora publicznego, którego właścicielem było państwo oraz samorząd.

Potrzeby na usługi medyczne w ramach dotychczasowych zabezpieczeń były niewystarczające. Zaczęto rozważać powstanie spółdzielni lekarskich.

30 kwietnia 1946 r. decyzją Walnego Zgromadzenia Organizacyjnego, które odbyło się w lokalu Szkoły Młodszych Oficerów Służby Zdrowia, powołana do życia została Spółdzielcza Przychodnia Lekarzy Specjalistów z siedzibą przy ulicy Piotrkowskiej 3.

Jak wynika z zachowanych dokumentów, w Zgromadzeniu Organizacyjnym brało udział 15 członków założycieli – byli nimi: Maurycy Glazer, Bronisław Grodecki, Władysław Landau, Henryk Markiewicz, Henryk Maszler, Józef Mazurek, Ludwik Mazurek, Józef Panowski, Laura Pytlówna, Kazimierz Rytter, Jan Goldstein, Naftali Stempa, Tadeusz Śląski, Włodzimierz Śmiałowski, Izidor Vogel.

Pierwszym prezesem Zarządu został Józef Mazurek, a przewodniczącym Rady Nadzorczej – Ludwik Mazurek.

Na Walnym Zebraniu rozpatrzono i przyjęto Statut Spółdzielni. Z zawartych w nim paragrafów wynikało, iż terenem działalności Spółdzielni jest wielka Łódź, a działalność będą prowadzić zarobkowo pracujący w zawodzie lekarskim, stomatologicznym i farmaceutycznym. Dalsza legalizacja Spółdzielni następuje bardzo szybko. Już 18 maja 1946 r. Statut Spółdzielni zostaje zatwierdzony przez Związek Rewizyjny Spółdzielni RP. Nowo powstała Spółdzielnia zostaje przyjęta na członka Łódzkiego Związku Spółdzielni Pracy, a także do Centralnego Związku Spółdzielni Pracy w Warszawie.

Sąd Okręgowy w Łodzi zarejestrował Spółdzielnię w Wydziale Rejestru Handlowego pod numerem RS 284/46.

W dniu 3 lipca 1946 r. Spółdzielnia stała się członkiem Związku Rewizyjnego. Tym samym zakończył się okres legislacyjno-organizacyjny Spółdzielni, która uzyskała osobowość prawną, zdolność do realizacji zadań statutowych.

Zarząd Spółdzielni systematycznie poszerza usługi medyczne zatrudniając specjalistów o wysokich kwalifikacjach i z różnych dziedzin medycyny. Spółdzielnia pozyskuje znakomitych specjalistów z dyscyplin zachowawczych (chorób wewnętrznych, pediatrii, neurologii, psychiatrii, laryngologii, ginekologii, stomatologii i innych). Spółdzielnia pozyskuje nowe lokale, a tym samym zwiększa się liczba kadry medycznej i administracyjnej.

W Spółdzielni zatrudnionych w 1961 r. jest 209 członków w 6 lecznicach: przy ul. Piotrkowskiej 3, 5, 16, 85, Rewolucji 1905 r. nr 3 oraz Gdańskiej 111.

W przychodniach tych znajdowały się już gabinety diagnostyki rentgenowskiej, pracownia dentystryczno-protetyczna, analiz lekarskich i fizykoterapii. Lekarze różnych specjalności pracowali nie tylko stacjonarnie w gabinetach, ale także wizytowali chorych w miejscu zamieszkania, pobierali materiał do analiz medycznych, wykonywali różne zabiegi.

Stale zwiększająca się ilość medycznych usług zarówno diagnostyczno-leczniczych jak i rehabilitacyjnych wymagała dostosowania statutów organizacyjnych do istniejących potrzeb i nowego określenia zadań Spółdzielni.

21 XI 1957 r. na Walnym Zgromadzeniu członków przyjęto nowy statut, który m.in. ustanowił nową nazwę Spółdzielni na „Spółdzielnia Pracy Lekarzy Specjalistów w Łodzi”.

W Statucie tym zapisano, iż celem Spółdzielni jest „niesienie pomocy lekarskiej dostępnej dla najszerszych rzesz społeczeństwa”, a także „zarobkowe zatrudnianie członków na zasadach spółdzielczego samorządu pracy zgodnie z założeniami narodowego planu gospodarczego”. Statut też określił formy realizacji tych celów, tj. organizowanie przychodni lekarskich, lekarsko-dentystycznych, laboratoriów, gabinetów rentgenowskich i fizyoterapeutycznych, badania środowiska. Badania wykonywane w laboratorium były znakomitym uzupełnieniem badań prowadzonych przez inne państwowe służby medyczne, np. przez Państwową Stację Sanitarno-Epidemiologiczną.

Oprócz naszej Spółdzielni na terenie Łodzi działały także mniejsze inne spółdzielnie takie jak: Spółdzielnia Pracy Usług Lekarskich, Diagnostyczna Spółdzielnia Pracy Lekarzy Specjalistów Zdrowia z siedzibą przy ul. 11 Listopada 2 oraz Spółdzielnia Lekarzy Specjalistów Województwa Łódzkiego z siedzibą przy ul. Piotrkowskiej 15.

17 kwietnia 1976 r. uchwałą Zarządu Krajowego Związku Usługowych Spółdzielni Pracy postanowiono dokonać połączenia wszystkich spółdzielni w Spółdzielnię Pracy Lekarzy Specjalistów, która od 16 sierpnia stała się członkiem Łódzkiej Usługowej Spółdzielni Pracy zrzeszającej osoby prawne, działając na zasadach prawa spółdzielczego. 28 grudnia 1978 r. na zebraniu założycielskim Spółdzielnia Pracy Lekarzy Specjalistów wyłączyła się z Łódzkiej Usługowej Spółdzielni Pracy uzyskując pełną prawną osobowość i rozpoczęła samodzielną działalność dla województwa miejskiego łódzkiego.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że dynamiczny rozwój Spółdzielni Lekarskiej był związany z zatrudnieniem w niej wspaniałych specjalistów, samodzielnych pracowników nauki (profesorów, docentów), adiunktów, asystentów kliniki, ordynatorów oddziałów i ich zastępców oraz szeregu innych, bardzo wysokiej klasy specjalistów.

Dzięki tej kadrze medycznej do Spółdzielni zgłaszali się nie tylko pacjenci z terenów Łodzi, województwa łódzkiego, ale także

z innych województw naszego kraju, a w nielicznych przypadkach i z zagranicy.

Istniejąca na terenie Łodzi niewielka liczba gabinetów lekarsko-medycznych świadczyła usługi dla dość wąskiego grona mieszkańców naszego miasta i województwa. Zatem usługi medyczne świadczone w Spółdzielni Pracy Lekarskiej Specjalistów były istotnym wkładem w dzieło ochrony zdrowia łodzian. Należy wspomnieć, iż np. w latach 1979–1983 liczba przyjętych pacjentów waha się od 1 014 031 do 1 060 876 osób rocznie. Wraz ze zwiększeniem ilości udzielanych porad wzrastało zatrudnienie i tak dla przykładu w 1986 r. zatrudnionych było 1120 osób, w tym 532 lekarzy, w tym 35 profesorów medycyny, 51 docentów, 147 ordynatorów i adiunktów, 132 lekarzy stomatologów, 153 średniego personelu medycznego, 206 osób obsługi technicznej i zaledwie 38 personelu administracyjnego.

Wraz ze wzrostem kadry medycznej, powstały przychodnie lekarskiej przy ul. Przybyszewskiego 113, Kościuszki 67, Rojnej 39, Boya Żeleńskiego 12, Piotrkowskiej 85 oraz po dwie w Pabianicach i Zgierzu. Do 1989 r. Spółdzielnia Pracy Lekarzy Specjalistów była praktycznie monopolistą w zakresie świadczonych usług mieszkańcom naszego miasta i województwa i innych regionów kraju. Na przełomie 1989/1990 r. w wyniku zmian gospodarczo-politycznych w państwie zmieniły się warunki opieki zdrowotnej w Polsce w tym także w Łodzi, zaczęły powstawać liczne, mniejsze lub większe spółki medyczne, otwarte zostały liczne gabinety prywatne lekarzy. W tej sytuacji w Spółdzielni przyjęto politykę utrzymywania wysokiej jakości usług medyczno-diagnostycznych z równoczesnym uwzględnieniem rachunku ekonomicznego.

Nastąpiła likwidacja placówek w Pabianicach, Zgierzu, a działalność Spółdzielni skoncentrowana została w lecznicach przy ul. Piotrkowskiej 17 i 85, Kościuszki 67, Rojnej 39.

W miarę możliwości finansowych modernizowane były i są nadal nasze lecznice tak w zakresie wystroju zewnętrznego jak i wyposażenia w nowoczesny sprzęt diagnostyczny czy rehabilitacyjny. Wejścia do lecznic są odnowione, dobrze oświetlone w dużych i estetycznych oknach znajdują się czytelne tablice informacyjne. Umieszczone zostały tytuły, nazwiska i rodzaj specjalności poszczególnych lekarzy, pracujących w danej lecznicy.

We wszystkich lecznicach dokonano zasadniczych prac remontowo-modernizacyjnych. Kasy, poczekalnie, które stanowią miejsca pierwszego kontaktu na linii pacjent – placówka zdrowia,

zmieniły swój wygląd na pomieszczenia estetyczne i zadbane, a personel (kasjerki, rejestratorki) we właściwy sposób obsługują chorych.



Lecznica, al. Kościuszki 67



Lecznica, ul. Piotrkowska 3/5



Wyremontowana kasa



Laboratorium



Należy również podkreślić, że w zakresie badań morfotycznych, cytologicznych, histopatologicznych, bakteriologicznych, biochemicznych, enzymatycznych i hormonalnych wykorzystuje się najnowszą aparaturę diagnostyczną, a wyniki uzyskane są całkowicie wiarygodne.

Tych kilka zdjęć jest ilustracją pracy na współczesnej aparaturze, a badania te wykonują znakomici specjaliści.

← Laboratorium



W poszczególnych lecznicach wykonuje się badania m.in. ultrasonograficzne (zdjęcie po lewej), endoskopowe (zdjęcie w środku), encefalograficzne (zdjęcie po prawej).

Praca stomatologów uległa znacznej poprawie, bowiem w wyremontowanych gabinetach zainstalowano nowoczesną aparaturę. Zatem zabiegi stomatologiczne stały się nowoczesne przy użyciu współczesnych technik stomatologicznych i nie są tak przykre dla pacjentów, jak to bywało dawniej.

Aktualnie w Spółdzielni zatrudnionych jest 588 osób, w tym 364 lekarzy. Największą grupę wśród lekarzy stanowią interniści posiadający specjalizacje z: endokrynologii, gastrologii, kardiologii, pulmonologii.

Godnym zwrócenia uwagi jest fakt, iż w grupie lekarzy jest zatrudnionych 30 profesorów medycyny, 30 docentów, 113 lekarzy posiadających stopień doktora.

W grupie osób posiadających stopnie i tytuły naukowe to czynni kierownicy klinik, ordynatorzy oddziałów szpitalnych w Łodzi – to pracownicy Akademii Medycznej i Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi oraz Instytutu Medycyny Pracy.

Stomatolodzy stanowią mniejszość lekarską – 45 osób, zaś w Laboratorium Analiz Lekarskich zatrudnionych jest 33 lekarzy, magistrów i techników.

W Zarządzie Spółdzielni i biurze zatrudnionych jest łącznie 20 osób, co stanowi 3,4% wszystkich zatrudnionych w Spółdzielni.

Wysoka jakość świadczonych usług lekarskich i diagnostycznych sprawia, iż wielu pacjentów leczących się w Spółdzielni wykazuje się „stażem” 15–20-letnim. W Spółdzielniach przyjmowani są pracownicy różnych podmiotów gospodarczych, którzy są objęci opieką medyczną (lekarsko-diagnostyczną). Wykonywane są im badania profilaktyczne, wstępne i kontrolne uprawniające do wykonywania pracy w różnych zawodach (kierowcy, sprzedawcy, pracujący na wysokościach itp.). Spółdzielnia ma podpisane kontakty z Regionalną Kasą Chorych na usługi stomatologiczne oraz orzecznicze w zakresie lecznictwa balneo-klimatycznego.

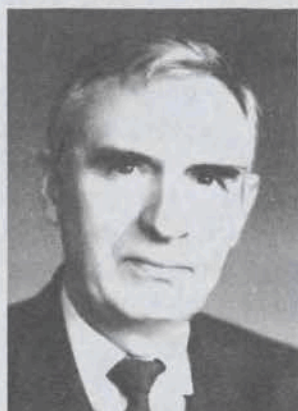
Dokonano także dyslokacji Zarządu i Biura Spółdzielni do pomieszczeń przy ul. Piotrkowskiej 17, gdzie obok znajduje się Laboratorium Analiz Lekarskich. Zarząd Spółdzielni wraz z Radą Nadzorczą zwraca szczególną uwagę na problem bezpieczeństwa i higieny pracy likwidując miejsca i punkty, które mogłyby być szkodliwe dla personelu pracującego.

Spółdzielnia realizowała i realizuje swoje zadanie w oparciu o Statut i jego spółdzielcze zasady. Stąd też kierowaniem spółdzielnią zajmował się Zarząd, Rada Nadzorczą, a oceny ich działalności dokonywano na corocznych walnych zebraniach.

Na przestrzeni 55 lat funkcje te pełniły lub pełnią powołane osoby.

Przewodniczący Rady Nadzorczej	Prezesi Zarządu
Mazurek Ludwik Dzierżanowski Mieczysław Goldstein Jan Korczyński Eugeniusz Maziarz Zbigniew Dec Waław Chmielewski Henryk	Mazurek Józef Januszkiewicz J. Kokot Stanisław Olejniki Jan Amanowicz Zygmunt Karbowska Zofia Wagnowski Mirosław Kowalska Danuta

Obecnie nadal do pracy przyjmowani są nowi specjaliści na miejsce przechodzących na emeryturę zasłużonych pracowników. Nie sposób wymieniać szczegółowo wszystkich spraw, którymi zajmują się Zarząd i Rada Nadzorczą. Należy podkreślić wysoce efektywną, rzetelną i racjonalną pracę Zarządu Spółdzielni z jej Prezesem – Danutą Kowalską.



Kolejno od lewej: poprzedni przewodniczący Rady Nadzorczej prof. dr hab. med. Waclaw Dec; prezes Zarządu Spółdzielni – Danuta Kowalska; przewodniczący Rady Nadzorczej prof. dr hab. med. Henryk Chmielewski

Reasumując: założona przed 55 laty malutka Spółdzielnia rozrosła się i na stałe wpisała złotymi zgłoskami w dzieło ochrony zdrowia mieszkańców naszego miasta, zyskując uznanie pacjentów i pracowników.

Bibliografia:

1. J. Fijałek, J. Indulski, J. Supady, *Opieka zdrowotna w Łodzi od roku 1945, Studium organizacyjno-historyczne*, Łódź 1985.
2. *Systemowo-organizacyjna ewolucja opieki zdrowotnej w latach 1945–1995/1996*, Akademia Medyczna w Łodzi, 1996.

Alicja Łaska-Formejster

Skargi łodzian do Rzecznika Lekarskiej Odpowiedzialności Zawodowej w latach 1990-1998

Autonomia i poszanowanie praw pacjenta łączy się z odpowiedzialnością postawą lekarza. Każda osoba pełniąca określoną rolę zawodową bierze na siebie także odpowiedzialność za podejmowane decyzje bądź działania. W zależności od wykonywanych czynności odpowiedzialność ta może być obwarowana odpowiednimi sankcjami. Ze względu na fakt, iż w zakres czynności podejmowanych przez lekarza wchodzi wszelkie działania związane ze zdrowiem i życiem ludzkim, a więc najcenniejszymi dobrami ludzkimi, odpowiedzialność ta jest tym bardziej istotna. Minęły czasy, kiedy szkodę doznana przez pacjenta traktowano jako nieszczęśliwy wypadek, a lekarza stawiano poza wszelką odpowiedzialnością. Znaczącym jest również fakt, iż w ostatnich latach pacjenci są bardziej wyczuleni na poprawny aspekt przebiegu relacji lekarz-pacjent i w razie niezaspokojenia oczekiwań lub wystąpienia uchybień w procesie leczenia składają skargi do Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej. Wyniki badań zrealizowanych przeze mnie w Okręgowej Izbie Lekarskiej w Łodzi wyraźnie o tym świadczą.

Interesującym zagadnieniem wydaje się analiza zachowań lekarzy, które zostały ocenione przez pacjentów na tyle negatywnie, iż osoby te zdecydowały się na złożenie skargi w Kancelarii Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej. Niespełnienie oczekiwań i potrzeb pacjentów, niewłaściwie przebiegająca interakcja z lekarzem oraz nieadekwatne zachowanie w stosunku do osoby potrzebującej pomocy lekarskiej może być powodem podjęcia decyzji o złożeniu skargi. Jakie zachowania, czynności bądź działania lekarzy nie są akceptowane przez pacjentów oraz czy

priorytetowa rola lekarza rodzinnego w strukturze zreformowanego leczenia otwartego może sprzyjać zmniejszeniu tego typu zachowań? Oto pytania problemowe podjętych badań empirycznych.

Badania empiryczne przeprowadzone zostały w lipcu i sierpniu 1997 roku oraz w lipcu 1999 roku. Analiza treści materiałów objęła skargi pacjentów złożone w latach 1990-1998. Na podstawie analizy treści złożonych skarg mogłam zbudować kategorie rodzajów przewinienia oraz kategorie określające specjalności, w ramach których dokonano przewinienia. Cel podjętych badań zakładał bowiem, między innymi, ustalenie charakteru skarg oraz rodzajów specjalności, których te skargi dotyczyły.

Wyodrębnione kategorie rodzajów przewinienia to:

- ♦ **Śmierć** (wszelkie działania, podjęte bądź nie, które w opinii skarżących doprowadziły do skutku śmiertelnego).

- ♦ **Uszkodzenie ciała** bądź powikłania chorobowe (działania, w wyniku których pacjent doznał trwałego uszkodzenia bądź też z działaniami lekarza związane były poważne powikłania chorobowe).

- ♦ **Korzyść materialna.**

- ♦ **Poświadczenie nieprawdy** (wszelkie działania, w efekcie których lekarz fałszuje prawdę, np. wydawanie zaświadczeń niezgodnych z prawdą).

- ♦ **Nieetyczne zachowanie lekarza** (ta kategoria jest szeroka, ponieważ zawiera każde zachowanie, które można scharakteryzować jako nieetyczne, naruszające etyczne zasady postępowania lekarza, uwłaczające godności lekarskiej, stanowiące podstawy odpowiedzialności zawodowej).

- ♦ **Konflikt między lekarzami.**

- ♦ **Naruszenie praw chorych psychicznie.**

- ♦ **Inne przyczyny.**

Skargi dotyczyły działań:

- ♦ **Internistycznych w stosunku do dzieci.**

- ♦ **Internistycznych w stosunku do dorosłych.**

- ♦ **Chirurgicznych w stosunku do dzieci.**

- ♦ **Chirurgicznych w stosunku do dorosłych.**

- ♦ **Ginekologiczno-położniczych.**

- ♦ **Psychiatrycznych.**

- ♦ **Innych.**

Na podstawie przeprowadzonej analizy treści spraw można stwierdzić, iż ilość skarg napływających do Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej w Łodzi sukcesywnie się zwiększała. Szczegółowe dane prezentuje tabela 1.

Tabela 1. Liczbowa charakterystyka skarg składanych w latach 1990-1998

Rok	Liczba spraw
1990	140
1991	124
1992	144
1993	150
1994	173
1995	148
1996	165
1997	182
1998	179
suma	1405 spraw

Źródło: opracowanie własne.

W większości spraw dominowały skargi na złą pracę lekarzy, lekceważący stosunek do pacjentów i ich rodzin. Skargi dotyczyły głównie zaniedbań lekarzy w stosunku do chorych, co zdaniem skarżących spowodowało pogorszenie stanu zdrowia, a w niektórych sytuacjach nawet skutek śmiertelny. Uzyskiwanie korzyści materialnej, czyli przyjmowanie wynagrodzenia od pacjentów za wykonane czynności, to zarzut, który bardzo rzadko stawiany był lekarzom. Konflikty między lekarzami pojawiały się dość często w analizowanych materiałach, aczkolwiek zarzut niewłaściwego przebiegu relacji lekarz-lekarz częściej podnoszony był w pierwszej połowie (do 1994 roku) spraw poddanych analizie. Naruszenie praw chorych psychicznie, w ogólnym zestawieniu, nie było częstym wykroczeniem jako przewinienie zawodowe. Dość liczna była kategoria skarg określona jako „inne”. W ramach tej kategorii przewinień mieściły się również zachowania lekarzy, które nie zaklasyfikowały się do pozostałych kategorii, jak np.: zażalenie dotyczące sposobu leczenia w szpitalu więziennym, popełnienie zaniedbań i błędów w trakcie leczenia uzdrowiskowego, nadmierne wypisywanie recept na środki narkotyczne, sprawa dotycząca przenikania treści o charakterze tajemnicy lekarskiej na łamy prasy, prośba o pomoc w przywróceniu nauczania indywidualnego u chorego dziecka, kwestia podej-

rzenia aborcji. W tej kategorii mieściło się wiele bezzasadnych skarg, spraw o charakterze administracyjnym, których załatwienie nie leży w kompetencji rzecznika, skarg dotyczących ustaleń wydawanych przez komisje do spraw zatrudnienia oraz składanych przez osoby chore psychicznie, nie stanowiących o znamionach wykroczenia zawodowego lekarzy.

Rozkład skarg według wyznaczonych kategorii przewinienia ilustruje tabela 2.

Tabela 2. Rozkład skarg według kategorii przewinienia

Kategoria skarg według rodzaju przewinienia	Charakter skargi	Ogólna liczba skarg złożonych w l. 1990-1998
Śmierć	Zaniedbania, których skutkiem była śmierć	133
Uszkodzenie ciała	Zaniedbania, których skutkiem były zmiany chorobowe	409
Korzyść materialna	Przyjęcie wynagrodzenia od pacjenta za wykonanie czynności	20
Poświadczenie nieprawdy	Fałszowanie dokumentów, zarzut co do zasadności i prawidłowości wydania zezwolenia lekarskiego, wydanie zaświadczenia bez badania pacjenta.	36
Nieetyczne zachowanie	Odmowa udzielenia pomocy, niegrzeczne zachowanie lekarza, zlekceważenie zgłoszonych dolegliwości, brak dołożenia należytej troski i staranności, zaniedbanie obowiązków	227
Konflikt między lekarzami	Wyrażanie wątpliwości dotyczących kompetencji medycznych, aroganckie zachowanie	53
Naruszenie praw chorych psychicznie	Błędne wydanie opinii biegłych psychiatrów o stanie chorego, niewłaściwy stosunek do pacjentów	69
Inne	j.w.	458

Źródło: opracowanie własne na podstawie analizy treści skarg składanych u Okręgowego Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej w Łodzi.

Wśród spraw, które napłynęły do Kancelarii Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej dominowały skargi dotyczące leczenia internistycznego oraz skargi na działalność specjalności zabiegowych, głównie chirurgii. W wielu skargach powtarzał się zarzut braku przeprowadzenia dokładnej diagnozy oraz badań. Skargi dotyczyły także zaniedbań w procesie leczenia. W tabeli 3

została przedstawiona charakterystyka wszczęcia bądź odmowy załatwienia wpływających skarg według specjalizacji, których te skargi dotyczyły.

Tabela 3. Stosunek Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej do poszczególnych skarg według specjalizacji, których skargi dotyczyły w latach 1990-1998.

Specjalizacje, których dotyczą skargi	Odmowa wszczęcia postępowania	Wszczęcie postępowania wyjaśniającego	Ogółem
Interna – dzieci	10	51	61
– dorośli	71	198	269
Chirurgia – dzieci – dorośli	2	24	26
	56	172	228
Ginekologia i położnictwo	21	80	101
Psychiatria	46	44	90
Stomatologia	26	109	135
Inne	175	320	495
Ogółem	407	998	1405

Źródło: opracowanie własne na podstawie analizy treści skarg składanych u Okręgowego Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej w Łodzi.

Z przedstawionych danych wynika, że w przypadku ponad jednej trzeciej spraw, które napłynęły w latach 1990-1998, rzecznik podjął decyzję o odmowie wszczęcia postępowania wyjaśniającego ze względu na brak znamion wykroczenia zawodowego lekarza, brak dowodów, przedstawienie sprawy bądź charakter skargi, której rozpatrzenie nie należy do zakresu obowiązków i uprawnień Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej. Jednak w przypadku niemal 1000 spraw rzecznik uznał zasadność wniesionej skargi. Niepokojącą jednak jest sytuacja, iż liczba skarg sukcesywnie się zwiększała. Poszkodowani najczęściej skarżyli się na działania lekarzy specjalności internistyczno-pediatrycznych oraz specjalności zabiegowych, głównie chirurgów. Dość liczna jest także kategoria skarg składanych na lekarzy stomatologów. W większości spraw dominowały skargi dotyczące zaniedbań pracy lekarskiej, których skutkiem było pogorszenie stanu chorego, skarżono się na złą pracę lekarzy, lekceważący stosunek do chorego, arogancję. Skargi dotyczące nieetycznego zachowania lekarza także stanowiły znaczną część rozpatrywanych spraw. Na kolejnym miejscu, biorąc pod uwagę liczbę

złożonych skarg, najczęstszym przewinieniem lekarzy były zaniebdania dotyczące okoliczności śmierci bliskiej osoby. Naruszenie praw chorych psychicznie oraz konflikt między lekarzami występował znacznie rzadziej w stosunku do innych przewinień.

Podsumowanie

Na podstawie analizy treści skarg można uznać, iż niemal każdy rodzaj przewinienia zawodowego, opisywanego w skargach, może wystąpić w działaniach lekarza rodzinnego. Jednak w odniesieniu do tej specjalizacji nie wpłynęła żadna skarga, mimo iż przedstawiciele medycyny rodzinnej prowadzą swoją działalność od niemal 1994 roku. Można jedynie przypuszczać, iż niektórych czynności zaskarżonych w stosunku do lekarzy internistów bądź pediatrów mógł dokonać lekarz, który w późniejszym czasie mógł uzyskać specjalizację z medycyny rodzinnej. Podkreślam jednak, iż są to tylko przypuszczenia nie znajdujące odbicia w zrealizowanych badaniach. Można wysnuć zatem wniosek, iż reformatorskie działania w odniesieniu do priorytetowej roli lekarza rodzinnego w strukturze podstawowej opieki zdrowotnej mogą przyczynić się w jakimś stopniu do zmniejszenia liczby napływających skarg do Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej. Zapewne lekarz rodzinny nie jest w stanie zaspokoić wszystkich oczekiwań i potrzeb pacjentów, zatem ewentualne skargi dotyczące innych specjalności mogą się nadal pojawiać. Sądzę jednak, iż wielu z tych skarg można uniknąć, gdyż dotyczą one niewłaściwego przebiegu interakcji pomiędzy lekarzem i pacjentem. Częstym zarzutem była odmowa udzielenia pomocy, bądź udzielenie pomocy pobieżnej, bez zaangażowania. Zatem właściwa postawa lekarza, zaangażowanie w proces leczniczy podopiecznych, konstruktywny przebieg interakcji mogą w znacznym stopniu wpłynąć na realizowanie oczekiwań i potrzeb podopiecznych oraz zmniejszenie niezadowolenia z przebiegu wizyty a w efekcie – redukcję ilości składanych skarg.

Bibliografia:

1. A. Gubiński, *Komentarz do Kodeksu Etyki Zawodowej*, Warszawa 1994.
2. M. Nesterowicz, *Prawo medyczne*, Toruń 1994.
3. M. Sośniak, *Cywilna odpowiedzialność lekarza*, Warszawa 1989.

Jerzy Rożniecki

Akademickie impresje

Przydałby mi się magiczny, syntetyczny okular, którym by można było spojrzeć na majestat wyższej uczelni okiem wiejskiego chłopca, okiem rozbudzonego maturzysty i okiem utytułowanego profesora, o którym można by było sądzić, że... No właśnie. Jakże trudno o jednoznaczność.

Jako chłopiec nie miałem w rodzinie kogokolwiek, kto by studiował, ba, nawet ukończył szkołę średnią. We wsi jedynym był doktor L. R., który przed wojną ukończył studia medyczne... Poza nim ani w gminie, ani w parafii, poza księdzem, nie znałem takiego. Uczyli mnie nauczyciele po seminarium nauczycielskim. Oceniając ex post mogę powiedzieć, że byli to świetni fachowcy, a jak wojna wykazała – gorący patrioci.

Jako maturzysta, pierwszy w rodzinie, siedziałem na czardziejskim dywaniku, który mnie uniósł na wydział lekarski, wtedy jeszcze – Uniwersytetu Łódzkiego.

Nareszcie. Wymarzona, z pewnością od pokoleń, biała rogatywka z zielonym otokiem i czarnym sznureczkiem. Medycyna. Inauguracja w sali ówczesnej operetki Lutnia. Za stołem, na podium profesor Tadeusz Kotarbiński, rektor wspólnej jeszcze wtedy Universitatis.

Otrzeźwienie. Brutalna, to może za mocne, ale szorstka konfrontacja stereotypowych opinii i wyobrażeń o istocie medycyny z rzeczywistością, przeładowaną nużącą i dla większości – pamięciową anatomią prawidłową. Wysublimowana wrażliwość, wiedza humanistyczna, nawet biologia nie znajdują jeszcze, a dla niektórych w ogóle, zastosowania. Już ciekawiej na fizjologii, a zupełny smak medycyny ma, również i dzisiaj niedoceniana, patofizjologia. Równocześnie początki (propedeutyka) dyscyplin klinicznych. Ciekawi i mądrzy asystenci i profesorowie. Żywe

przykłady, wzory osobowe. Jak chociażby niezapomniany profesor Aleksander Pruszczyński, patomorfolog, wychowawca wielu profesorów, ale jakże serdecznie wspominany przez każdy rocznik. Mądry lekarz, urzekający nauczyciel, troskliwy opiekun. Emanował sobą. Byli też ciekawi, mądrzy – choć każdy inaczej – interniści, profesorowie: Wacław Grott, Jerzy Jakubowski i Wacław Markert.

Jako wychowanek Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, trochę siermiężny, ale z rozpaloną głową, rozczytany w Żeromskim, zapatrzony w Judyma i mający kontakty z podobnymi sobie, starszymi kolegami – Henrykiem Rafalskim i Jerzym Serejskim, choć ten nie był siermiężny, chciałem być lekarzem całego społeczeństwa, krzywiczych, niedożywionych i zagruźliczonych dzieci wiejskich i miejskich, zaniedbanych środowisk robotniczych. Epidemia gruźlicza grasowała wszędzie, a w szczególności w Łodzi, jaglica występowała endemicznie pod Wieluniem, kołtun (*plica polonica*) zdarzał się pod Rawą. Trafiłem do kółka naukowego przy Katedrze Higieny Ogólnej i Społecznej profesora Emila Palucha, już wtedy także rektora – szkoda, że wyodrębnionej z Uniwersytetu Akademii Medycznej. Zbierałem wywiady epidemiczne podczas groźnej zgiersko-łódzkiej epidemii duru brzuszego. Badałem stan wilgotności i zapylenia w tkalniach i przędzalniach. Na obozie naukowo-społecznym w Burzeninie wykonywałem próby tuberkulinowe u krów. Znalazłem związki między zagruźliczeniem bydła a występowaniem dodatkich, nieposzczepiennych odczynów tuberkulinowych u dzieci, co prowadziło do ponurych skojarzeń. Zająłem pierwsze miejsce na konkursie kół naukowych, od pani prorektor Zofii Jerzmanowskiej otrzymałem w nagrodę – teczkę. Referat wygłosiłem również na posiedzeniu Towarzystwa Naukowo-Lekarskiego. Brzmiał on egzotycznie. Było tak, jakbym mówił o związkach między patologią Buszmenów a patologią słoni. Komuś się naraziłem. No cóż. Byłem wtedy jeszcze „pryszczaty”.

Nauczyłem się statystyki u (wtedy doktora) profesora SGPIS Eugeniusza Grzelaka, ucznia wybitnego demografa prof. Edwarda Rosseta. To mi pozostało z tych młodzieńczych studiów nad medycyną społeczną. Statystyka, która dla wielu wtedy, a dla niektórych współcześnie, była niejako dekoracją dysertacji i innych prac, czasem już po zredagowaniu wniosków, okazała się bardzo pomocna w pracy naukowej. Mimo że zajmuję się medycyną kliniczną, czyli sztuką – mam nadzieję mądrego – pochylania się na łóżkiem chorego, pozostało mi trochę umiejętności, a

przede wszystkim respekt dla zdrowia społecznego, pełniejsze rozumienie społecznych i zawodowych uwarunkowań zdrowia. Bardzo mi się to przydało przy badaniach nad gruźlicą w różnych środowiskach, nad astmą u piekarzy, nad bronchitami i rozedmą płuc u pracowników hut szkła oraz kombinatu chemicznego, wreszcie nad stanem zdrowia wylosowanej, reprezentatywnej grupy mieszkańców Łodzi. Badania ostatnie i niektóre poprzednio wymienione prowadziłem w ścisłym porozumieniu z wybitnym znawcą medycyny społecznej profesorem Januszem Indulskim. Moje żywiołowe gotowanie się do walki o zdrowie narodu zostało niestety przerwane przez badania małoobrazkowe studentów. Otóż wykryto u mnie gruźlicę, otwartą i rozległą. Szpital na Chojnach oraz dwa razy po pół roku w sanatoriach w Zakopanem. Podczas drugiego pobytu byłem poddany operacji. Nie dowierzano stosowanej już zbawiennej chemioterapii, której przecież zawdzięczam życie. Pamiętam, że gdy położyłem się na łóżko szpitalne, według relacji moich towarzyszy niedoli, miałem powiedzieć półgłosem do siebie, że nareszcie odpocznę i poczytam. Zapewniam, że nie był to masochizm ani, paradoksalny przecież, hedonizm, a z pewnością stan wyczerpania. Stały rytuał leżakowania na werandach z widokiem na Giewont, rozkoszowanie się w środy, podobnie jak teraz, koncertami szopenowskimi. Niezapomniane lektury – Romain Rolland, Erich Maria Remarque, Wiktor Hugo, Ernest Hemingway i inni. Wreszcie rozmówienie w Wielkim Magu języka polskiego Julianie Tuwimie i Wielkim Czarnoksiężniku Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim.

Akademia pamiętała o mnie. Udzieliła mi urlopu dziekańskiego z prawem zdawania egzaminów. Wypłacała nadal stypendium naukowe. Pamiętam, że w cztery tygodnie po operacji torakalnej, na tzw. przepustce, zdawałem dwa egzaminy – neurologię i medycynę sądową. Musiałem jednak zmienić swoje plany zawodowe. Otóż bardzo lubię dzieci i po wykładach m.in. u profesora Stanisława Popowskiego oraz ćwiczeniach w szpitalu dziecięcym postanowiłem zostać pediatrą. Jako dotknięty gruźlicą mógłbym stać się niebezpieczny dla szczególnie podatnych moich pacjentów. Wtedy, nawet w środowisku medycznym, nie mówiono o wyleczeniu gruźlicy. Używano terminu – zaleczenie. Ja się jednak, dzięki chemioterapii wyleczyłem. Przestałem bać się gruźlicy i zaciekałem się patologią płuc. Poznałem ją także oczami pacjenta, od środka. Akurat powołano w Łodzi Klinikę Ftyzjatriczną pod kierunkiem profesora Jana Stopczyka. Po egzaminie

zapropował mi asystenturę i tak rozpocząłem swoją wielką przygodę, chyba na całe życie, stale modyfikując swoje plany.

Gruźlica na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych miała charakter epidemiczny i była plagą społeczną. W Polsce, według niezbyt wtedy precyzyjnych kryteriów, cierpiało na nią 2% ludności a w Łodzi – 4%. Do tradycyjnej nędzy i kontrastów społecznych „ziemi obiecanej” dołączyło się wojenne wyniszczenie oraz powojenna migracja i żywiołowy napływ ze wsi młodzieży, szczególnie podatnej na ostre postaci tej choroby.

Podczas tych refleksji, szczególnie retrointrospekcji, uświadamiam sobie, iż medycyna była dla mnie najpierw młodzieńszym marzeniem wyrwania się w wielki świat, oczekiwaniem wielkiego spełnienia, później, pod wpływem wyzwania czasu, ambitnym zadaniem społecznym, wreszcie uwolnioną od wielkiego patosu potrzebą pochylenia się nad chorym oraz potrzymania go za rękę pod pozorem mierzenia tętna, a przez cały czas – coraz pełniej uświadamianym przeżyciem intelektualnym i emocjonalnym, angażującym moje już uprzednio wytworzone, a może odkryte, uwrażliwione humanistyczne i przyrodnicze receptory. A stawało się to za sprawą mojego niezapomnianego mistrza, profesora Jana Stopczyka (1901 – 1984). Wywodził się on w prostej linii z polskiej szkoły ftyzjatrycznej, od Alfreda Sokołowskiego, autora *Nauki o suchotach płucnych* i twórcy pojęcia tzw. masek gruźliczych. Jego uczniem był Kazimierz Dąbrowski, o którym mój Mistrz opowiadał: „Dąbrowski to był ostry szef. Dawał temat, termin i mówił: – Stopczyk pisz – a ja cóż, Bóg mi świadkiem, czekam na waszą inicjatywę. Czekam, czekam i nie mogę się doczekać”. Wydaje mi się, że w tej słabości Profesora była najlepsza metoda. Akceleracją zajmowali się adiunkci – mój zwykle bezpośredni przełożony, świetny klinicysta, późniejszy profesor Wacław Sosnowski i Stanisław Kuczborski, także dyrektor szpitala, świetny, wszechstronnie uzdolniony lekarz, pełen unowocześniających inicjatyw, łódzki twórca fizjopatologii oddychania, orędownik postępu. Jest obecnie hołubionym nestorem naszego środowiska. Życzymy mu piastowania tej godności jak najdłużej.

Profesor Stopczyk był miłośnikiem kultury antycznej i to nas też ku sobie zbliżało, zachęcał do poszukiwania własnych dróg, radził, cieszył się z nas. Zagrzewał nas do pracy naukowej, twierdząc, że ona uskrzydla lekarza. Dochował się wielu tzw. samodzielnych. Był wtedy nadal tematem wielu zaprawionych humorem, ciepłych wspomnień. Sądzę, że pod wieloma względami

nadal jest dla mnie wzorem, mistrzem. W sąsiednim szpitalu pracował profesor Marian Zierski, zajmował się szkoleniem podyplomowym. Trochę nasze zespoły ze sobą rywalizowały. Był pionierem i orędownikiem tzw. nowoczesnej chemioterapii, uwzględniającej nie tylko sposoby i kryteria kliniczne i laboratoryjne, ale także społeczne i organizacyjne. Zapewniło mu to światowy rozgłos, a krajowi pożytek. Coraz bardziej sobie to uświadamiam. Mój uczeń – profesor Mirosław Szmidt jest teraz jego następcą.

Chyba jeszcze w pierwszym roku mojej pracy odwiedziłem nasze szpitalne laboratorium o profilu analitycznym i mikrobiologicznym. Nie pamiętam, czy chodziło mi o pogłębienie informacji, czy w samej rzeczy o odwiedzinę atrakcyjnych pracownic. Laboratoria szpitalne są zwykle zatłoczone i czułem się tam jak przysłowiowy słoń w składzie porcelany. Straciłem łokciem pokrywę ze słoja zawierającego wysuszony agar-agar, surowiec do stałych pożywek do hodowli prątków. Pokrywa spadła na posadzkę i stłukła się. Oczekiwałem bury ze strony mądrej, pełnej ciepła i dobroci kierowniczkę, pani doktor Heleny Rutkowskiej. Usłyszałem zaś – kolego, niech się pan nie przejmuje. To dobry omen. Rzeczywiście, ta nie tylko korespondencyjna współpraca z pracownią zaowocowała interesującymi publikacjami na temat osobniczo zróżnicowanego metabolizmu hydrazydu, laboratoryjnych aspektów i klinicznych następstw tego zjawiska. Była to moja droga do doktoratu. Opisałiśmy także, nawet w piśmiennictwie międzynarodowym, różne wykładniki kliniczne niezwykle interesującego fenomenu mikrobiologicznego „visible non viable” polegającego na niewyrastaniu na niektórych pożywkach wydalanych prątków gruźlicy, widocznych już pod mikroskopem. Mimo że upłynęło już około 45 lat, prace te nic nie utraciły na znaczeniu. Snucie tego wątku byłoby głosem truizmów. Pracownice zapewniają nam postęp diagnostyczny, ale także poszerzają horyzonty intelektualne młodych badaczy. Niektórzy z nich przechodzą stosowny trening w ramach tzw. indywidualnego programu studiów. Nasi asystenci odbywają na początku staże w pracowni patofizjologii oddychania, powiązanej z alergią, w pracowni immunologicznej, a także w zakresie biologii molekularnej. Niektórzy z nich studiowali lub studiują odpowiednie kierunki w Uniwersytecie. Szkołą się także w zespole bronchologicznym. Dzięki temu udało się nam uzyskać rozgłos, chyba więcej niż krajowy, w takich dziedzinach, jak: nadreaktywność oskrzelowa jako problem kliniczny i jako metoda diagnostyczna, cytokiny

proinflamacyjne, układ proteazy-antyproteazy w patogenezie rozedmy, nadwrażliwość na niesteroidowe leki przeciwwzapalne, endo- i egzogenne oksydanty oraz mechanizmy antyoksydacyjne, możliwości ochronne i lecznicze w tym zakresie, endogenne czynniki predyspozycyjne do raka płuc u palaczy, wreszcie immunologiczne kryteria oceny czynności procesu gruźliczego. Gruźlica bowiem przestała już być żalosnym problemem egzystencjalnym, opiewanym w *Traviacie* i *Czarodziejskiej górze*, tragedią wielu rodzin i pokoleń, zwłaszcza dzieci i młodzieży. Spadła śmiertelność, umieralność, spada, choć wolniej, chorobowość, ale nie można sobie poradzić z zapadalnością, z nowymi zachorowaniami. Być może przesadnie zawężiliśmy pole obserwacji przyczyn gruźlicy do prątków Kocha, a w istocie rzeczy dominuje tu rola odporności, gdyż tylko 5% osób zakażonych zachoruje na gruźlicę. Opinię tę potwierdza fakt, iż chorzy na AIDS, z załamaniem odporności w następstwie zakażeń wirusem HIV, z reguły zachorowują i wymierają na gruźlicę.

Zgadzam się, że za dużo tego, ale nie potrafię odpowiedzieć dlaczego. Od biedy, zgodnie z prawdą, byłoby można zmieścić pod tytułem – choroby płuc i oskrzeli lub co najwyżej pod trzema tytułami, ale nie lubię nic nie mówiących ogólników. Stoją za tym moi ambitni współpracownicy, ale o tej mojej wielkiej przygodzie i wyzwaniu później.

Najpierw o moich wymienionych już wierzycielach. Zaiste, jakże niepełna ich lista. Uczyłem się przecież nie tylko od osób, z którymi pozostawałem w bezpośredniej zależności służbowej. Pisałem o tym do mojego recenzenta, już po zakończeniu habilitacji, profesora Tadeusza Kielanowskiego z Gdańska. Był on mądrym, wszechstronnie wykształconym lekarzem, intelektualistą, filozofem. Ostatnie lata swego życia poświęcił tanatologii, nauce o godziwym umieraniu. Organizował zakłady opiekuńcze dla nieuleczalnie chorych. Przeciwwstawiał się przesadnej doktrynalizacji diagnostycznych i leczniczych metod. Domagał się zindywidualizowanego podejścia. Napisałem mu, ile uszczknąłem z jego dorobku. Często zdarzały mi się takie uszczknięcia, zapatrzenia i zasłuchania. Przy okazji polecam jego *Rozmyślania o przemijaniu*. Z podobnym podejściem spotkałem się u innego mądrego profesora Felixa Mlczocha w Wiedniu. W rozmowie o różnych tzw. modelach chemioterapii gruźlicy powiedział mi: „Panie kolego, kto indywidualizuje, może błędzić, kto generalizuje, musi błędzić”. Mądra przestroga. Choć przecież wiadomo, że praca badawcza to „poszukiwanie nowych związków

i zależności między zjawiskami i/lub rzeczami, gromadzenie faktów i obserwacji jest w istocie rzeczy tworzeniem uogólnień, generaliów." Medycyna ma swoje rygory. Jak nie być wdzięcznym profesorowi Tadeuszowi Kotarbińskiemu za *Traktat o dobrej robocie* oraz za jedno z najpiękniejszych i brzemienne w treści słowo „spolegliwość”. W sam raz dla lekarza, nauczyciela, opiekuna, wręcz dla każdego człowieka. Z wielką czcią i pietyzmem wspominam płomienną łódzką lekarkę, organizatorkę poradnictwa i zwolenniczkę wprowadzenia także społecznych metod do zwalczania gruźlicy, jako plagi społecznej, profesor Jadwigę Szustrową. Coraz bardziej liczę się ze zdaniem a także cenię sobie sympatię profesora Pawła Krakówki z Warszawy. Zauroczone byłem nowatorską treścią wykładów wybitnego polskiego pediatry i alergologa profesora Franciszka Groera. Był on uczniem profesora Pirqueta z Wiednia, twórcy alergologii. Profesor Groer uczył alergometrii, a przede wszystkim o higigenie. Można powiedzieć, że pojęcie to wypływa także z założenia homeostazy ustroju i jest pomocne w stawianiu twórczych hipotez w medycynie klinicznej. Profesor Bagdasarian z Warszawy, biochemik, już w latach 50. otwierał mi oczy na temat ciekawych związków metabolicznych między makroustrojami, mikroustrojami i lekami. Albo Ormianin z Anglii dr Althunian, sam cierpiący na astmę, który znalazł w aminku egipskim pomocny cromoglikan. Jego syntetyczna postać (Intal) okazała się rewelacyjnym lekiem blokującym mechanizmy alergiczne w astmie. Nie mogę pominąć profesora Ori'ego z Groningen, który na bardzo ważne, choć nie biblijne pytanie, co było na początku, twierdził, że w przewlekłym zapaleniu oskrzeli wcześniej była nadreaktywność oskrzeli, jako istotny czynnik ryzyka. Czule i z wdzięcznością wspominam profesorów Dahlstroema, dziekana z Upssali, Berglunda z Göteborga, Steinbrucka z Berlina, zaprzyjaźnionego Ulmera z Bochum i Mejer-Sydova z Frankfurtu nad Menem, prof. Scherera z Berna, wreszcie mądrego i zacnego profesora Fiedoszejewa z Petersburga czy prof. Abłakunowa z Taszkientu. Podziwiałem jego nowoczesną klinikę, z pracownią genetyczną umożliwiającą ujawnianie endogennych predyspozycji do chorób płuc. Mimo tej nowoczesności uznał za celowe nawiązanie właśnie do wczesnego średniowiecza, do Abu-ibu-Siny (Avicenny), autora *Kanonu* (fundamentalnego średniowiecznego podręcznika medycyny), zwolennika zasad umiaru oraz harmonii „Soma i Psyche”. Awicenna właśnie wywodził się z okolic pobliskiej Samarkandy i Buchary. Podczas swych zagranicznych wojaży wysoko sobie ceniłem

spotkania z doświadczonymi i zwykle wiekowymi profesorami. Przed odwiedzinami bywałem na ogół zorientowany w ich dorobku. Ceniłem ich nie tylko dlatego, że mogli mi poświęcić więcej czasu, wyrozumiale tolerując moje dociekliwości. Z moich obserwacji, a trochę także introspekcji i przemyśleń, wynika, iż każdy uczony, niekoniecznie lekarz, w istocie rzeczy poszukuje odpowiedzi na jedno lub co najwyżej kilka ważnych pytań. Nie musi to być poszukiwanie metalu lżejszego od powietrza, jak u jednego z bohaterów powieści B. Prusa, lecz np. formułowanie wzoru, definicji, układu ważnych zależności. Jakże cenny jest taki ekstrakt, wielka synteza doświadczeń i przemyśleń całego życia. Starzeją się one wraz z ich autorami, ale zwykle nie przez zanegowanie czy atrakcyjną lub przekorną antytezę, ale poprzez zastosowanie nowych metod i technik poznawczych, np. wtedy gdy mikroskopię świetlną zastępujemy elektronową, wprowadzamy metody z zakresu biologii molekularnej, techniki izotopowe. A to już domena utalentowanej młodzieży. Spotykałem takich zarówno we Frankfurcie nad Menem (Dr Schultze-Werninghaus, obecnie profesor, następca wielkiego Ulmera w Bochum), w Irkucku, u profesora Ostroumowa, ucznia papieża rosyjskiej alergologii, prof. Ado, czy u prof. Devisa w Londynie. Spotykam ich także w naszej uczelni, m.in. młodych i bardzo utalentowanych profesorów i doktorów habilitowanych, np. w Katedrze Neurologii i w Instytucie Endokrynologii, w Katedrze Onkologii i w kilku innych. Znajduję ich w sporym zagęszczeniu w naszym zespole, a także wśród moich byłych wychowanków. Jestem w nich zapatrzony i czasem nazywam ich delfinami. To nawiązanie do tradycji francuskiej. Zdarza się, że taki metaforyczny delfin przekształca się w rekina, niekoniecznie ludojada. Z piraniami spotykam się wyjątkowo rzadko, zaś leniwe karpie lubię tylko na półmisku.

Pragnę zdystansować się nieco do absolutyzowania rozstrzygnięć przy użyciu nowych i najnowszych metod laboratoryjnych. Doświadczenie mi podpowiada, iż należy je uwzględnić w kontekście z innymi – klasycznymi i koniecznie w zestawieniu z tzw. obrazem klinicznym. Służę z pamięci licznymi przykładami. Mój utalentowany i dowcipny były współpracownik, obecnie już samodzielny, wspomniany profesor M. Szmidt głosił taką teorię „niklowanego aparatu”: „Wstawia się niklowany aparat do sali, chorych – na korytarz, i uprawia się wielką naukę. Każdemu, kto korzysta z tego aparatu, posiadacz, a raczej dysponent wpisuje się do pracy”. Tak też się zdarza.

Trapi mnie od kilku lat pytanie, czy istnieje albo czy chociaż zdarzyć się może antagonizm między pracą badawczą a pracą lekarską. Wprawdzie mój niezapomniany mistrz i wychowawca mawiał: „Synu mój, co ja z ciebie zrobię. Praca naukowa cię uskrzydli”, ale wiele lat później, kiedy z bardzo zasłużonym, zawnym, sędziwym już innym profesorem dzieliłem się radością ze swoich utalentowanych współpracowników, wcześniej uwieńczonych doktoratami i habilitacjami, usłyszałem taki komentarz: „kolego, najpierw trzeba być lekarzem, a później uczonym”. Tak waga problemu, jak i autorytet rozmówcy skłoniły mnie do niezakończonych jeszcze zadumy. Istotnie, etos lekarza, tym bardziej klinicysty, stwarza imperatywy. Lekarz powinien być dobry, wrażliwy, umieć pochylić się nad chorym, powinien być odpowiedzialny oraz mądry, wyposażony w nowoczesną wiedzę i zdolność jej przyswajania, a jeszcze lepiej, poszerzania. Tu sprzeczność się zacierają. Dają się tu i ówdzie słyszeć opinie o podobnej sprzeczności między dydaktyką a nauką. Z moich spostrzeżeń wynika, iż głoszą je zwykle sfrustrowani słabeusze. Przekonałem się wielokrotnie, iż mądrzy, świetnie wykształceni, twórczy współpracownicy są świetnymi lekarzami i urzekającymi wzorami osobowymi dla studentów, a to najlepszy walor podczas ćwiczeń. Nie wynika z tego jednak wniosek, iż wszyscy za wszelką cenę, na siłę, muszą uzyskać habilitację itd. Są bowiem złote ręce mistrzowsko ujmujące skalpel, pełni doświadczenia i kompetencji. Za oczywisty przykład niech posłuży niedawno zmarły dr Eugeniusz Koszański, adiunkt na Chirurgii, najpierw u profesora J. Rutkowskiego a później u profesora A. Alichniewicza. Pamiętam go jako studenta oraz jako pacjenta. Mamy takiego w naszym gronie, ale jest on tak skromny, że nie zaryzykuję podania jego nazwiska. I tak wszyscy wiedzą, o kogo chodzi. Dodam, że także świetny nauczyciel młodzieży lekarskiej oraz studentów.

Wyobrażam sobie jednak przykład gorszący, który mógłby wskazywać na istnienie wspomnianych sprzeczności. Otóż w naszej Uczelni, zwłaszcza wśród klinicystów, nie ma takiego obyczaju jak np. w prześwietnej Universitatis – dyżury w Katedrze, a głównym uzasadnieniem obecności jest tam pensum dydaktyczne. Nie neguję absorbującej, mozolnej zadumy w bibliotece lub na spacerze. Bez względu na zadania dydaktyczne i naukowe praca od 8.00 zwykle do 14.00 oraz całodobowe dyżury wielokrotnie w miesiącu. Szczerze mówiąc, nie wyobrażałem sobie takiej sytuacji, kiedy lekarz poinformowany, że jego, albo nawet nie jego, podopieczny chory wpadł w stan astmatyczny lub ma

objawy wskazujące na powikłania pozawałowe, albo po prostu cierpi lub oczekuje pomocy, nie reaguje i wpatruje się w komputer lub przedłuża pobyt w laboratorium. Powinien co sił udać się do chorego, podjąć działania zaradcze, a jeszcze lepiej zgromadzić przy sobie studentów i pokazać im treściwy fragment medycyny. Postawa inna jest zachowaniem nieprofesjonalnym, gorszącym i kwalifikuje co najmniej do rozwiązania stosunków służbowych.

Promowałem ponad 40 doktorów nauk medycznych lub przyrodniczych, choć sam czuję się w równym stopniu humanista, przynajmniej w sposobie widzenia świata, wartościowaniu zjawisk, tak w działalności zawodowej, jak i w życiu pozazawodowym, co bardzo trudno mi czasem rozgraniczyć. Wśród moich wychowanków 11 habilitowało się, zwykle bardzo chlubnie, a 10 jest już profesorami: dziewięciu w kraju, dziesiąty, Bengalczyk z pochodzenia – w Huston. Większość prowadzi tzw. samodzielne jednostki (katedra, klinika). Jak już pisałem, szczytę się znajomością, czasem współpracą i przyjaźnią, z uczonymi różnych generacji w wielu krajach, tak na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Przekonałem się o tym osobiście i mam na to także wiele przykładów z burzliwego nastolecia, iż przyjaźnie i uznanie w środowisku uczonych oraz szacunek zawodowy znacznie bardziej się liczą niż tzw. opcje i „etosy”, które są sprawą osobistą, problemem wrażliwości społecznej i doświadczeń historycznych. Choć niestety, szczególnie podczas tzw. zawirowań, zdarzały się zachowania zupełnie inne. Nie wykluczam wszakże potrzeby nawet wyrazistego zaangażowania się społecznego, jeżeli tzw. sytuacja tego wymaga, a zdrowie i ważne obowiązki zawodowe pozwalają. Mój uczony przyjaciel, profesor Waław Droszcz z Warszawy, twierdzi, że medycyna, a tym bardziej ta powiązana z nauką, jest bardzo zazdrosna. Nie w pełni się z nim zgadzam. Sądzę bowiem, iż nawyki i degustacje humanistyczne oraz pełniejszy kontakt z życiem społecznym uwrażliwiają lekarza oraz wzbogacają skojarzenia, tak przecież ważne dla badacza. Hierarchizują wreszcie cele i zadania, co przecież ma istotne znaczenie dla obu tych powołań. Należy wszakże unikać rozproszenia sił, zapewnić sobie skupienie. Pamiętam chłopskorozsądkowe napomnienie mojego ojca: „Pilnuj tego, z czego chleb”. Pamiętam jednak, że sam nie trzymał się ściśle tej zasady. Owszem, gospodarzem był dobrym. Ale był ciekawy i łakomy świata. Straż pożarna, kółko rolnicze, partyzantka, podobnie jak wszyscy mężczyźni i młodzież we wsi, stronnictwo itp.

Mimo specjalizacji zawodowej interesuję się, wraz z niektórymi współpracownikami, uniwersalizmem, ruchem naukowym, a może lepiej – ruchem filozoficzno-społecznym w środowisku uczonych.

Mówią w Uczelni, a także w dwóch środowiskach naukowych – alergologów i pneumonologów – że skupilem wokół siebie tzw. szkołę naukową. Używany zwykle termin „stworzyłem” brzmiałby chępliwie, nieomal świętokradczo. Patrząc z boku, można by powiedzieć, że osiągnąłem wiele i pozostało mi ciągle dążenie do nieosiągalnej doskonałości. Świadom jestem drogi, jaką przebyłem; urodziłem się w ciemnej mazowieckiej wsi. Niech mi to sąsiedzi i powinowaci wybaczą, ale argument jak w staropolskim przysłowiu – polski most, niemiecki post, cygańskie nabożeństwo, wszystko to błazeństwo. Właśnie droga przez wieś. Wybista, jak popada – błotnista, że buty pogubisz i wozem nie przejeździsz. Tak było za sanacji, okupacji, demokracji ludowej oraz tak jest teraz, za demokracji wolnorynkowej. Znacznie większe jednak poczucie kariery miałem wtedy, kiedy po tajnych kompletach dostałem się do „prawdziwego” gimnazjum w Skierniewicach, jako pierwszy we wsi, uzyskałem maturę i dostałem się na studia, podobnie jak, nieco później, wielu moich kuzynów, sąsiadów i innych współpastuchów. Była to kariera całego pokolenia. Nowa genealogia inteligencji polskiej. Niektórzy wnieśli do miasta pazerność, a inni, niepomni swojego awansu, parafiańskość. Zaniepokojonych zapewniam, że to słowo „bezpieczne”: sprawdziłem w *Słowniku języka polskiego*. Są to jednak koszta postępu. Występują one także, a może szczególnie, w ciągu ostatnich lat.

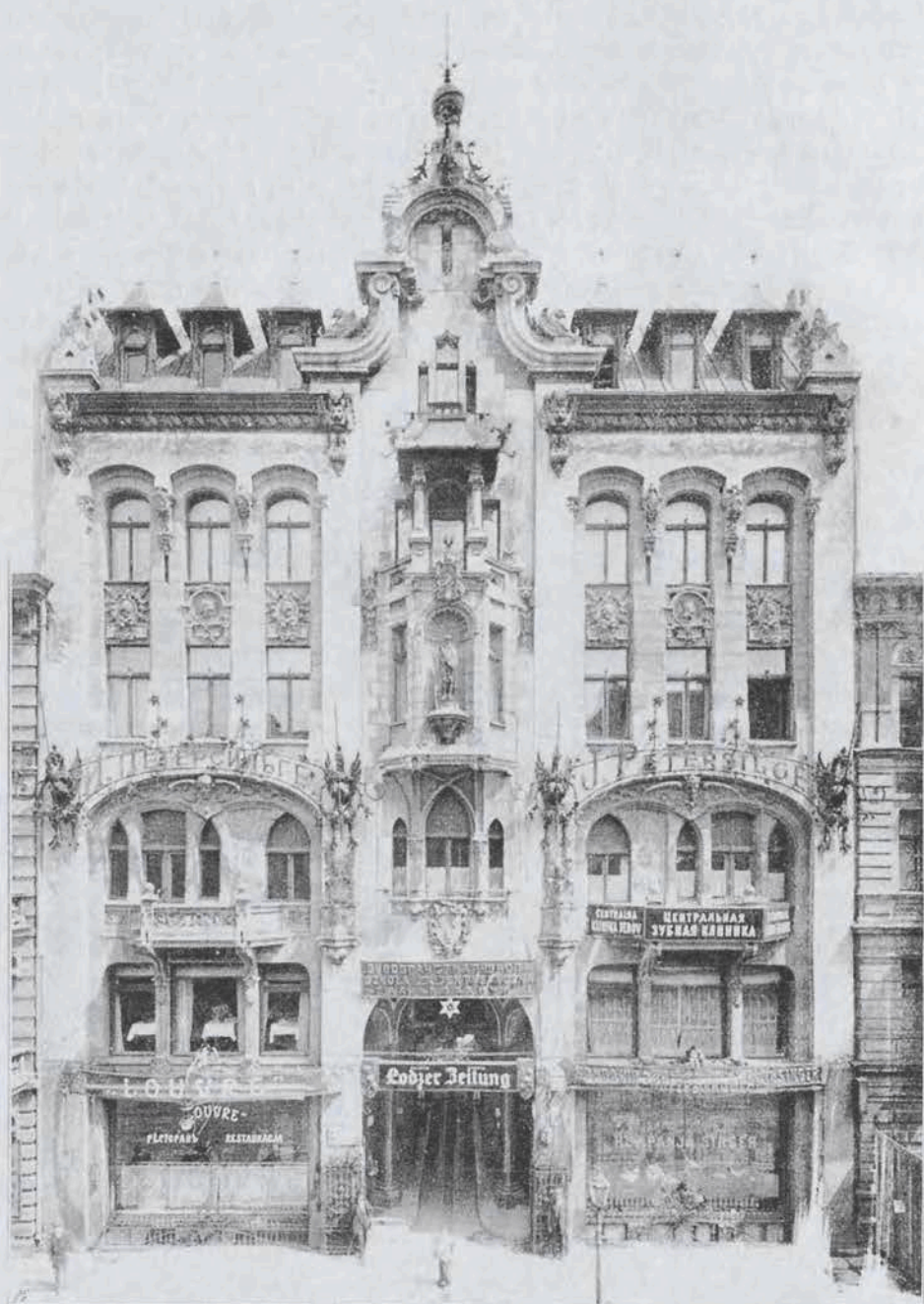
Poczucie kariery miałem wtedy, gdy po uzyskaniu dyplomu lekarskiego świeżo sporządzoną pieczęcią ostemplowałem wszystkie książki, zeszyty, a nawet gazety, kiedy uzyskałem doktorat, habilitację, a już znacznie mniej przy profesurze. Znacznie bardziej cieszę się przy habilitacjach i profesurach moich wychowanków. To nasza zbiorowa kariera, ale wielopokoleniowa. Niektórzy – mam nadzieję obiektywni – mówią, że mam magnes, ja sędzę, że raczej umiejętność i szczęście do gromadzenia wokół siebie młodych, niezwykle utalentowanych współpracowników. Czasem już czekają na to w toku tzw. studiów indywidualnych od IV roku. Niektórzy studiują równocześnie w Uniwersytecie, np. biochemię, biologię lub biologię molekularną. Uczestniczą w pracy naukowej, a nie „naukawej” w infantylnych kółkach, ale w zespołach badawczych całego zespołu, na zasadzie wolnego doboru. Usilnie unikam słabizny. Cenię u kandy-

data także zamiłowania i uzdolnienia humanistyczne oraz artystyczne. Jako współuczestniczący w tzw. polityce kadrowej, najbardziej sobie cenię tych docentów i adiunktów, którzy gromadzą wokół siebie grono „wyznawców” – asystentów i studentów. Przy nowej organizacji badań naukowych, w ramach tzw. grantów i Komitetów Badań Naukowych, istnieje możliwość wynagradzania ich za te wartościowe debiuty badawcze. Niektórzy już otrzymują stypendia Ministra. Utalentowani, coraz lepiej wyszkoleni, pracownicy i z napędem współpracownicy są największym bogactwem i dumą profesora. Znajduję bardzo wiele uzasadnień tego poglądu, ale skwituję zapewnieniem – sprawdzone osobiście. Podnosi to naszą kompetencję dydaktyczną, doskonalili wzory osobowe, według zasady – *exempla trahunt*.

Uprawiamy również działalność lekarską, tak w klinice jak i w dużej poradni przyklinicznej, służebnej dla regionu, a w jeszcze trudniejszych problemach diagnostycznych i terapeutycznych – także dla innych regionów. Stanowi to w znacznej części busole przy wyborze celów w naszej działalności badawczej i często kryterium prawdy. Poza tym jest niezbędne dla kształcenia przed- i podyplomowego. Udział studentów w życiu Uczelni, zastrzeżony prawem oraz przepisami lokalnymi, jest niestety rzadko dostrzegany. Dawniej przejawiał się w okresie „zadym”, sądzę, że z zewnętrznej inicjatywy. Bardzo mnie cieszy studencki ruch naukowy, działalność studentów w ramach indywidualnego programu. Nadal są popularne obozy naukowo-społeczne, zwykle letnie. Osobiście, przed kilkunastu laty, zmodyfikowałem organizację ćwiczeń klinicznych. Poranny kontakt ze studentami nie rozpoczyna się od sprawdzania listy obecności, twarzą w twarz, a od wspólnej odprawy, połączonej z raportami lekarzy dyżurnych. Jest to bardzo pouczające, taka medycyna *in flagranti*. Poza tym dowiadują się czasem o absencji tleniarza, o próbie kradzieży narkotyków czy o zatruciu się palacza w kotłowni denaturatem. Też pouczające. Dorośleją. Smucą nas kurcząca się fundusze na badania naukowe, ale raczej cieszy rozsądne nimi gospodarowanie. Znaczna ich część jest osiągalna w ramach grantów poprzez KBN. Przestrzegane są tu zasady konkurencji. Fe, nie przepadam za tym słowem w nauce. Jeżeli już, to wolę rywalizację, wyłanianie najlepszych. Poufne recenzje najwyższej rangi uczonych zarówno przy doborze, jak i przy etapowych oraz końcowych ocenach realizacji umów. Wspierają nas przy zakupie odczynników, czasem cenniejszej aparatury. Na fundusze płac idzie tu niewiele. Pozwalają się jednak zmierzyć. Trochę zapatrzyłem się na moich

mądrych mistrzów, a trochę jestem samoukiem. Zaglądam wprawdzie do podręczników psychologii, pedagogiki i z zakresu tzw. creative management. Zdaję sobie sprawę, iż najważniejsze to ludzka bogata osobowość, inicjatywność, pomysłowość, talent – u jednego bardziej spekulatywny, u innego znów techniczny. Asystentów nie należy przesadnie obciążać i formować według wydumanej sztancy, a tym bardziej na obraz i podobieństwo swoje. Należy ich dobrze motywować, pomagać im w trudnościach, a jeżeli trzeba roztoczyć wizję, niekoniecznie tęczową, ale ambitną. Trzeba ograniczać przyrodzony ludziom egoizm i egotyzm, trzeba ich umiejętnie dobierać w twórcze zespoły, zwykle na zasadzie komplementarności, a jeszcze lepiej, gdy sami się dobierają. Należy, tak w środowisku medycznym jak i naukowym, wystrzegać się stosowania maksymy – *divide et impera*. Nie ma bowiem piękniejszej zasady jak spolegliwość i współpraca.

Oj, korci mnie, aby tę laurkę trochę skontrastować. Nie tylko ze względów dramaturgicznych, gdyż ludzie, nawet uczeni lekarze, wcale nie są aniołami, choć – jak mawiał mój Nauczyciel – od nauki im skrzydła wyrastają. Na szczęście nie mam do nich istotnych zastrzeżeń jako do lekarzy, choć wszystkim nam towarzyszyć powinno poczucie niedoskonałości. Otóż zdarzają się utrwalone spory między nimi, niekiedy zapalczywa niechęć. Boleję nad tym. Niektórych cechuje... chyba to próżność połączona ze skłonnością do przesadnej autopromocji. Czasem ich napominam tak, jak mawiał kiedyś mój Nauczyciel – „Pamiętaj synu, co jest w życiu ważne, a co jeszcze ważniejsze”. Uczę się tego wciąż. Mam nadzieję, może nie złudną, że wyrosną, dojrzeją... Najbardziej cieszy mnie fakt, że zakładają już własne szkoły. Tak cieszył się ze mnie mój niezapomniany Profesor.



Architektura dawnej Łodzi

Henryk Szubert

Wędrujący szpital-przytułek

Szpital miejski, raczej parafialny (bo miał być utrzymywany głównie przez parafię) istniał w Łodzi już w jej okresie rolniczo-zremieslnicznym, kiedy była ona własnością biskupów włocławskich (do roku 1798).

Nie znamy początków powstania tej pierwszej łódzkiej instytucji charytatywnej i nie wiemy dokładnie, gdzie pierwotnie była zlokalizowana. Być może, że tak jak i później, znajdowała się ona w pobliżu rynku i kościoła, niedaleko traktu piotrkowsko-łęczyckiego. Wiemy jednak, iż szpital taki istniał już przed rokiem 1591, bowiem kiedy biskup włocławski Hieronim Rozdrażewski bawił w Łodzi 18 sierpnia 1591 roku, to dowiedział się, że takowa instytucja niegdyś w tym mieście się znajdowała, a jej pomieszczenia zostały obrócone na prywatny użytek, czy też strawił je pożar. Biskup na cel wzniesienia nowego szpitala przeznaczył odpowiednie fundusze.

W roku 1594 przystąpiono do budowy niedużego obiektu szpitalnego, a wspomniany już biskup Rozdrażewski przeznaczył na jego utrzymanie nawet specjalną zapomogę. Oprócz obowiązku utrzymania tej instytucji charytatywnej przez łódzką parafię i dotacji biskupiej, na ów szpital-przytułek, od czasu do czasu, zdarzały się skromne na ogół zapisy mieszczan. Wszystko to jednak było niewystarczające, a miasto – szczególnie gdy w drugiej połowie XVII stulecia poczęło się chylić ku upadkowi i gdy obciążone zostało szeregiem innych ciężarów – przestało świadczyć na szpital.

W sprawozdaniu z rewizji łódzkiego kościoła z roku 1633 czytamy, że w miasteczku jest szpital, ale nie ma żadnych funduszy i opieki. Prawdopodobnie nie miał też własnego budynku,

a gdy w roku 1645 wypędzono z Łodzi „wszeteczną” niewiastę, „która się grzechu dopuszczała”, skonfiskowany jej dom przeznaczony został na szpital. Z bliżej niewiadomych przyczyn dom ten był niedługo użytkowany przez tę instytucję, gdyż kilka lat później zakupiony został inny budynek, który spalił się jednak w roku 1672, a w czasie pożaru był doszczętnie okradziony, chociaż miał czuwać nad nim specjalny dozorca.

Prawdopodobnie w końcu XVII oraz w XVIII wieku szpital łódzki był przez dłuższy czas nieczynny. W roku 1718 wizytator kościoła zaznacza w swym sprawozdaniu, że szpital jest i posiada nawet ogród między ogrodami miejskimi. Przebywało w nim wówczas dwóch ubogich, a instytucja miała zapis w wysokości 100 zł, zabezpieczony na roli niejakiego Juszki. W roku 1754 wizytator stwierdza, że szpitala już nie ma, zaś w roku 1763 zauważa, iż szpital był, ale ze starości upadł przed laty i że miał zapis 500 zł uczyniony przez panią Bielską, ale dowodu na to znaleźć nie umiał.

Z roku 1820 pochodzi bodajże ostatnia wzmianka o budynku szpitala-przytułku w Łodzi rolniczo-rzemieślniczej, położonym w pobliżu Rynku Starego Miasta, przy drodze piotrkowskiej (obecnie ulica Nowomiejska), który prawdopodobnie wybudowany został w ostatnich latach XVIII stulecia, czy też w pierwszych latach XIX wieku przez proboszcza łódzkiego, ks. Jędrzeja Majera. Wzmianka ta mówi, że następca ks. Majera – ks. Tomasz Czerwiński trudnił się propinacją w „domu szpitalnym przeznaczonym dla starców i kalek”. Władze odebrały ks. Czerwińskiemu dom szpitalny, zamieniony przez niego na karczmę, i urządziły tam szynk rządowy.

Inny charakter niż szpital w Łodzi rolniczo-rzemieślniczej miał pierwszy szpital miejski w Łodzi przemysłowej, noszący imię św. Aleksandra. Jednopiętrowy budynek szpitalny wzniesiony został w latach 1842-1845 według znormalizowanego projektu Henryka Marconiego – architekta polskiego, pochodzenia włoskiego. Gmach szpitalny, należący wówczas do najokazalszych budowli łódzkich, stanął na Rynku Fabrycznym, nazywanym też od szpitala – Szpitalnym. Otwarcie tego pierwszego szpitala o charakterze leczniczym, a nie przytułkowym, nastąpiło 1 stycznia 1846 roku. Obecnie w dawnym budynku szpitalnym, przebudowanym i rozbudowanym, mieści się Wyższe Seminarium Duchowne.

Konrad Frejdlich

Czarodziejskie zwierciadło rozterek i nadziei

Badania socjologiczne są formą prowadzenia dialogu społecznego rzadko wykorzystywaną przez samorządy. Z jednej strony nie ma takiej tradycji, a co gorsza i praktyki, z drugiej jest to przedsięwzięcie stosunkowo drogie, stać więc na nie tylko duże gminy, o znacznych dochodach. Może dlatego zlecenie OBOP przez władze Łodzi opracowania wielopunktowej ankiety, która miała między innymi na celu wysondowanie poglądów mieszkańców na temat jakości życia w mieście, ich ocenę stopnia bezpieczeństwa, a także pozwalała ocenić poziom wiedzy społecznej na temat poszczególnych szczebli administracji publicznej w Łodzi, wywołało ogromne zainteresowanie mediów. Tym bardziej, że materiały te miały posłużyć badaniu na reprezentatywnej i zróżnicowanej próbie ludności miasta liczącej 1000 osób, co oznacza ich wysoką wiarygodność.

W ciągu niespełna kilku tygodni OBOP wykonał gigantyczną pracę, przedstawiając w grudniu 2000 roku raport zatytułowany „Mieszkańcy Łodzi o swoim mieście”. Jest to swoiste zwierciadło stanu świadomości społecznej na przełomie wieków a nawet tysiącleci, co ma, rzecz jasna, wymowę symboliczną, choć znacznie ważniejsze są konkrety. Tym bowiem, co najważniejsze w opracowaniu, jest rejestr oczekiwań mieszkańców Łodzi, ranking najważniejszych instytucji w gminie, a także ocena poczynań władz samorządowych. Nie jest to zresztą pełna lista problemów, które podejmuje raport, bo jak wspomniałem na wstępie, badania miały bardzo szeroki charakter i starały się odpowiedzieć na wiele pytań.

Może ktoś stwierdzić, że korespondencyjny dialog nie jest najdoskonalszą metodą komunikacji społecznej, co jest oczywiście prawdą. Toteż ważny będzie przede wszystkim użytek zro-

biony przez władze miejskie z tej próby, stanowiący domyślną odpowiedź na wyrażone w badaniach oczekiwania.

OBOP zrealizował 1003 wywiady techniką kwestionariuszową face-to-face, co oznacza, że maksymalny statystyczny błąd pomiaru wynosi 3 proc., przy wiarygodności oszacowania również 95 proc. Wśród ankietowanych 45 proc. stanowiły kobiety. Jeśli chodzi o wiek respondentów, 20 proc. miało 18-29 lat, 14 proc. 30-39 lat, 23 proc. 40-49 lat, 17 proc. 50-59 lat, zaś 26 proc. 60 lat i więcej. Odpowiada to strukturze wiekowej mieszkańców Łodzi. Również jeśli chodzi o wykształcenie, starano się, pod względem proporcji, odwołać do rzeczywistego modelu. Badaniem objęto 20 proc. osób z wykształceniem podstawowym, 16 proc. z zasadniczym zawodowym, 46 proc. z wykształceniem średnim lub pomaturalnym, wreszcie 18 proc. z wyższym lub wyższym nieukończonym. Dla porównania, wg danych Urzędu Statystycznego w Łodzi z 1995 r., 10 proc. mieszkańców Łodzi legitymowało się wykształceniem wyższym, 35 proc. średnim, 19,5 zasadniczym zawodowym, zaś 35 proc. podstawowym i niepełnym podstawowym. Jeśli chodzi o ich skład pod względem społeczno-zawodowym, 2 proc. stanowili wyżsi urzędnicy i kierownicy zakładów, 9 proc. wolne zawody i specjaliści z wyższym wykształceniem, 7 proc. prywatni przedsiębiorcy, 2 proc. robotnicy nie wykwalifikowani, 13 proc. robotnicy wykwalifikowani, 7 proc. pracownicy administracyjno-biurowi, 6 proc. zatrudnieni w usługach i sprzedawcy, 1 proc. wojsko, policja i straż pożarna, 1 proc. gospodynie domowe, 24 proc. emeryci, 9 proc. renciści, 9 proc. uczniowie i studenci, wreszcie 10 proc. bezrobotni.

A jak badani postrzegają Łódź. Dla większości z nich jest miastem rodzinnym, kojarzącym się z dzieciństwem i młodością, natomiast dla czwartej części z nich jest to przede wszystkim ośrodek przemysłu włókienniczego, zaś 14 proc. badanych wskazało po prostu przemysł. Jest rzeczą charakterystyczną, że niemal trzy czwarte łodzian żywi w stosunku do swego miasta uczucia pozytywne, z tego mniej więcej jedna czwarta nawet bardzo pozytywne. Potwierdzeniem tego może być odsetek badanych (nieco ponad dwie piąte), którzy stwierdzili, że jest to obszar im najbliższy. Jednocześnie aż 56 proc. ankietowanych przyznało, że gdyby mogli wybierać miejsce zamieszkania, to wybraliby Łódź. Zarazem, co także charakterystyczne, 43 proc. opuściłoby Łódź, gdyby mieli takie możliwości.

Jeśli chodzi o atrakcyjność dzielnic, prawie co czwarty łodzianin chciałby mieszkać na Bałutach, niemal co piąty na

Widzewie a także na Polesiu i Górnej, a tylko niespełna co dziesiąty w Śródmieściu.

Ankieta wykazała, że łodzianie bardziej interesują się aktualnymi problemami życia (59 proc. badanych) miasta niż jego historią (36 proc.) Mimo to na podstawie badań OBOP można zaryzykować stwierdzenie, że zdecydowana większość mieszkańców miasta zna przynajmniej podstawowe fakty dotyczące Łodzi. Ponad połowa badanych udzieliła poprawnych odpowiedzi na siedem z dziewięciu pytań, które były sprawdzianem tej wiedzy, 37 proc. uzyskało gorszy wynik, ale świadczący o znajomości przedmiotu, i tylko 11 proc. odpowiedziało prawidłowo zaledwie na dwa-trzy pytania, zaś 1 proc. nie udzieliło żadnej odpowiedzi. A rozrzut tych pytań był stosunkowo duży: trzeba było na przykład określić, ilu mieszkańców liczy Łódź, jak plasuje się pod względem wielkości na tle innych miast Polski, wymienić nazwiska fabrykantów z XIX i XX stulecia, podać nazwisko autora powieści *Ziemia obiecana* i nazwisko reżysera filmu, który powstał na jej kanwie.

Mogłoby się zdawać, że to tylko sentyment kazał odpowiadać czwartej części mieszkańców, że Łódź jest miastem atrakcyjnym turystycznie, podczas gdy niemal połowa uznała, że jest wprost przeciwnie. Tymczasem badania przeprowadzone przez Instytut Turystyki każą nam zweryfikować ów obiegowy pogląd o małej atrakcyjności Łodzi, odwiedziło ją bowiem (a ściślej region łódzki) w 1999 r. 1,3 mln cudzoziemców i pięć razy więcej turystów krajowych, co stawia miasto w czołówce krajowej.

Z drugiej strony niemal wszyscy badani przez OBOP potrafili wymienić warte uwagi miejsca w Łodzi, godne polecenia gościom z zagranicy. Pierwsze miejsce w tym swoistym rankingu zajęła Piotrkowska (68 proc. odpowiedzi). Wskazywano także pałace Poznańskiego (30 proc. pytanych) i innych fabrykantów oraz liczne łódzkie muzea (od 25 do 14 proc. odpowiedzi) z wyjątkiem Muzeum Kinematografii, cenionego zaledwie przez 3 proc. respondentów. Do atrakcji turystycznych zaliczono także łódzkie teatry (18 proc. badanych), zabytkowe osiedle fabryczne Księży Młyn (13 proc.) oraz łódzkie parki (taki sam odsetek odpowiedzi).

Badania pozwalają także ocenić Łódź jako centrum rozrywki. Aż 44 proc. badanych wśród znaczących imprez wymienia Paradę Wolności. O dziwo, znacznie mniej osób zapamiętało Święto Łodzi (17 proc. odpowiedzi) czy zabawę sylwestrową na ulicach miasta (10 proc. respondentów). Spośród miejsc kojarzących się z rozrywką w Łodzi jako godne polecenia 14 proc. badanych

wskazało puby i dyskoteki, zaś 10 proc. Park na Zdrowiu. Jest zastanawiające, że blisko trzecia część łodzian nie umiała wskazać takiego miejsca, zaś 6 proc. stwierdziło, że takich miejsc po prostu nie ma.

Bardzo pouczająca jest ta część badań, która najogólniej mówiąc dotyczy jakości życia. Aż 64 proc. respondentów chwali relacje z sąsiadami, a 61 proc. jest zadowolonych z sytuacji rodzinnej. Ponad połowa badanych była usatysfakcjonowana dzielnicą, w której mieszka, podobnie procentowo ankietowani oceniali stan swego zdrowia. Najmniejszą satysfakcję (48 proc. badanych) sprawiają łodzianom dochody gospodarstwa domowego. „Nieco częściej – stwierdza raport – niż inni zadowoleni z poziomu życia są uczniowie i studenci (50 proc.), prywatni przedsiębiorcy (48 proc.), osoby o poglądach centroprawicowych (50 proc.) oraz respondenci z wyższym wykształceniem (49 proc.) i najmłodsi badani, ci w wieku 18-29 lat (46 proc.), a także mieszkańcy dzielnicy Górna”.

Jest charakterystyczne, że swoją sytuację oceniają jako dobrą osoby z rodzin, gdzie dochód na głowę wynosi 750 zł i więcej (34 proc.), zaś niezadowoleni z dochodów byli ludzie o zarobkach 464 zł na osobę.

Jeśli chodzi o satysfakcję z zamieszkiwania w Łodzi, opinie są często ambiwalentne. Prawie trzy piąte łodzian docenia możliwości kształcenia i edukacji. Niezłe także oceniana jest przez nich komunikacja miejska (prawie połowa zadowolonych), warunki poruszania się po mieście (47 proc. odpowiedzi), system wodociągów i kanalizacji (40 proc.).

Znacznie gorzej oceniają łodzianie warunki rozwoju przedsiębiorczości (35 proc. zadowolonych i 31 proc. niezadowolonych), gospodarkę odpadami (38:37). Z drugiej jednak strony ankietowani mieszkańcy wystawili niezłą cenzurkę atrakcyjności inwestycyjnej Łodzi. Aż co trzeci łodzianin twierdzi, że gdyby przyszło mu zakładać własną firmę, ulokowałby ją w rodzinnym mieście, zaś co piąty utworzyłby własny interes w regionie łódzkim. Niestety, również 21 proc. badanych nie lokowałoby swojej firmy w województwie łódzkim.

Z ankiety wynika, że najważniejszym dla łodzian problemem jest bezrobocie. Na to zjawisko wskazało aż 65 proc. pytaných. Nic zatem dziwnego, że mieszkańcy oczekują od władz samorządowych, iż będą zachęcały inwestorów produkcyjnych do otwierania w Łodzi swoich przedsiębiorstw. Procentowo taka opinia pokrywa się niemal z ilością odpowiedzi, w której jako najważ-

niejszy problem miasta sygnalizowano bezrobocie. Koresponduje z tym poglądem dość problematyczna ocena, że przemiana Łodzi w wielkomiejski ośrodek handlowo-usługowy jest korzystna przede wszystkim dla inwestorów zagranicznych.

Respondenci, którzy nierzadko mieli kłopoty z odróżnieniem kompetencji władz państwowych od samorządowych oraz kompetencji władz gminnych od wojewódzkich w sprawach bezrobocia w większości uznali, że jest to problem nierozwiązany przez władze miejskie, choć akurat samorząd miejski ma stosunkowo mało narzędzi, aby wpływać na rynek pracy.

Kolejną sprawą, którą mieszkańcy uznali za najważniejszą, był problem bezpieczeństwa. Prawie połowa badanych (47 proc.) nie czuje się bezpiecznie w swoim mieście. Nie chodziło przy tym tylko o bezpieczeństwo osobiste, gdyż prawie co trzeci pytany uważał, że rozwiązania wymaga przede wszystkim stan ulic i dróg oraz warunki ruchu drogowego. Dość charakterystyczne, że co piąty mieszkaniec uważał, że w zakresie bezpieczeństwa nic się w Łodzi nie polepszyło.

Jak wspomniałem, badania przeprowadzone przez OBOP na zlecenie władz Łodzi były pewnego rodzaju eksperymentem, gdyż jest to narzędzie rzadko wykorzystywane do komunikacji społecznej przez samorządy. A szkoda, gdyż w świetle ankiety tylko 4 proc. respondentów zadeklarowało duże zainteresowanie poczynaniami władz Łodzi. Na szczęście nieco ponad czwarta część mieszkańców przyznaje się, że działania władz zajmują ich umiarkowanie. Za to, a jest to odsetek zastanawiający, aż 37 proc. badanych stwierdza, że działalnością władz interesuje się mało, a 31 proc. – że wcale.

I dopiero te ostatnie dane każą nam się zastanowić nad głębookością przemian demokratycznych w Polsce. Mała aktywność społeczna, przejawiająca się nierzadko niską frekwencją obywateli w wyborach, znajduje tu swoje potwierdzenie. Dlatego na wyniki ankiety trzeba spojrzeć, mimo wszystko, jak na obraz w czarodziejskim zwierciadle. Jest on bowiem bardziej wynikiem nastrojów i wyobrażeń niż rzeczywistych faktów. Ale to nie znaczy, że nie ma związku z rzeczywistością.

Nagrody i odznaczenia 2001

Nagrody Miasta Łodzi

Rada Miejska w Łodzi na swej LVIII sesji przyznała 4 kwietnia 2001 r. „za wybitne osiągnięcia w działalności zawodowej i społecznej” Nagrody Miasta Łodzi. W tegorocznej edycji tych wyróżnień o wysokim prestiżu radni w głosowaniu zdecydowali, że nagrody otrzyma osiem osób spośród dziesięciu kandydatów. A oto lista nagrodzonych w kolejności alfabetycznej:

Ryszard Bonisławski – filolog, publicysta i znany przewodnik turystyczny, organizator i inicjator licznych imprez promujących Łódź, współautor „Filmowej Encyklopedii Łodzi”. Jest radnym Unii Wolności do Sejmiku Województwa Łódzkiego.

Ryszard Gajdziński – działacz społeczny, niezwykle aktywny na najniższym szczeblu samorządności lokalnej (rady osiedli), z zawodu cukiernik.

Bożena Matuszczyk – dyrektor XXXI Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi, zasłużona pedagog, dała się poznać jako twórczyni programów i klas autorskich.

Waldemar Michowicz – nauczyciel akademicki w Uniwersytecie Łódzkim specjalizujący się w problematyce stosunków międzynarodowych. Jest prekursorem polskich badań nad zagadnieniem pokoju.

Tadeusz Partyjczyk – nauczyciel akademicki w Instytucie Chemii Ogólnej i Ekologicznej Politechniki Łódzkiej, dziekan Wydziału Chemii tej uczelni; ceniony naukowiec.

Halina Karbowska-Pędziwiatr – laureatka nagrody Ministra Oświaty, odznaczona Medalem Komisji Edukacji Narodowej, założycielka dziecięcego Zespołu Pieśni i Tańca „Pędziwiatry”, który, pod jej kierownictwem, odniósł wiele międzynarodowych sukcesów.

Waldemar Wilhelm – wykładowca w PWSF, Tv i T w Łodzi, reżyser, aktor, pedagog, dyrektor naczelny i artystyczny Teatru Lalki i Aktora „Pinokio”; w którego repertuarze znalazły się znaczące propozycje dla dzieci i dla dorosłych.

Krzysztof Wojciechowski – nauczyciel akademicki w Politechnice Łódzkiej a zarazem utalentowany fotografik, członek Związku Polskich Artystów Fotografików.

W tej edycji Nagroda Miasta Łodzi wynosi 24 000 zł dla każdego z laureatów.

Odznaki „Za Zasługi dla Miasta Łodzi”

Rada Miejska przyznała także, na tej samej sesji, za działalność na rzecz miasta godną szczególnego uznania, dwadzieścia jeden odznak „Za zasługi dla Miasta Łodzi”, w tym trzy zbiorowe, spośród trzydziestu dziewięciu nominowanych.

Wyróżnienia zbiorowe otrzymali:

Zarząd Miejski Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej w Łodzi – spadkobierca i kontynuator tradycji Łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej, która powstała w 1876 r. Jest to organizacja niezwykle zasłużona dla miasta i wpisana w jego tradycję, a jej członkowie niejednokrotnie składali dowody ofiarności ryzykując życie dla ratowania innych.

Komenda Hufca „Promienistych” Łódź-Bałuty Związku Harcerstwa Polskiego – powstała pięćdziesiąt lat temu, a dziś zrzesza ponad 1000 zuchów, harcerzy i instruktorów. W hufcu działa 60 drużyn harcerskich i zuchowych, które prowadzą działalność wychowawczą w szkołach podstawowych i gimnazjach. Ich zasługą jest Las Harcerski o powierzchni 35 ha posadzony przy ul. Sianokosy.

Zarząd Łódzkiego Oddziału Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci – organizacja niezwykle zasłużona w walce o prawa dzieci i świadcząca ofiarnie pomoc tysiącom potrzebujących w ich miejscu zamieszkania a także w placówkach oświatowych i opiekuńczych. Prowadzi w Łodzi dwadzieścia siedem takich placówek dla ok. 1400 dzieci. Organizuje także wypoczynek letni i zimowy dla dzieci, w tym specjalne turnusy rehabilitacyjne.

Odznaki indywidualne otrzymali:

- Irena Burawska-Kesling** – aktorka;
Zygmunt Ciesielski – kierownik pracowni krawieckiej Teatru im Jaracza;
Izabela Gorzkowska-Głowacka – choreograf i tancerka Opery Łódzkiej;
Grażyna Habrajska – nauczyciel akademicki;
Stanisława Hejwowska – działaczka Towarzystwa Przyjaciół Domu „Na osiedlu”;
Jerzy Jablkiewicz – organizator Muzeum Włókiennictwa w Łodzi, długoletni działacz NOT;
Donat Lewandowski – nauczyciel akademicki;
Witold Łuczyński – dyrektor Instytutu Technicznych Wytworów Włókienniczych „Moratex”;
Elżbieta Malińska – działaczka Towarzystwa Przyjaciół Dzieci;
Witold Pyrkosz – prezes zakładów „Teofilów”, ceniony menadżer;
Małgorzata Romańska – założycielka Uczniowskiego Klubu Sportowego „Żaki”;
Tomasz Rosset – szef oddziału łódzkiego PLL LOT;
Władysław Tomaszewicz – propagator idei wolontariatu w środowisku niepełnosprawnych;
Lucjan Welfel – lekarz;
Jadwiga Wileńska – dziennikarka, realizatorka „Filmowej Encyklopedii Łodzi” w telewizji regionalnej;
Alina Wnuk – nauczycielka;
Halina Woźniak – ekonomistka;
Andrzej Żelazowski – kierownik produkcji w Wytwórni Filmów Oświatowych.

Nagrody i odznaczenia zostaną wręczone podczas majowego Święta Łodzi. (kf)

Spis treści

Drodzy Czytelnicy	3
Lucjusz Włodkowski, <i>Z dziejów Polskiej Partii Socjalistycznej w Polsce</i>	5 4874
Tadeusz Bogalecki, <i>Zaplecze Armii „Łódź” w pierwszym tygodniu kampanii wrześniowej</i>	17 4876
Jerzy Gałęba, <i>III LO im. T. Kościuszki</i>	31 4877
Edward Szuster, <i>Wspomnienia o belfrach</i>	47 4878
Jerzy Wilmański, <i>Reymonta droga do Nobla</i>	55 4879
Poeci Łodzi (Jerzy Wilmański)	61 44043
Antoni Szram, <i>Muzeum Kinematografii – najlepsza inicjatywa Muzeum Historii Miasta Łodzi</i>	67 44159, 60 4880
Kazimierz Lewkowski, <i>Pan Kwinto i inni</i>	77 4881
Andrzej Kempa, <i>Łodzianie w służbie książki</i>	85 4882
Katarzyna Deka, <i>Leon Niemczyk – łodzianin</i>	89 4883
Wojciech Źródłak, <i>Listy do redakcji</i>	101 4884
Bogusław Sikorski, <i>100-letnie dzieje łódzkiej archikatedry. Zarys dziejów</i>	117 4885
Tadeusz Chróścielewski, <i>O Wydziale Kultury, współpracy z plastykami i szalonych krowach Kondka oraz dzieciach piszącego te słowa</i>	125 4886
Adam Ochocki, <i>Łowca sensacji. Wspomnienia</i>	133 4887
Maria Kępińska, <i>Kolor jest najważniejszy w malarstwie – Marian Jaeschke</i>	141 4888
Henryk Chmielewski, Andrzej Frontczak, <i>Jubileusz 55-lecia działalności Spółdzielni Pracy Lekarzy Specjalistów w Łodzi</i>	151 4889

Alicja Łaska-Formejster, Skargi łodzian do Rzecznika Lekarskiej Odpowiedzialności Zawodowej <i>w latach 1990-1998</i>	159	4890
Jerzy Roźniecki, <i>Akademickie impresje</i>	165	4891
Henryk Szubert, <i>Wędrujący szpital-przytułek</i>	179	4892
Konrad Frejdlich, <i>Czarodziejskie zwierciadł o rozterek i nadziei</i>	181	4893
Nagrody i odznaczenia 2001	186	4894

Wydawca: Zarząd Miasta Łodzi

Adres redakcji:

Wydział Informacji i Promocji UMŁ

90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 104

tel. (42) 638 40 80

e-mail: wip@uml.Lodz.pl

Skład, druk i oprawa:

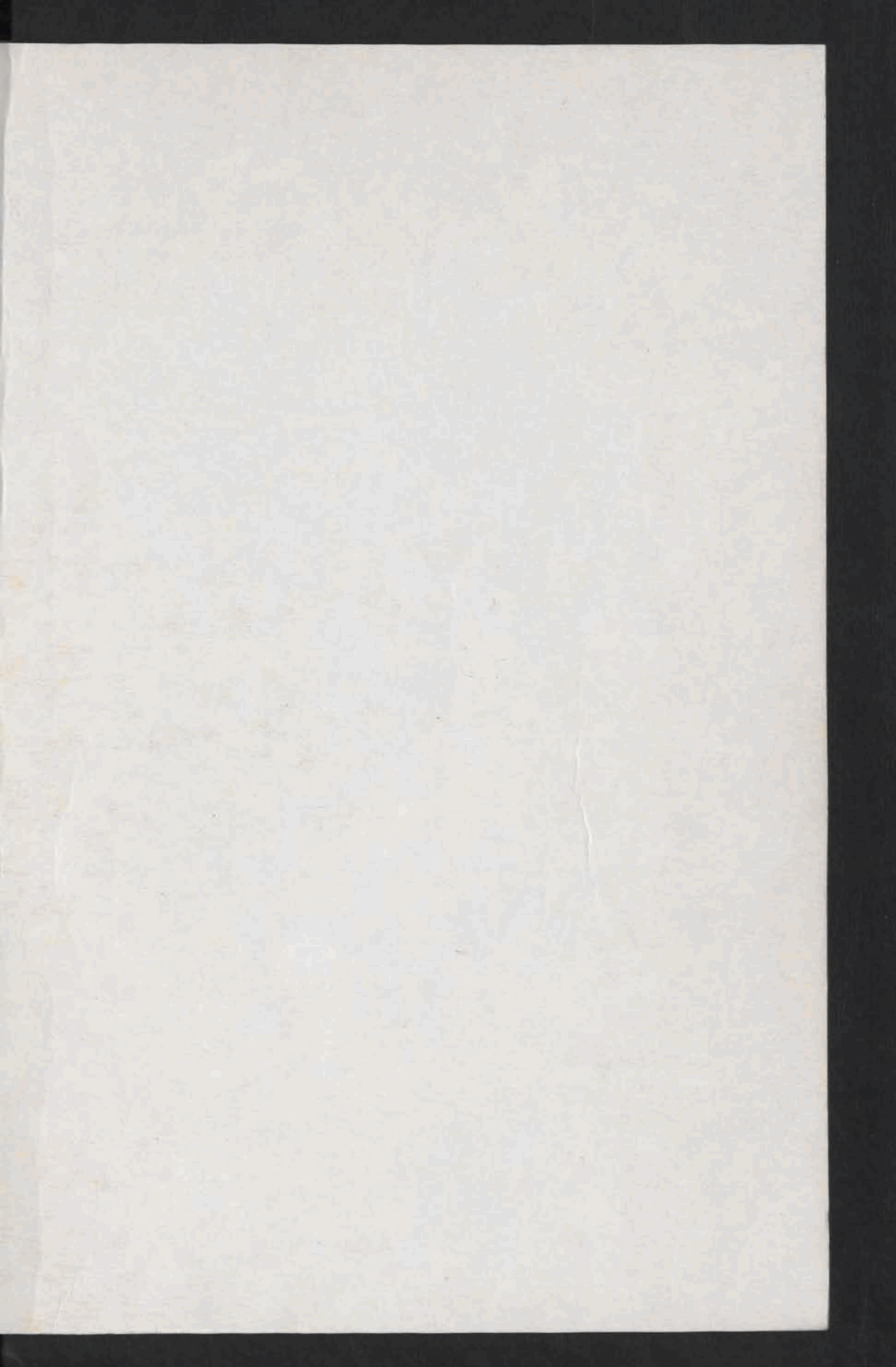
Oficyna Bibliofilów sp. z o.o.

93-492 Łódź, ul. Bolesława 13

e-mail: szukalak@polbox.com

10671-A







ISSN-1231-5354